



Jacek  
Skowroński

# Mucha

*Oficynka*

Jacek  
Skowroński

# Mucha

*Oficynka*

Copyright © Oficynka & Jacek Skowroński

Wydanie drugie w języku polskim.  
Gdańsk 2017

Opracowanie edytorskie książki:  
zespół

Skład:  
Intergraf Piotr Geisler

Projekt okładki:  
Studio Karandasz  
[www.karandasz.com.pl](http://www.karandasz.com.pl)

Zdjęcia na okładce  
© Fotolia.com, Shutterstock

Opracowanie wersji elektronicznej  
lesiojot

ISBN 978-83-65891-05-1



*Oficynka*

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)  
email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

*Dorocie – za to, że jesteś*

Postanowiłem zabić człowieka. Najlepiej strzałem w plecy, gdy nie będzie się niczego spodziewał. Niezły byłby też ładunek wybuchowy podłożony w samochodzie. Trucizna? Raczej nie, to zbyt kłopotliwe i mało spektakularne. Dobrze by było, gdyby umierając, możliwie długo cierpiał, ale nie wszystko mogłem zaplanować, ponieważ nie upierałem się, by egzekucję wykonać własnoręcznie. I zapewne na jednym zabójstwie się nie skończy, ale jemu nie zrobi to już szczególnej różnicy. Mnie zresztą też.

Tylko Bóg i sądy mają prawo wymierzać karę, lecz opatrność jakoś nie kwapi się do łamania praw fizyki, zsyłając gromy z jasnego nieba, a adwokaci wiodący ślepią Temidę przez labirynt interpretacji prawnych baczą pilnie, by nie dotarła do celu. Pozostaje pogodzić się z losem lub posłuchać podszeptów Szatana, dziwnie przystających do naszego wewnętrznego poczucia sprawiedliwości.

Każdy człowiek choć raz w życiu pragnął czyjejś śmierci. Wyobrażał sobie, jak chwyta za gardło łachudrę, który właśnie wyrządził krzywdę jemu albo komuś bliskiemu, i ścisną z całej siły, aż zdławi szyderstwo wryte na szujowatym pysku. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, to zwyczajnie kłamie, oszukuje sam siebie albo ma problemy z pamięcią. Zwykle zadawała nas rozkosz wirtualnej zemsty, wyobrażenie tortur, jakim poddamy łajdaka... przy najbliższej okazji. Podświadomość nie odróżnia fikcji od rzeczywistości traktuje nasze konfabulacje najzupełniej poważnie i nie domaga się spełnienia gróźb w realnym wymiarze. Na szczęście, bo inaczej mało kto osiągnąłby pełnoletność.

Nikt nie rodzi się mordercą. Ewolucja, zaopatrując nasze umysły w zawory bezpieczeństwa, zadbała o to, byśmy się wzajemnie nie powyrzynali. A przynajmniej nie bez powodu.

Ja miałem powód.

Podążałem leniwie pustym chodnikiem, wśród podobnych do siebie domów z ogródkami. Aura majowego przedpołudnia przeganiała wszelkie złe myśli, spóźniona wiosna kwitła w przyrodzie i w duszy. Niczym spragniona dżdżu kania chłonałem świeżą zieleń ledwie przebudzonej z zimowego snu natury. W dodatku żaden czarny kot nie raczył przebiec mi drogi, a w kalendarzu trzynastka ciągle czekała na zerwanie. Radosny świergot ptaków i bezchmurne niebo sprawiły, że ogarnął mnie mój ulubiony filozoficzny nastrój. Pozwalałem myślom swobodnie dryfować, zapominając na chwilę, że jestem w pracy.

Zawsze byłem ciekaw, czy te wyrafinowane naukowe koncepcje dotyczące czasu naprawdę odnoszą się do rzeczywistości, czy są jedynie sprytnym wybiegiem pozwalającym zgrabnie zamknąć w równaniach nasz pokręcony świat. Podobno w różnych miejscach wszechświata zegary tykają zupełnie inaczej, a pojęcia przyczyny i skutku tracą sens, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni. W mikroskali, gdzie materia zmienia się w kwantową pianę, nieustannie pojawiają się maleńkie okienka prowadzące do przyszłości lub przeszłości. Te dziury w czasoprzestrzennym serze są zbyt drobne, by się przez nie przecisnąć, ale dobrze by było przynajmniej rzucić okiem przez takiego judasza...

Gdybym tamtego feralnego dnia mógł ujrzeć choćby niewielkie fragmenty tego, co mnie niedługo spotka, wiałbym stamtąd, jakby mnie goniły wściekle skunksy. No, może to przesada, wystarczyłoby tylko posłuchać swego wewnętrznego głosu, który odezwał się natychmiast, gdy stanąłem przed masywną bramą z kutego żelaza.

Nie, nie jestem jasnowidzem, broń Boże, to tylko mój osobisty imperatyw, mieszkający sobie wygodnie w podświadomości, namawiał mnie właśnie do lenistwa, rzucenia w diabły obowiązków i machnięcia ręką na prowizję. Takie uczucia dopadały mnie dość regularnie, przynajmniej raz dziennie. Cholera, jak ja nienawidziłem swojej roboty! Szczególnie w poniedziałek.

Wziąłem głęboki oddech, nakazałem temu gnojkwowi w głowie, żeby się zamknął, i nacisnąłem dzwonek domofonu. Nie doczekawszy się odzewu, znów położyłem palec na przycisku i zacząłem stroić miny,

niczym szympans pozujący do zdjęcia. W głośniku zaskrzeczało coś niewyraźnie. Pchnąłem furtkę, jednak ta ani drgnęła. Zdezorientowany nieco, spróbowałem pociągnąć w drugą stronę, i w tym samym momencie dostrzegłem wpatrzone we mnie nieruchome oko minikamery. Och, w mordę, ale mam dzisiaj wejście! Prędeż wezwą pogotowie, niż mnie tu wpuszczą. Wiadomo, szajbusy bywają niebezpieczni.

Skrzypnęły drzwi w głębi posesji. Próbowałem ratować swój wizerunek, przywołując na twarz wyraz empatii, cokolwiek to oznacza – takie było zalecenie z uporem maniaka wpajane nam podczas szkoleń. Nie wytrzymałem zresztą długo z miną uśmiechniętego śledzia, bo przez maleńki prześwit przy futrynie ujrzałem jakieś czarne bydlę, które z potwornym ujadaniem rzuciło się w moim kierunku. Wprawdzie brama wyglądała, jakby mogła zatrzymać czoląg, ale cofnąłem się odruchowo i poszukałem wzrokiem najbliższego drzewa.

– Proszę się nie bać, on się tylko bawi, ale nie gryzie... – beztroski głosik, zamiast dodać otuchy, pozbawił mnie wszelkich złudzeń. On nie gryzie?! No jasne, ten przerośnięty ratlerek nie musi rozdrabniać pokarmu, przełyka go w całości!

Coś szcęknęło, zazgrzytało, manipulacje trwały dłuszą chwilę, bydlę milczało, jakby chciało spotęgować jeszcze moją panikę. Czemu, u licha ciężkiego, nie kupiłem sobie pistoletu?! Nie, lepsza byłaby armata! Możliwie dużego kalibru.

Furtka uchyliła się bezgłośnie, ukazując smukłą postać w ciemnoczerwonym szlafroku. Siedzący obok rottweiler spoglądał obojętnie gdzieś w bok, udając, że ma mnie gdzieś. Niewątpliwie czekał jedynie, aż zamknie się brama, żeby nadprogramowa przekąska nie miała już szansy ucieczki.

– Nazywam się Apoloniusz...

Babka skinęła głową, zachęcając mnie do wejścia. Uczyniłem ostrożny krok, potem drugi i zatrzasnąłem furtkę z uczuciem, że naciskam spust przygotowanego do rosyjskiej ruletki pistoletu. Bydlę dalej mnie ignorowało. Panienska odwróciła się i poszła w stronę domu. Po kilku

krokach popatrzyła przez ramię, upewniając się, że podążam jej śladem. Spojrzenie, choć przelotne, nie było zwykłym muśnięciem wzrokiem – z zagadkowym półśmiechem otaksowała moją postać i zmrużyła lekko oczy, jakby zastanawiała się nad jakimś intrygującym pomysłem. Odgarnęła dłonią ciemnorude włosy, znów kiwnęła głową, a potem już bez oglądania się pomaszzerowała przed siebie. Kołysała biodrami w sposób tak sugestywny, że aksamitny materiał szlafroka zdawał się żyć własnym życiem, z wyraźną ochotą zsunięcia się na ziemię. Nie miała nic pod spodem, wiedziałem to. No dobra, podejrzewałem. Cóż, agent ubezpieczeniowy też facet.

Świadomość, że za plecami mam psa-mordercę, nie pozwoliła mi zatracić się w fantazjach. Zresztą przyszedłem tu, żeby wykonać swoją pracę. Nie pierwszy raz bogata klientka z nadmiarem wolnego czasu, spragniona odmiany po tych nudnych kąpielach w oślim mleku, kupowaniu kiecek wartych moich rocznych dochodów i udawaniu uwielbienia na widok męża – jakiegoś starego pryka, który był bardzo ważną osobistością – czyniła śmiałe gesty w moim kierunku. Zresztą na gestach zawsze się kończyło. Może nie umiałem podjąć gry na właściwym poziomie, ale raczej to one nie przekraczały pewnej granicy, grożącej utratą luksusów, jakich nie zrekompensuje nawet najbardziej upojna przygoda. A, do diabła z nimi wszystkimi! Oczywiście, w sprzyjających okolicznościach...

– Gdzie leziesz?! Nikt cię nie zapraszał! Zaskoczony popatrzyłem w orzechowe oczy utkwione w jakimś punkcie za moimi plecami. Musiałem mieć wyraz twarzy ciężko przestraszonego Muminka, jednak panienka zdawała się nie zwracać uwagi na mój stan. Pozwoliła, by jakiś podmuch wiatru zaplątał się w okrycie, odsłaniając znacznie więcej, niż to jest ogólnie przyjęte, dyskretnym rzutem oka upewniła się, czy patrzę we właściwym kierunku, a następnie przeniknęła do wnętrza domostwa. Dopiero teraz zorientowałem się, że mówiła do czarnego bydlaka.

Stałem w progu salonu, szukając wzrokiem gospodyni. Nimfomanka w szlafroku mogła być oczywiście służącą albo rozbestwioną córeczką tatusia, coś mi jednak mówiło, że jest drugą



połową pana domu.

W chałupie panowała głucha cisza. Najwyraźniej olewano tu moją obecność, tkwiłem więc bezradnie w miejscu i czekałem, aż ktoś raczy się mną zainteresować. Chrząknąłem głośno, zakasłałem. Żadnej reakcji. Wykonałem jeszcze grymas chorego na padaczkę szympansa i dałem spokój, uznając, iż wyczerpałem możliwości taktownego przypomnienia o swoim istnieniu. Z zawodowego nawyku zacząłem szacować w myślach możliwości finansowe potencjalnego klienta. Skórzana kanapa i fotele, antyczna komoda z jakąś starą porcelaną oraz kilka innych gustownych mebli nie było w stanie zapełnić przestrzeni – po salonie można było jeździć lawetą bez zbytniego ryzyka stłuczki. Kilka obrazów na ścianie wyglądało na Dudę-Gracza, Starowieyskiego i... no nie, to nie mógł być Dali! Gdyby to były oryginały, zestaw moich najlepszych polis na życie dla wszystkich domowników i uroczonego pieska stanowiłby infimumnie mały uszczerbek w majątku gospodarza.

Odetchnąłem głęboko, mobilizując siły przed kolejną próbą zarobienia na życie. Najważniejsze, że jestem w środku – pozostało tylko przywołać zestaw zawodowych uśmiechów, a mową ciała dać klientowi do zrozumienia, że robi fantastyczny interes, i prowizja moja.

Boże, jak ja nienawidzę tej roboty! I cholera, nie wiedzieć czemu, jestem w niej dobry. Może moje ofiary wyczuwają, że wcale nie pragnę sprzedać im piasku na pustyni, a robię to, co robię, bo chwilowo nie mam innego pomysłu na życie. Ech, mniejsza o to, dziś ten, jutro następny, za tydzień to samo, za rok to samo, kur...

– Panie Poloniuszu – ruda beztrąsko zniekształciła moje imię. Głos dobiegał z głębi domostwa. – Jestem na górze!

Odszukałem szerokie, wyłożone puszystą wykładziną schody. Gdy zastanawiałem się, czy przypadkiem nie wypada zdjąć butów, dobiegły mnie słowa:

– Za parę minut...

Stałem bezradnie, mocno już skołowany. Za jakie parę minut? O co jej chodzi? Jak dotąd nie miałem nawet okazji otworzyć ust, babka nie próbowała nawiązać do celu mojej wizyty, tylko wabiła mnie gdzieś za

sobą. Cała zabawa robiła się odrobinę niejasna. Ale właściwie, klient nasz pan. Bywałem już w dziwniejszych sytuacjach. Kiedyś mimo że – jak zawsze – byłem umówiony na konkretną godzinę, trafiłem w sam środek gejowskiej balangi, której uczestnicy z nieskrywanym entuzjazmem rzucili się na nowego kompana. Wyglądali jak głodne wilki wietrzące świeże mięsko. Nigdy w życiu nie byłem tak adorowany. Ze skrajnymi odczuciami przyjmowałem wyrazy uznania dla swej męskiej atrakcyjności. Starłem się być uprzejmy, pomny faktu, że preferencje seksualne klientów nic a nic mnie nie obchodzą. Skutek był zgoła odmienny od zamierzonego – potraktowany zostałem jak dziewczica w obozie dla rekrutów. Spełniwszy kilka wymuszonych bruderszaftów, wyrwałem się wreszcie z czułych objęć, obiecując pijanemu bractwu sprowadzenie kilku kolegów. Gdy wracałem do domu, sąsiad puścił do mnie oko. Zignorowałem go, zdziwiony nieco nagłym powodem u własnej płci. Dopiero reakcja żony uprzytomniła mi, że pochwały słynnej kobiecej intuicji są zdecydowanie przesadzone.

Nie wytarłem szminki z policzków...

Właściciel mieszkania wydzwaniał potem do mnie, przepraszając aksamitnym głosem za, jak to wielce subtelnie określił, „zbyt swobodne” zachowanie przyjaciół. Pragnął umówić się na kolejną randkę... tfu, do diabła! – wizytę. Odczepił się dopiero, gdy wyznałem z oporami, że mam pewien problem... Może zna dobrego, a przede wszystkim dyskretnego lekarza?

Dzisiejsza sytuacja jest dość typowa. Za chwilę zostaną poczęstowany kawą lub, co najwyżej, kieliszkiem koniaku i zaczniemy omawiać sprawę ubezpieczenia. Babka zagrała w swoją małą gierkę, ale teraz pokaże mi właściwe miejsce. Dostałem jej namiary od kolegi, który odchodząc z firmy, przekazywał swoje kontakty innym agentom. Dał mi też nieoficjalną charakterystykę klientki – uwagi o jej zachowaniu i prywatne spostrzeżenia, mające niby pomóc w naszej pracy – mało kto wie, że robimy coś takiego. Wprawdzie z danych wynikało, że powinna być dość postawną blondyną, ale... – wzruszyłem ramionami – w dzisiejszych czasach pieniądze i fachowcy od urody mogą zrobić

modelkę ze starego tłumoka. Zresztą, może mój poprzednik miał słaby wzrok? Albo gospodyni ubrana była cokolwiek... kompletniej. Gdyby zachowywała się jakoś nietypowo, pewnie by to zauważył. Nieważne, miałem tylko postarać się o rozszerzenie polisy. Rutyna.

Nie chciało mi się dalej stać jak kołek, wszedłem więc po schodach i zajrzałem do jednego z trzech pomieszczeń, którego drzwi były akurat szeroko otwarte.

Wielka sypialnia pełna była nagich postaci z bezwstydnym wdziękiem prezentujących swe ciała... Zafascynowany chłonałem niezwykle widok – rzeźby naturalnych rozmiarów obojga płci rozstawiono w całym wnętrzu. Ich twórca był niewątpliwie zwolennikiem realizmu w sztuce. Przez moment miałem wrażenie, że wszyscy znieruchomieli, nieprzyjemnie zaskoczeni wtargnięciem ubranego intruza. W ogromnych lustrzanych drzwiach zajmującej całą ścianę szafy wnekowej figury ukazywały się pod różnymi kątami, jakby projektant wystroju wnętrza pragnął umożliwić gościom oglądanie najdrobniejszych detali bez konieczności ruszania się z miejsca. Wśród kiczowatych nimf o wdzięku silikonowych hybryd z rozkładówek były tam i prawdziwe arcydzieła sztuki renesansu – rozpoznałem kopię słynnej postaci Dawida szykującego się do walki z Goliatem. Michał Anioł nie przypuszczał zapewne, iż jego dzieło trafi pod „strzechy”.

Zauważyłem ją wreszcie, ale tylko dlatego, że się poruszyła. Stała przed lustrem i płynnymi ruchami czesała długie włosy. Czerwony szlafrok leżał na podłodze, tuż za progiem, tworząc barierę, której nie dało się ominąć. Przekraczałeś ją na własne ryzyko.

– Wszyscy, którzy tu wchodzi pierwszy raz, zastygają jak te rzeźby. – Nie patrzyła na mnie, można było pomyśleć, iż mówi do siebie. – Zastanawiają się pewnie, czy sami tak wyglądają.

– Są... są niezwykle i tworzą nastrój. – Możliwe, że jaśniejsze ślady na jej ciele były bielizną, ale dałoby się to sprawdzić jedynie za pomocą dotyku.

– To nienaturalne kicze! – Odwróciła się nagle, a ja poczułem, że czerwienię się jak szczeniak. – Niech pan nie udaje, doskonale wiem, co

pan sobie myśli.

Chciałem podejść do niej i... niech diabli wezmą dobre obyczaje! W takich chwilach mężczyzna jest tylko samcem i kobieta ma nad nim całkowitą władzę. Wychowanie i kultura przegrywają z kretesem, a wszelkie nakazy moralne redukują się do nic nieznaczących popiskiwań gdzieś na skraju świadomości. Nikt mnie nie widział, nikt nie wiedział, co robię. Żona? Czego oczy nie widzą...

Widziała, co się ze mną dzieje, i tego właśnie oczekiwała. Znow obróciła się przodem do lustra. Postąpiłem pół kroku, nie odrywając spojrzenia od jej postaci, świadomy, że to ona rozpoczęła tę grę i ona narzuca reguły.

– Muniak może przyjechać w każdej chwili. – Nie raczyła nawet odwrócić głowy. – Z obstawą.

No i wszystko jasne. Naciesz się dupku tym, na co pozwolę, wyobraź sobie, jak kumple z rozdziawionymi gębami słuchają o twojej przygodzie, poliz loda przez szybę, pokaż, jak mnie pragniesz – ale nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Kobiety uwielbiają doprowadzać facetów na skraj szaleństwa i ucinąć grę, by delektować się zwycięstwem, sycić swą próżność i rozkwitać pod głodnymi spojrzeniami. Wraz ze spełnieniem przychodzi znudzenie i znika ta upajająca władza nad samcem.

Miałem cholerną ochotę przełożyć ją przez kolano i ręcznie wytłumaczyć, jak bolesne może być igranie z męską dumą. Pal licha prowizje! Napiąłem mięśnie, wyobrażając sobie jej wypięte, jędrne...

Niespodziewanie z rogu sypialni dobiegł dźwięk gongu, przerywając brutalnie moje czarowne wizje. Zerknąłem na złocony zegar, którego wskazówki zatrzymały się na pełnej godzinie. Po sekundzie z jego środka popłynęły dostojne dźwięki. Melodia wydała mi się znajoma. Co to ma być, u licha, marsz żałobny?! Gdzie ja trafiłem?

– On tak cały czas? – *Requiem* Mozarta miało jakąś hipnotyczną moc. Mimowolnie poszukałem wzrokiem trumny. – W nocy też?

– Można się przyzwyczaić, nie uważa pan? – Poruszyła biodrami niczym w zmysłowym tańcu.

– Czyj to pomysł? – zapytałem, byle coś powiedzieć. Nie patrzyłem już

na zegar.

– Muchy.

Nie uznała za stosowne wyjaśnić, kto kryje się za owadnim przezwiskiem. Podeszła niespiesznym krokiem do toaletki w rogu sypialni, usiadła i sięgnęła do małej szufladki. Zdawało mi się, że dostrzegam stringi utkane z pajęczyny. Albo było to wspomnienie po kostiumie kąpielowym. O ile produkuje ktoś kostiumy dające się schować w pudełku od zapalek, gdzie jeszcze zostałyby trochę miejsca. Pierwszy raz w życiu nie byłem pewien, czy kobieta, na którą patrzę, jest ubrana. Jakoś nie przyszło mi do głowy zapytać.

– Zaczekaj w salonie, ogarnę się trochę i zejdę. – Nagłym przejściem na „ty” zredukowała mnie do poziomu chłopca przynoszącego pizzę. Odwróciłem się bez słowa. Na schodach dogonił mnie obojętny głos: – Weź sobie coś do picia. Tylko nie ruszaj napoleona! Mucha zabije każdego, kto tknie jego ukochany trunek. Sprowadza go z Francji.

Zapadłem się w przepastnym fotelu i przytłoczony nieco otaczającą mnie fortuną, zastanawiałem się, czy wypada skorzystać z propozycji i sięgnąć do małego srebrnego barku na kółkach, zastawionego dostojnymi karafkami i butelkami o wymyślnych kształtach. Reguły mojej profesji mówiły, że poczęstunek należy przyjmować. Przelamuje się w ten sposób pewną barierę psychologiczną – klient, który ofiarował ci jakiś drobiazg, nieświadomie ustawia się w pozycji sponsora, a wtedy, metodą „plasterków salami”, odkrawamy sobie kolejne kąski. Proste jak czesanie łysych. Jednak wahałem się, gdyż większość napitków była mi obca, a nie chciałem wyjść na prostaczka sączącego koniak z kieliszka do likieru.

A, do licha! Wziąłem kryształową szklankę i, nasłuchując czujnie, szybko napełniłem ją do połowy jakąś brunatną cieczą z karafki. Spróbowałem łyček i skrzywiłem się z odrazą. Cholerstwo było cuchnące i mocne jak wszyscy diabli. Zapewne posiadało cudowny bukiet, lecz smakowało jak mieszanka rozpuszczalnika z bejcą. Nie żebym kosztował takiej mikstury, ale w końcu nie trzeba próbować gówna, by się przekonać, że w zasadniczy sposób różni się smakiem od

strucli serowej. Dopełniłem szklankę wodą i poszukałem popielniczki. Stała na małym stoliku pod oknem, obok drewnianego pudełka z cygarami. Wyjąłem z kieszeni papierosa, znów się zawahałem, ale uznałem, że bez dymu nie skończę zawartości szklanki. Przeleciało mi przez myśl, żeby napluć do pękatej flachy napoleona.

Posiedziałem chwilę, położyłem po salonie, znów usiadłem i zerknąłem na zegarek – panienka najwyraźniej nie szanowała mojego czasu. Trudno, przecież nie będę jej poganiał. Nawet jeśli niczego tu nie zwojuję, to i tak warto było. Zawsze jakaś odmiana po tych ciułaczach, z którymi użeram się na co dzień. Już ja wysmażę kumplom z biura odpowiednio przyprawioną relację. Treściwą i pikantną. Co by tu tak...? Basen! Powiedziała, że musimy najpierw popływać – taka fanaberia – żeby się niby lepiej poznać. A basen nie taki zwykły, nic pospolitego. Światła spod wody, bąbelki, muzyka... służąca w różowym fartuszk... nie, lepiej bez fartuszka podaje kieliszki z szampanem...

Bydłę zaszczekało donośnie, z dworu dobiegł głuchy tupot łap i radosne skowyty. Wyrwany raptownie z tępego błogostanu podszedłem do okna wychodzącego, jak przypuszczałem, na dziedziniec. Wielka gabłota stała już na podjeździe, a brama zamykała się bezszelestnie za jakimś terenowym potworem z przyciemnianymi szybami. Wysiadło z niego paru gości w marynarkach, podeszli do czarnego mercedesa i zaczęli rozmawiać, a właściwie to trzech słuchało, a jeden, potężny grubas koło pięćdziesiątki, coś im tłumaczył. Gestykulując oszczędnie jedną ręką, drugą tarmosił za uchem bydlaka. Wreszcie skinął głową i pochylił się nad psem. Faceci podeszli do bagażnika, odemknęli go i przez sekundę spoglądali do środka. Ich nieruchome twarze przypominały maski z antycznej tragedii. Jeden z typów odsunął się kilka kroków i sięgnął do kieszeni, obserwując beznamiętnie, jak kumple wywlekają ze środka nieprzytomnego mężczyznę. Padł bezwładnie na plecy, jak marionetka po spektaklu. Ujrzałem przez moment zmasakrowaną twarz. Z niepojętą fascynacją chłonałem makabryczne widowisko, czując, że ze zgrozy kurczą mi się wnętrzności. Typ stojący z boku wyjął coś z kieszeni i pochylił się nad leżącą postacią.

Zdrętwiałem, oczekując wystrzału, ale facet rozciągnął w rękach cienką linkę, błyskawicznie okręcił ją wokół szyi ofiary i szarpnął, naprężając gwałtownie mięśnie. Leżący zadrżał i poruszył konwulsyjnie rękami. Oprawca jeszcze mocniej zacisnął pętlę. Przekręcił głowę w bok, jakby nie chciał patrzeć w oczy ofiary. Przez moment nasze spojrzenia skrzyżowały się – doznałem wrażenia, że spoglądam w głąb świeżej mogiły. Jeśli oczy są odbiciem duszy, to on jej nie posiadał. Widziałem tylko czarne dziury w masce.

Cofnąłem się natychmiast, ale o ułamek sekundy za późno. Ten ułamek sekundy, w którym zapada wyrok śmierci. Bez szans na apelację, bo uzasadnienie jest zbyt oczywiste.

Z podwórza dobiegały wściekłe okrzyki. Rozejrzałem się desperacko, szukając jakiegoś schronienia. Wypadłem na korytarz, wbiegłem po schodach, rąbnąłem w jakieś drzwi i rzuciłem się do okna z rozpaczliwą pewnością, że to jedyna szansa ucieczki. Nie sprawdzałem nawet, co znajduje się na zewnątrz, przerzuciłem nogi przez parapet i po chwili wisiałem na wyprostowanych rękach. Zdawało mi się, że z okna słychać już odgłosy pogoni, rozwarłem dłonie i poleciałem. Wylądowałem twardo, ale przynajmniej w jednym kawałku. Zanim zorientowałem się, co robię, już biegłem. Widziałem przed sobą mur z cegieł – był coraz bliżej i rósł z każdą sekundą. Skręciłem instynktownie w stronę stosu porąbanego na szczapy drewna. Nogi same wiedziały, na czym stanąć, ręce wymacały szczeliny w spoinach i już byłem na wierzchu. Huk wystrzału i świst nad głową zlały się w jedno. Ześlizgnąłem się na drugą stronę i pognałem wąską piaszczystą drogą.

Samochód zostawiłem nieco dalej, bo nie lubiłem pokazywać rzęcha bogatym klientom. Biegnę w dobrym kierunku?! Cholera, nie wiem!

Wpadłem w jakąś wąską przecznicę i stanąłem, usiłując pozbiierać myśli. Będą mnie gonić? A co, kurwa, posłać całusy na do widzenia?! Wezmą psa. Nie, to nie jest pies tropiciel. Gdzie ta cholerna bryka? Zaraz, tylko bez paniki, postawiłem go w bocznej uliczce na lewo od celu wizyty. Ta jest na lewo, ale to pewnie będzie następna. Wrócić do głównej? Ale oni tam już będą. Zauważyłem przejście między posesjami.

Powstrzymałem się od biegu, żeby nie stracić orientacji. Po minucie wyszedłem na zwirową drogę i kilkaset metrów dalej ujrzałem czerwonego poloneza. Pomknąłem, jakby od tego zależało moje życie. Bo akurat zależało. Dopadłem drzwiczek z kluczykami w rękę. Relikt jakimś cudem odpalił za pierwszym razem.

Jeszcze nigdy tak intensywnie nie wpatrywałem się we wsteczne lusterko. Skręciłem parę razy dla zmylenia prześladowców, całkowicie zapominając o fakcie, że bandyci nie znają mojego samochodu. Byle do głównej szosy. Wśród innych aut będę bezpieczny.

Minąłem znak „Warszawa 17” i zacząłem myśleć spokojniej, a przynajmniej usilnie starałem się to robić. Co teraz? Proste, jadę na policję. Opowiem dokładnie, co widziałem, podam adres, w bagażniku czarnego mercedesa znajdą ślady, gość się nie wywinie i będzie po sprawie. Kim on może być, ten cały Mucha? Mafia? Cholera, mogą się mścić. Ale co mam zrobić? Morda w kubel i zapomnieć? Wrócić do domu, jakby nigdy nic, ucałować żonę, obejrzeć z córką dobranockę, jutro wstać do pracy, a przy najbliższej okazji zabalsamować się w trupa... Sumienie lubi taką terapię, powinno z czasem odpuścić. Tymczasem bandyta będzie sobie posuwał pancerną bryką i miał w dupie cały świat, wszystkich uczciwych prostaczków, których dzieciaki ćpają jego towar.

No i co? Kiedyś wpadnie albo ktoś go załatwi. Takim łachudrom zawsze się wreszcie nóżka powinie. Na jego miejsce przyjdzie inny – odwieczne prawa popytu i podaży wykreują następcę. Dlaczego mam strugać bohatera, narażać rodzinę w imię spróchniałych ideałów sprawiedliwości czy gównianych sloganów o obywatelskiej postawie? Bo nie mógłbym patrzeć na siebie w lustrze? Ciężko by było, ale może i mógłbym. Tylko że za miesiąc albo za rok, widząc narkomana na dworcu, zacznę się zastanawiać, czy gdybym kiedyś był odważniejszy, to ten wrak stałby tu teraz, zebrząc o złotówkę. Ilu ludzi ten pieprzony bandzior pośle do piachu, bo ja chcę mieć święty spokój?

Ciemny masywny obiekt pojawił się we wstecznym lusterku niczym zjawą i potężniał błyskawicznie, najwyraźniej chcąc mnie staranować.



Przywarłem do kierownicy w oczekiwaniu uderzenia, które zmiecie z szosy moją żalną kupę czerwonej blachy. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że nie czuję bólu, w takich chwilach nic się nie czuje. Jeszcze sekunda...

Monstrum zaczęło wyprzedzać z lewej strony, przyciemniona szyba opuściła się powoli. Widziałem wszystko niezwykle wyraźnie, jakby w zwolnionym tempie, i dokładnie wiedziałem, co za chwilę ma się wydarzyć. Rozwalą mnie z karabinu! Kopnąłem hamulec i zamknąłem oczy. Tylko na moment. Pisk opon i przenikliwe klaksony przywróciły mnie do świata żywych. Karawan oddalał się szybko, zobaczyłem jeszcze cofającą się do środka rękę. Jak zahipnotyzowany śledziłem niedopałek unoszony wiatrem.

Na skraju szosy leżało zmasakrowane oponami truchło kota. Muchy zaczęły już swoją robotę. Muchy... Nieprzyjemne skojarzenia zakotłowały się pod czaszką. Oparłem głowę na kierownicy. Miałem ochotę wysiąść, zagrzebać się w zielsku na poboczu i odlecieć. Przerażające wydarzenia zamieniają się w pospolite senne koszmary, wystarczy się tylko obudzić, a wszystko powróci do jakże swojskiej normalności. Nie będzie Muńka, ścigających mnie bandytów i nimfomanki. Wrócę spokojnie do domu, Dorota poda obiad, włączę telewizor i skupię się na czymś realnym i naprawdę istotnym – wieczorem ma być transmisja meczu...

Na razie jednak musiałem skupić się na rzeczywistości w postaci wielkiej dłoni walącej w szybę. Zwalisty jegomość o czerwonej gębie, mający szczerą ochotę pogawędzić ze mną o nagłych manewrach na drodze, nie wyglądał na skłonny wysłuchać rzeczowych argumentów. Nie dziwiłem mu się, co nie znaczy, że miałem ochotę na wymianę poglądów. Ruszyłem czym prędzej, puszczając mimo uszu wiązaną najwulgarniejszych wyzwisk, którymi zapewne grubas pragnął przekazać mi niezbyt starannie zawołowaną sugestię, bym przemyślał powtórne zdawanie egzaminu na prawo jazdy.

Zdarzenie to miało ten skutek, że znów zacząłem myśleć jakby nieco rozsądniej.

A skąd ja właściwie wiem, że ten cały Mucha handluje karnetami do raju? Może zajmuje się zapewnianiem nisz rynkowych, które to zajęcie nieprzychylni obywatelskiej przedsiębiorczości celnicy nazywają przemytem, lub też trudni się proponowaniem płatnej ochrony, określanej przez zawistnych wymuszaniem haraczy? Tylko czy to stanowi jakąś różnicę? Widziałem go w akcji! Tacy zawsze pozbywają się niewygodnych świadków. Jego ludzie mnie znajdują. Nimfomanka raz dwa wyśpiewa, z kim się umówiła. Oby tylko ten oprych nie zechciał uciszyć jej na zawsze. Wpuściła do domu faceta, może kochanka, który zobaczył zbyt wiele... Kto wie, czego mu nagadała? Nieważne, teraz nijak jej nie pomogę. Jadę na policję! Już oni będą wiedzieli, jak ochronić świadka zbrodni i jego rodzinę.

Ciągle miałem niejasne wrażenie, że umknęło mi coś ważnego, że zapominam o czymś, co radykalnie zmieni moje położenie. Nagle zacisnąłem ręce na kierownicy, a przed oczyma wyrósł mi nagrobek ze starannie wykaligrafowanym imieniem i nazwiskiem. Moim nazwiskiem.

Teczka! Zostawiłem teczkę, a w niej dokumenty.

Adres już znają, mogą być u mnie w domu prędzej niż ja.

Telefon! Zjechałem na pobocze, wyjąłem aparat i spojrzałem na godzinę. Minęła czternasta, Doroty jeszcze nie będzie. Zadzwoić do pracy i... Właśnie, i co?! Kazać jej nie wracać do chałupy, bo mogą się tam czaić bandyci, by ją porwać, żeby mieć kartę przetargową? Pomyśli, że jestem pijany.

Przenikliwy dzwonek telefonu poraził mnie, jakby w samochód uderzył piorun. Aparat wypadł mi z ręki i poleciał pod siedzenie. Wymacałem go drżącą dłonią, ryzykując nabicie sobie guza. Ale co tam! Spojrzałem na wyświetlacz, numer nic mi nie mówił.

– Pan Apoloniusz? – kobiecie głos z jakąś pretensjonalną nutą wydał mi się znajomy.

– Oddzwonię później, nie mogę teraz rozmawiać!

– W tym momencie miałem gdzieś wszystkich klientów.

– Chwileczkę, to ja... – wyszeptała gorączkowo i przez moment czekała

na reakcję. – Był pan dzisiaj u mnie... W Halinowie.

Nimfomanka od Muchy! Podświadomie ucieszyłem się, że jeszcze żyje, ale natychmiast poczułem, że jej telefon oznacza kłopoty. Czego ona, u diabła, może chcieć?!

– Po co pani dzwoni?

– Mucha wziął chłopaków i pojechał szukać pana po okolicy. Znalazłam pana teczkę i numer telefonu w papierach. Oddam panu wszystko, tylko jak?

– Dlaczego pani szepcze? – spytałem dla zyskania paru chwil do namysłu. Jeśli byłem czegoś pewien, to tego, że gdybym nawet miał żyć jeszcze sto lat, nie pojawię się w Halinowie, choćby zaprosił mnie tam sam prezydent.

– Nie wiem... – podniosła nieco głos. W tle usłyszałem dźwięk gongu, a następnie czyste nuty marsza pogrzebowego. – Powiedziała mi, że przedstawił się pan jako jego znajomy. Rozumie pan, żeby się mnie nie czepiał, że wpuściłam byle kogo. Jak Muniak znajdzie teczkę, to zorientuje się, kim pan jest, i jeszcze sobie coś o nas pomyśli... Na pewno będzie miał pretensje.

Słuchałem oniemiały. Muniak będzie miał pretensje! Pewnie, okaże delikatną dezaprobatę, umieszczając moje ciało dwa metry pod ziemią, abym w spokoju przemyślał swój brak kultury.

– Pani Jolu – przypomniałem sobie jej imię. – W żadnym wypadku nie pojawię się w okolicy ani teraz, ani nigdy! Pani wie, co się stało? Wie pani.

– Aleteczka...

– Teczka jest teraz najmniej ważna... – Cholera, co ja chrzańię?! Właśnie że jest ważna! Jeśli pozna moje zamiary, to nawet kiedy go zamkną, nie będę pewien dnia ni godziny. – Nie, moment, czy może pani wyjść z domu, wziąć taksówkę i gdzieś pojechać?

– Jestem nieubrana...

Nie wywaliłem telefonu przez no tylko dlatego, że miałem podniesione szyby. A także dlatego, iż posiadam niezłe rozwiniętą wyobraźnię, a ta podsunęła mi nie tylko obraz rozneglizowanej nimfy,

ale i inny, w którym przymierzano mi drewniane wdzianko.

– Pani Jolu, to nieważne, taksówkarze nie zwracają uwagi na takie drobiazgi... – rzuciłem roztargnionym tonem. Konwersacja robiła się cokolwiek idiotyczna, z niejakim trudem spróbowałem pokierować ją w pożądaną stronę. – Muszę iść na policję. Gdy ten pani Mucha mnie dopadnie, pani też będzie miała kłopoty. Jeśli odda mi pani teczkę, będzie widać, że pragnie mi pani pomóc i nie ma nic wspólnego z mordercami.

Przedłużające się milczenie oznaczało chyba, że nimfomanka potrafi jednak myśleć i kojarzyć podstawowe fakty, a jej lojalność ma swoje granice. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

– Dobrze, niech pan idzie na policję, tylko proszę nie wspominać o mnie. Proszę powiedzieć... Nie, wróć!

– Milczała przez sekundę. Gdy znów się odezwała, jej głos brzmiał zupełnie inaczej. Odrzuciła pozę słodkiej blondynki, była rzeczowa i stanowcza: – Najpierw oddam panu teczkę. Gdzie mam przyjechać?

– Yyy... – Kombinowałem przez moment, gdyż ta nagła chęć współpracy wydawała się podejrzana. – W Starej Miłosnej jest taki zajazd czy hotel U Czeška, taryfiarz będzie wiedział. Niech pani natychmiast wyjdzie z domu, znajdzie jakąś boczną uliczkę i zadzwoni po taksówkę. I proszę nie stać na widoku, rozumie pani? Proszę się schować, choćby w krzakach.

– Dobrze. Stara Miłosna, U Czeška. Spróbuję.

Ona spróbuje! Oczyma wyobraźni ujrzałem, jak stoi przed otwartą szafą w sypialni i przebiera w kieckach, gdy tymczasem Muniek wraca wściekły i pierwsze, co widzi, to moja teczka porzucona beztróska na podłodze. W pięć sekund dowie się wszystkiego i taryfa wyruszy z ogonem jak stąd do Wrocławia. Inna sprawa, że gdyby jakimś cudem w Starej Miłosnej znaleźli knajpę o nazwie U Czeška, byłby to przypadek jeden na sto tysięcy. Wątpiłem czy w całym kraju jest choćby jeden przybytek o tak idiotycznej nazwie. Chociaż, właściwie to dość popularne imię... Och, w mordę, czy ja już nie mam większych problemów?!

Najważniejsze, że tym raczej niewyszukanym manewrem zyskałem trochę czasu. Taryfiarz nie musi znać knajp w każdej pipidowie, pojedzie na pewno, żeby spytać miejscowych. Tylko co mi to dawało? Gówno! Przecież nawet jeśli Mucha nie ma jeszcze moich papierów, Jola kiedyś wróci do domu. I co wtedy? Będzie milczeć jak głaz? Może wyrzuci gdzieś tę cholerną teczkę, może nie zwróciła uwagi na adres, może wykasuje numer z telefonu? Każde kolejne „może” było jak grudy ziemi spadające na wieko trumny. Muszę, po prostu muszę odzyskać swoją własność! Bez dokumentów ten bandzior nie zdąży ustalić moich dokładnych namiarów, zanim zgarnie go policja. Potem już gliniarze mnie ochronią, utajnią dane i będę bezpieczny.

Po piętnastu minutach byłem już w mieście. Jechałem przed siebie, cały czas wyczekując w napięciu sygnału telefonu. Wreszcie uznałem, że nie ma co dłużej zwlekać – próba za darmo. Sięgnąłem po aparat, wywołałem odebrane połączenia i wcisnąłem przycisk. Zgłosiła się, nim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

– Halo, to pan? Nie możemy znaleźć tego...

– Proszę posłuchać – przerwałem jej prędko. – Wie pani, gdzie jest Pałac Mostowskich? Komenda Stołeczna?

– No...

– Nieważne, taksówkarz będzie wiedział. Niech pani tam jedzie, będę czekał na parkingu.

– Co pan wyprawia?! Ja nie mogę...

– Słuchaj kobieto! I tak masz przechlapano! Oddaj mi teczkę i będziesz czysta, o niczym nie wiedziałaś. – Pozwoliłem, by dotarło to do niej, i dodałem z naciskiem: – Muszę iść na policję, bo inaczej twój Mucha mnie zabije. Nie mam wyboru.

– Nie, zaczekaj! – Przeszła na ty, co mogło oznaczać, że rozumie powagę sytuacji albo że znów spróbuje jakichś babskich sztuczek. – To nie jest dobry pomysł. Ty zupełnie nie orientujesz się...

– Widziałem, co potrafi, i on wie, że widziałem! – usłyszałem w swoim głosie nutki hysterii. – Przyjedź tam, a ja zaświadczę, że chciałaś mi pomóc.

- Nie, nie rób tego, ty go nie znasz! Nie wiesz, w co wdeptujesz, narobisz tylko zamie...

- Będę czekał godzinę. - Przerwałem połączenie. Zadzwoiła po minucie, ale nie odbierałem. Cholerna nimfomanka. Przyzwyczajona, że każdego facia może ogłupić, pokazując to i owo. Cóż, poradzi sobie. Takie cizie zawsze sobie jakoś radzą.

Zaparkowałem na Karmelickiej i szybkim krokiem poszedłem na skróty między domami w stronę komendy policji, wybierając jednocześnie numer Doroty.

- Cześć, to ja. Słuchaj, stało się małe nieszczęście.

- Co takiego? - spytała bez szczególnego zainteresowania.

- Kupiłem okazjnie od Benka taki preparat na insekty, żeby wytruć te twoje mrówki. Byłem wcześniej w domu, spryskałem wszystko, no i... no i potem doczytałem się w ulotce, że to jest cholernie szkodliwe. Neutralizuje się dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach. Trzeba zachować wyjątkowe środki bezpieczeństwa, a ja...

- No, mówże po ludzku! Co zrobiłeś?!

- Źle się czuję, chyba pojedę do szpitala.

- O Boże, jedź natychmiast! - Przejęła się wyraźnie, ale czekałem na ciąg dalszy. Nie zawiodłem się na swojej małżonce. - A co z dzieckiem? Już wiem, pojedziemy do babci.

- To będzie najlepsze. Dzieciaki łatwiej wchłaniają takie rzeczy - powiedziałem tonem winowajcy, by utwierdzić ją w słuszności decyzji. - Zostaw Sabinę z babcią, do pracy masz dobry dojazd. Muszę już kończyć, bateria mi siada...

- Ale zadzwoń później!

Widziałem już szare mury, kojarzące się ze wszystkim, tylko nie z pałacem. Gąszcz anten na dachu i kraty w oknach jasno przypominały o obecnym przeznaczeniu budynku. Przycupnąłem na ławce obok kina i paląc papierosa, spoglądałem na parking przed komendą. Przyjedzie? Jakby w odpowiedzi zadzwoił telefon.

- Słuchaj, przyjadę niedługo, ale nie wchodzi tam! - nimfomanka prawie krzyczała. - Musimy porozmawiać. Ty naprawdę nie wiesz, co

robisz!

– Nie bój się, zaczekam i pogadamy. Ustalimy, co masz mówić.

– Dobrze, tylko czekaj! – Bała się naprawdę albo cholernie dobrze udawała.

Miałem wreszcie trochę czasu na myślenie, zdusiłem szluga i zaraz sięgnąłem po następnego. Zacząłem zastanawiać się nad dzisiejszymi wydarzeniami. Jednak to nie był najlepszy pomysł – w miarę jak analizowałem kolejne fakty, odczuwałem coraz większy ucisk w bebeczach. Powiodłem dookoła rozbieranym wzrokiem, natychmiast dostrzegając wśród przechodniów kilku zakamuflowanych oprychów, którzy z cynicznym wyrazem twarzy szykowali się do usunięcia mnie ze spisu wyborców. Gdyby teraz jakiś znajomy klepnął mnie znieacka w plecy, musiałby mnie potem reanimować.

Rany, w co ja się wpakowałem?! Przed oczyma, nie wiedzieć czemu, migają mi fragmenty naszych seriali sensacyjnych. Jakieś pościgi, strzelaniny, trupy... Przytłoczony emocjami umysł próbował znaleźć wyjście z sytuacji, wyciągając z otchłani podświadomości pasujące do okoliczności obrazy – moja wiedza o bandytach i sposobach obrony przed nimi miała swe źródło w małym ekranie. Niestety umysłu nie da się przełączyć na inny kanał tak łatwo jak telewizora. Brakuje pilota.

Żeby jakoś usunąć w cień jawiące mi się okropności, spróbowałem skupić się na tym, co koniecznie muszę niedługo zrobić. Dobra, wezmę ninfomankę za fraki i na siłę zaciągnę do komendy. Potem wszystko opowiem i... I dopiero zacznie się bal! Albo dobrze znają gościa i tylko brakowało im dowodów w postaci, na przykład, moich zeznań, albo zaczną godzinami spisywać protokoły, wnikać w istotne i nieistotne detale, konfrontować mnie ze słodką Jolą. Ona oczywiście nie będzie miała pojęcia, o co chodzi – próbowała tylko oddać mi zębę. Tymczasem Mucha utopi mercedesa w Wiśle i błyskawicznie ustali moje personalia. No nie, cholera, to nie Sycylia, Muniek to nie żaden *capo di tutti capi*, a gliniarze ze Stołecznej to nie przedszkolaki bawiące się w policjantów. Przyskrzyniali już poważniejszych gangsterów.

Popatrzyłem w stronę wejścia do Pałacu Mostowskich. Co chwilę

podjeżdżał jakiś radiowóz, na małym dziedzińcu mijali się funkcjonariusze, przeważnie w mundurach i z bronią u boku – wyglądali solidnie i profesjonalnie, jak właściwi ludzie na właściwym miejscu. Chociaż... nie wszyscy. Jakiś dobrze zbudowany cywil w garniturze i ciemnych okularach stał nieco z boku. Obserwował uważnie parking, przyglądał się samochodom, zerkając od czasu do czasu w stronę wjazdu. Pewnie czeka na kogoś... Może na mnie?!

Skuiliłem się na ławce. Kurwa, tylko bez paniki! Marynarkę zostawiłem w samochodzie, nie ma szans, żeby mnie poznali, moja twarz mignęła jednemu w oknie raptem przez ułamek sekundy. Gdyby ten bysior był od Muchy, to by się tak nachalnie nie eksponował, w końcu jestem pod komendą policji. Odprężyłem się, przynajmniej zewnątrz. Wstałem i udając kinomana, spacerowałem powoli, lustrując ukradkiem okolicę. Poznam ich samochody? Dupa błada, w zasięgu wzroku znalazłem kilka czarnych bryk zaparkowanych tak, by nie rzucały się w oczy. Ale przecież w dowolnym miejscu w centrum miasta mógłbym dostrzec to samo. Parkometry jakoś nie rozwiązały problemów parkingowych stolicy. Wręcz przeciwnie. Zmotoryzowani spryciarze stawiają auta, gdzie popadnie, ignorując wygodę pieszych tudzież reszty szczęśliwych posiadaczy czterech kółek.

Pod komendę zajechała taksówka, ze środka wyskoczył jakiś niepozorny chudzielec i pokonując po dwa stopnie, zniknął w budynku. Moja ręka sama sięgała po papierosa, ale zastygła w okolicach kieszeni. Zobaczyłem następną taryfę. Jechała wolno przez parking, wydało mi się, że dostrzegam głowę z ciemnorudymi włosami rozglądającą się uważnie. Schowałem się za drzewem i czekałem. Samochód zatrzymał się nieopodal i wypuścił ubraną na czerwono postać – przez jedną okropną chwilę ujrzałem scenę żywcem wyjętą z jakiegoś niskobudżetowego filmu dla dorosłych: ciągnę nimfomankę za fraki do komendy, równocześnie bysior w ciemnych okularach startuje w naszym kierunku, tymczasem Jola opiera się ze wszystkich sił, piszcząc jak molestowana dziewica. Szamoczemy się przed wejściem, momentalnie robi się zbiegowisko, w pewnej chwili czuję, że mam w



ręku sam materiał, a jego właścicielka, zasłaniając się moją teczką, pędzi przed siebie, niczym gwiazda filmowa zdybana przez paparazzich na plaży nudystów. Oczywiście pół komendy rzuca się w pogoń... Nie, co za ulga, to nie był szlafrok, tylko sukienka, widocznie czerwien to jej ulubiony kolor.

Pomachałem jej ręką i czekałem, aż podejdzie. Odebrałem teczkę, zważyłem ją w dłoni i spytałem:

– Co robi Mucha? Wie coś o mnie?

– Nie. – Pokręciła szybko głową. – Nic mu nie powiem. Jak się dowie, to mnie zabije!

Chciałem uświadomić kretynce, że moim zdaniem wyciągnie z niej wszystko w trzydzieści sekund, ale nie zdążyłem. Gość, na którego zwróciłem wcześniej uwagę, szedł w naszym kierunku i mówił coś do telefonu, prawie nie poruszając ustami. Patrzył nieruchomym, pustym wzrokiem. Jego zdecydowane ruchy miały w sobie coś złowieszczego nieuchronnego – miał zadanie do wykonania i nic go nie mogło powstrzymać! Zostało mu jeszcze do przejścia ze trzydzieści metrów, chwyciłem więc Jolę za rękę i pociągnąłem w kierunku stojącego opodal radiowozu.

– Panowie, ratunku! – krzyknąłem do ubranych na czarno gliniarzy. Osilek w marynarce stanął w miejscu, a ja zerknąłem kątem oka na jęczącą coś dziewczynę. Jej przerażony wzrok przystopował mnie nieco. Przecież Mucha naprawdę może ją ukatrupić. Ma zginąć przeze mnie?

– Co się stało? – Policjanci przyglądali mi się uważnie.

– Panowie, żona rodzi! Jakieś komplikacje! – Spojrzeli zaskoczeni na zgrabną sylwetkę mojej towarzyszki, więc prędko uściśliłem: – Musimy z siostrą szybko jechać do szpitala!

– Który szpital? – Gliniarz sięgnął po radiotelefon.

– Nie, nie trzeba. Mam niedaleko samochód, podwieźlibyście nas tylko. W wozie mam badania żony.

Porozumieli się wzrokiem i po paru sekundach jechaliśmy na Karmelicką. Uparli się, że będą nas eskortować. Jakoś nie miałem nic przeciwko.

– Szpital Bielański – poinformowałem uczynnych stróżów prawa.

Skupiłem się na wstecznym lusterku, ale chyba bandyci mieli samochody ukryte gdzieś dalej, bo nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Tym niemniej sytuacja skomplikowała się potwornie.

Zwolniłem. Co ja znów najlepszego zrobiłem? Gdzie mnie diabli niosą? Z niejakim opóźnieniem dotarło do mnie, że narażam życie dla ratowania tyłka kobiety gangstera i przy okazji ratuję też jego zapasione cztery litery. Miałem wielką ochotę zawrócić i oddać się w ręce organów sprawiedliwości. Tyle że przed komendą czaili się bandyci.

Jola od dłuższej chwili próbowała coś mi powiedzieć.

– Słyszysz? Posłuchaj mnie! – podniosła głós i chwyciła za rękę, którą zmieniałem biegi.

– Co takiego?

– Co teraz, co chcesz zrobić?

– Spokojnie. Mucha na pewno nic o mnie nie wie? Nie zna moich zamiarów?

– Nie.

– Dobrze, gliniarze raczej nie wejdą za nami do szpitala. Zawiozę cię potem, gdzie chcesz, ale na policję muszę pójść. Sama wiesz, że inaczej trafię do piachu.

– Daj mi trochę czasu, muszę uciec, wyjechać... – Jej oczy błędziły po okolicy, nie zatrzymując się na żadnym punkcie. – Na szczęście mam wszystko przy sobie.

Zdziwiony zerknąłem na jej mikroskopijną czerwoną torebkę.

– No, dokumenty... Pieniądze mogę wziąć z konta, mam własne.

– Gdzie chcesz jechać?

– Nie wiem, pomyślę. – Kątem oka dostrzegłem, że przygląda mi się z namysłem. – Przenocuj mnie gdzieś. Muniak może nas szukać po hotelach.

– Nas?! – Okazało się, że łatwo nie pozbędę się balastu. – Masz chyba jakichś znajomych?

– Wspólnych.

No nic, trudno. Bez niej Mucha w żaden sposób mnie nie znajdzie,

więc wystarczy, jeśli jutro zgłoszę się na policję. Tylko co mam teraz zrobić z tą kłopotliwą lalunią? Lepiej, żeby nie wiedziała, gdzie mieszkam... Działka!

– Pojedziemy na moją działeczkę. Mam altankę, noce ciepłe...

Przybrała pozę modelki i spytała:

– Nie chcesz pokazać mnie żonie? – Zauważyłem, że coś podejrzanie szybko się uspokoila. – Jestem od niej ładniejsza?

Ładniejsza? Czy lalka Barbie jest ładniejsza od szmacianej kukielki z oczami z guzików i nosem z muszelki, którą kiedyś zrobiłem córce ze starej skarpety? A czy ty wiesz, śliczna Jolu, co to znaczy iść razem przez to popieprzone życie, planować wspólnie coś małego, ale ważnego, jak wyjazd na kilka dni albo kolację w rocznicę ślubu? Wiesz, jak pięknieje kobieta, gdy pyta swojego mężczyznę o radę albo muśnie dłonią jakiś pierwszy siwy kosmyk na jego głowie i mówi, że do twarzy mu z nim?

Nie uznałem za stosowne dzielić się z nią swymi refleksjami.

– Mogę poprosić kumpla, żeby cię przenocował. Sam mieszka...

– Nie, wolę już działkę – przerwała pośpiesznie. – Altanka, świerszcze... to takie jakoś bardziej romantyczne.

Zapewne w innych okolicznościach jej ostatnia uwaga wydałaby mi się niezwykle intrygująca, ale umknął mi jej dwuznaczny sens, bo właśnie dotarliśmy do celu. Stałem przed Szpitalem Bielańskim i prawie biegiem zaciągnąłem Jolę do izby przyjęć. Uczynni gliniarze rzeczywiście nie pofatygowali się za nami. Dla pewności odczekaliśmy kwadrans, obserwując zaafetowanych nową rolą przyszłych ojców.

Po pół godzinie zaparkowałem na Białołęce. Wąską alejką wśród ogródków doszliśmy do mojego skrawka ziemi. Jak to w dzień powszedni, było pusto i cicho, tylko nieliczni emeryci dłubali coś przy grządkach, nie interesując się otoczeniem. Zieleń, cisza i sielska atmosfera otoczenia działały kojąco. Uświadomiłem sobie wreszcie, że moja ponętna towarzyszka coś wyjątkowo łatwo zgodziła się oddać pod opiekę nieznanemu. Niby nie miała wyboru, ale tak czy inaczej sytuacja niezbyt ją krępowała. Może jednak będzie co opowiadać kumplom?

W altance Jola natychmiast usiadła na łóżku, jakby chciała zająć sobie najlepsze miejsce. Prawdę mówiąc, było najlepsze, miałem jeszcze dwa taborety i ławkę przed wejściem.

– Pić mi się chce. – Rozejrzała się po skromnym wnętrzu. – Masz tu kuchnię? Co będziemy jeść?

– Jest butla z gazem, no i mam całkiem zgrabnego grilla, ale z zapasami raczej u mnie krucho. Pójdę do sklepu, to niedaleko. Masz ochotę na coś szczególnego?

– Nie, właściwie nie jestem głodna. Kup cokolwiek.

– Ziewnęła i oparła się na poduszkach. – I weź coś zimnego do picia.

– Piwo?

– Nie, alkohol mnie zupełnie rozkłada. Jestem wtedy do niczego...

– Dobra. – Z niejakim trudem zdusiłem chęć ustalenia, co konkretnie miała na myśli. Pomyślałem tylko, że jednak wezmę coś wysokowego. Tak na wszelki wypadek. – Niedługo wracam.

Uszedłem może sto metrów, gdy sięgając po papierosy, uświadomiłem sobie, że nie wziąłem pieniędzy – zostały w tej mojej feralnej teczce. Widać szansa na maleńką przygodę bez następstw spowodowała lekkie roztargnienie. Cóż, nie jestem z drewna, nigdy nie udawałem lepszego, niż jestem – przynajmniej przed sobą. No nic, kto nie ma w głowie...

Podchodząc do altanki, odniosłem wrażenie, że ze środka dobiega głos Joli. Nawija sama do siebie? Czyżby była bardziej pokrecona, niż mi się zdawało? Na palcach podkradłem się do drzwi.

– ...dziesiąt pięć. Tak, na Białogórze. Nie, najpierw załatwicie żonę i córkę, w tej chwili to najważniejsze, mógł już z nimi rozmawiać, jego skasujemy później... Co? Dwie? Jasne, przytrzymam go i pięć godzin. Niech chłopaki ubiorą się jakoś zwyczajniej, żeby się tak nie rzucali w oczy... Poradzę sobie, to palant. Myśli, że ratuje mnie przed zemstą Muchy...

Na sztywnych nogach ostrożnie wycofałem się do alejki i jak lunatyk poszedłem przed siebie. W morde, i co teraz?! To dziwka! Wysyłała do piachu mnie i moją rodzinę, a nawet nie zadrżała jej głosik. No i co mam z nią zrobić? Zarząbać siekierą i zakopać w kompoście? A potem przywała

mi dożywocie, bo nie wolno samemu wymierzać sprawiedliwości... Trzeba zawiadomić gliny i przestać się przejmować tą lalunią! Tylko że teczka została w altanie... Może nie zdążyła wychłapać wszystkiego Muńkowi? Mam dwie godziny, żeby się dowiedzieć. Niecałe.

Zastanowiłem się przez moment, czy zdołam skłonić ją do powiedzenia prawdy. Na pewno nie była słodką idiotką, właśnie pokazała pazurki, a jeśli zagram w otwarte karty, może zamienić się w panterę. Należy zagrać inaczej... Zaświtał mi pewien pomysł, ale nie byłem do końca pewien swych aktorskich zdolności. Postanowiłem jednak spróbować. Pomaszerowałem z powrotem.

- Cholera, sklep zamknięty. Pojadę samochodem, coś ci szybko przywożę i jadę do domu. Przyjadę po ciebie jutro.

Jeśli czegokolwiek byłem pewien, to tego, że nie pozwoli mi nigdzie pojechać.

- Gdzie pojedziesz? Chyba nie na policję? - Czyżby wyczuła coś w moim głosie? - Nie zostawiaj mnie samej. Boję się...

Boże, co za aktorka! Ciekawe, do czego oprócz minek porzuconej sieroty by się posunęła, żeby mnie zatrzymać. Niestety nie miałem czasu sprawdzić.

- No dobrze, zostaną. - Usiadłem obok niej. - Rozpalimy grilla, nie będzie nam się nudziło. A rano coś wymyślimy.

- Muszę do toalety.

- Za domkiem stoi komórka z desek, tam jest kibelek. Trochę może niewygodny, ale nie stać mnie na luksusy.

Nie zabrała torebki z telefonem, nie musiała. Wszystko szło zgodnie z planem.

Gdy wyszła, sięgnąłem szybko do teczki i wyjąłem mały czarny przedmiot, który nosiłem ze sobą dla obrony przed złoczyńcami. Z racji zawodu bywałem w najprzeróżniejszych miejscach i czułem się na nim pewniej, choć zdawałem sobie sprawę, że w sytuacji realnego zagrożenia przydaje się jak umiejętność jodłowania na zawodach sumo. Bardziej nadaje się do ataku niż do obrony i taki też zamierzałem uczynić z niego użytek. Stałem za drzwiami.

Po paru chwilach usłyszałem ciche kroki i kiedy tylko wsunęła się do środka, przyłożyłem paralizator do jej pleców. Użyłem go pierwszy raz w życiu, nie bardzo wiedząc, czy spełni swoją rolę i jaką reakcję spowoduje. Jola krzyknęła głośno, ledwie zdołałem ją chwycić, zanim runęła na ziemię. Bełkocząc coś niewyraźnie zaciągnąłem w stronę posłania. Z trudem ułożyłem na brzuchu wstrząsane konwulsjami ciało. Następnie wziąłem jakieś stare szmaty i przywiązałem jej dłonie do ramy łóżka. To samo zrobiłem z nogami.

Przyniosłem do pokoju butlę, zapaliłem gaz, chwyciłem kombinerkami wielki gwóźdź do zbijania drewnianych bali i zacząłem go rozgrzewać. Działanie paralizatora nie trwało długo, napięte mięśnie zaczęły się rozluźniać. Zauważyłem, że obróciła głowę w moją stronę i przygląda mi się szeroko otwartymi oczyma.

– Co... ro... robisz? – wyjęczała, przezwyciężając opór rozstrojonych strun głosowych. Przełknęła ślinę i łapczywie nabrała powietrza. – Przestań! To nie jest zabawne.

Poczekaliśmy w milczeniu, aż metal rozpalił się do czerwoności, podwinąłem jej sukienkę i zbliżyłem narzędzie tortur. Krzyknęła i wcisnęła się w materac.

– Słyszałem twoją rozmowę przez telefon. Mucha czytał moje papiery?

– Nie... Zgłupiałeś, zabieraj to! Nie wiesz, co robisz! Jeszcze bardziej zbliżyłem gorące żelazo.

– Kim on jest?

– Przestań, idioto! – wydarła się, jakbym rzeczywiście ją oparzył. – Rozwiąż mnie, kuta...!

Czym prędzej zakryłem dłonią bluzgające jadem usta, żeby przypadkiem działkowicze z sąsiedztwa nie pomyśleli, że gwałcę jakąś małolatę na gigancie. Popatrzyłem na trzymany w ręku instrument i odechciało mi się wszystkiego. Nie ma znaczenia, ile powiedziała bandziorom – i tak za dużo. Nie będę przecież przypalał jej gorącym żelazem, zemsta na tej posłusznej swemu panu laluni w niczym nie poprawi mojej sytuacji. Zresztą podświadomie czułem, że i tak ma przerabane. Jego prędzej czy później zamkną albo dostanie kulkę od

konkurencji, a ona zestarzeje się, rozpaczliwie retuszując pieniędzmi resztki urody, nie mając ani jednej osoby, której by na niej zależało.

Nagle ugryzła mnie mocno i wrzasnęła dziko, gdy cofnąłem rękę:

– Rozwiąż mnie natychmiast, pierdolony kretynie, bo pożałujesz, że się urodziłeś! – Zorientowała się najwyraźniej, że nie potrafię zrobić jej krzywdy. – Ty zaje...

Nie zważając na lejącą krew, przytrzymałem jej głowę i zawiązałem brudną ścierką usta. Mimo niezbyt komfortowego położenia patrzyła na mnie z nienawiścią. Ciągłe uważała, że to ona jest górą.

Najgorsze, że miała rację. Za jakąś godzinę przyjadą ludzie Muńka, uwolnią sukę, a moje życie nie będzie warte funta kłaków. Także życie mojej rodziny. Przez sekundę miałem ochotę zacisnąć ręce na smukłej szyi i wysłać tę podłą duszę do piekła. Zadrżały mi dłonie. Ale nie mogłem, nie umiałem. Dwie istoty, które najbardziej kochałem, potrzebowały ratunku. Tylko to było ważne.

Zadzwoiłem do Doroty. Nie odebrała.

Jola spoglądała z pogardą. W jej oczach byłem już trupem. Zapamięta mnie jako ostatniego palanta.

Może i jestem palantem. Ale mściwym. Coś jej się ode mnie należało, a nie lubię długów. I ta pogarda w jej pięknych oczach...

Patrząc na jej utkane z pajęczyny stringi, które właściwie niczego nie zasłaniały, rozpiąłem pasek u spodni. Z udawaną rezygnacją przewróciła oczami, przekonana, że zrobię to, o czym marzy większość facetów na jej widok.

Następne chwile uświadomiły jej, jak bardzo się myliła.

Jola wykręcała się na wszystkie strony, ale w żaden sposób nie mogła uniknąć spadającego z ostrym świstem paska. Tych kilka minut – wnosząc z rozpaczliwych uników i stłumionych kneblem jęków – dostarczyło jej naprawdę niezapomnianych wrażeń. Byłem systematyczny i wytrwały jak jeszcze nigdy w życiu, bo chciałem mieć pewność, że siadając, będzie myśleć o mnie co najmniej przez tydzień. Cel dydaktycznych zabiegów zrobił się najpierw różowy, by w końcu przybrać barwę intensywnej czerwieni, którą tak uwielbiała. Przesłanie

wypisane na pośladkach było może mało subtelne, ale za to doskonale czytelne.

Poczułem się lepiej. Odrobinę.

Wyjąłem baterię z jej telefonu i trzasnąłem drzwiami. W samochodzie znów zacząłem myśleć. Co teraz? A gdybym tak zadzwonił do Muchy i powiedział, że odpuszczam, nikomu nic nie powiem, ponieważ wolę wachać kwiatki od właściwej strony? On też odpuści, pochwali moje wykwintne maniere w stosunku do kobiet, pośmiejemy się z niefortunnej przygody Joli, której musi teraz kupić zapas puchowych poduszek do siadania, i na koniec obieca przysłać pocztówki z wczasów? Gównno, cholera, gównno! Ukryje się w jakiejś melinie, zleci wykonanie drewnianego wdzianka w moim rozmiarze, a po wszystkim przyschnie na trochę, bo mogłem jednak tymczasem coś chlapanąć.

Jechałem wolno przed siebie, nie kontrolując kierunku. Na dworze lekko szarzało. Zadzwoniła komórka.

To mogła być Dorota, ale nie sprawdzałem. Ni stąd, ni zowąd przyszło mi do głowy, że to wszystko przez ten kretyński wynalazek. Gdyby nie on, to już parę godzin temu złożyłbym zeznania, Mucha odpoczywałby w jakiejś przytulnej celi, jego samochód badaliby specjaliści, a Jola nie nabrałaby wstrętu do pozycji siedzącej. Nadal bałbym się o siebie i bliskich, ale jednak ktoś by się nami zajął. Nie ja pierwszy, nie ostatni, policja wie, co robić w takich sytuacjach. Telefon przestał wreszcie dzwonić.

Zaparkowałem pod zakazem zatrzymywania, licząc podświadomie na to, że jakiś patrol zainteresuje się takim beczelnym łamaniem przepisów i rozwiąże moje dylematy. Chociaż cóż to za dylematy? Czy mam jakiś wybór? Do diabła, sam sobie nie poradzę! Rozejrzałem się, próbując ustalić, w jakie miejsce zawiózł mnie mój grat, gdy udawałem sam przed sobą, że szukam najrozsądniejszego wyjścia z opresji. To chyba Saska Kępa. Tylko gdzie jest najbliższy komisariat?

Znów zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu ukazał się nieznany numer, coś mi szeptało, żeby nie odbierać, pojechać na policję, a potem sprawdzić, kto dzwonił, ale siła starego nawyku zwyciężyła.



– Słucham.

– Nie rób tego, mały kutasku! Dobrze ci radzę! – Nie musiał się przedstawiać. W lodowatej pustce, jaka nagle wypełniła mi umysł, kołatały się strzępy myśli, podobne do uwięzionych w ciasnej skrzyni nietoperzy. Jedno wiedziałem na pewno – należało posłuchać intuicji i nie odbierać telefonu! Niskim, trochę chropowatym głosem przyzwyczajonym do wydawania rozkazów, których nikt nie ośmiela się lekceważyć, wycedził: – Żona Dorota, córka Sabina. Miło z twojej strony, że nagrałeś się wczoraj na sekretarce. Mieszkasz...

Kur... zapomniałem. Nie musiał nawet zaglądać do teczki, podałem nazwisko, firmę, numer telefonu. Nieświadomie wykopałem sobie mogiłę i uprzejmie stanąłem na jej skraju, czekając aż ten bydlak dokończy dzieła. Przez tych parę godzin mógł ustalić, co chciał. Wcisnął pewnie jakiś kit w kadrach i powiedzieli mu wszystko.

– Jesteś tam?!

– Czego pan chce?

– Morda w kubeł! Zamkną mnie i wypuszczą, nim zdążysz pierdnąć, mały gnojku. A wtedy ci załatwię, będziesz żarł własne gówna, zanim pozwolę ci zdechnąć. Wiesz, kto ja jestem, ilu mam ludzi?

– A jaką mam gwarancję, że zostawi mnie pan w spokoju? – bezmyślnie powtórzyłem zasłyszaną gdzieś w kinie formułkę, ale akurat nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

– Gwarancję? Mówię, co masz robić, i koniec! I tak już nie ma dowodów. Żadnych! Rozumiesz?

Komunikat był jasny: ciało spoczywa na dnie jeziora, samochód też. Moja opowieść jest nic niewarta.

– Rozumiem... Nic nie powiem.

– Grzeczny chłopiec. Pamiętaj, że wiem o tobie wszystko!

Wyłączył się, nie czekając na odpowiedź. No i po sprawie. Nic się nie stało, nic nie wiem. No nie, niezupełnie, widziałem twarz zabójcy. Byłem świadkiem morderstwa i mogłem słyszeć, jak to właśnie Mucha wydaje polecenia. Oleje to? Może... Może uzna, iż wystarczająco mnie nastraszył? Jeśli dowody już nie istnieją, mogę co najwyżej rzucać

oszczerstwa na porządnego obywatela – niewinnego jak ta dziewczeczka, co męża nie zaznała... Nie, cholera! Poczułem, że zimny pot spływa mi po grzbiecie. Nie oszukuj się palancie, wiesz zdecydowanie za dużo! Morderca nie pozwoli, żeby taka bomba z opóźnionym zapłonem spokojnie spacerowała po ulicach. Prędzej czy później zabawi się w sapera. A każdy saper wie, że najbezpieczniejszą metodą unieszkodliwienia ładunku jest jego detonacja.

Muszę jednak zgłosić się do glin, nie pozostawił mi wyboru. Po cichu. Poprosić o zachowanie tajemnicy. Ustalą, kim jest ofiara, i jakoś znajdą dowody, mają swoje sposoby. Tak, tylko tak?! Podjąłem męską decyzję: idę na policję... Jutro.

\*\*\*

Było już ciemno, gdy wjechałem na osiedle. Nieliczne latarnie dawały akurat tyle światła, by można było trafić do domu. Zaparkowałem dość daleko i poszedłem wolno w stronę swojego bloku. Rozglądałem się dyskretnie po okolicy, szukając jakichś przyczajonych postaci. Nie groziło mi rozpoznanie, gdyż bandyci właściwie mnie nie widzieli, a ewentualny opis Joli niewiele im dawał w tym półmroku. Zdążyłem jeszcze kupić za parę złotych pierwszą lepszą koszulę na pustoszejącym bazarze i przebrałem się w samochodzie. Nie zamierzałem zanadto zbliżać się do swojego mieszkania, chciałem tylko poobserwować je z daleka. Jeśli bandziory czają się w pobliżu, powinienem ich zauważyć.

Wszedłem na podwórze usytuowane między dwoma długimi czteropiętrowcami i natknąłem się na znajomego, który akurat wyszedł z psem na spacer. Pogadaliśmy chwilę o bzdetach. Nie dostrzegłem niczego podejrzanego. Kumpel rzucił hasło i po minucie szliśmy do nocnego na jednego browara. Przyszło mi coś do głowy.

– Benek, nie pytaj o nic, tylko zrób coś dla mnie.  
– Gitara, o co kaman?  
– Siądziemy sobie na ławeczce, tam dalej, obok śmietnika. Weźmiesz moje klucze i pójdziesz do mnie, koniecznie z psem. – Uniósł zdziwiony brwi, ale nie protestował. – Otworzysz mieszkanie, zapalisz światło w

kuchni i chodu. Tylko natychmiast!

– Dobra. – Wzruszył ramionami i mrugnął do mnie.

– Coś z kobitą? Robisz jej numer?

– Nie pytaj, potem ci powiem. Tylko pamiętaj, ani sekundy nie siedź w mojej chacie! Ale nie biegnij, zwyczajnie wychodzisz na wieczorny spacerek z psem.

– Drzwi potem zamknąć na klucz? – Benek już podnosił się z ławki.

Zastanowiłem się: mieszkam na czwartym piętrze, na klatce się nie czają, bo nie mieliby, gdzie się schować, trochę potrwa, zanim ktoś wdrapie się na górę. Zdąży.

– Tak, ale tylko jeden zamek.

Czułem, że podstęp jest zupełnie idiotyczny, rodem z seriali telewizyjnych, ale co mi szkodzi? Jeśli Mucha chce mnie mimo wszystko załatwić, choćby dla zasady, i przysłał tu kogoś, to ten zbir pewnie sprawdził, które okna są moje. W każdym razie powinien. Od mojego wyjazdu z działki minęło parę godzin, czasu miał sporo.

Zapaliło się światło w moim mieszkaniu, a po minucie Benek usiadł obok mnie.

– Co teraz?

– Nic takiego. – Ziewnąłem ostentacyjnie, chociaż akurat nie spanie było mi w głowie. – Skoczyłbyś jeszcze po piwo.

– Może później. – Popatrzył ciekawie w stronę bloku. – Dobrze mi się siedzi.

Sączyliśmy więc ciepły płyn z puszek i paliliśmy papierosy. Nie widziałem dobrze wejścia na moją klatkę schodową, zasłaniały je dorodne krzaki bzu, ale zdawało mi się, że nikt nie wchodził. Słychać było z oddali tramwaj zgrzytający na rozjazdach, gdzieś zawył klakson, z któregoś okna dobiegły swojskie dźwięki rozpoczynającej się nocnej imprezy. W końcu Benek przeciągnął się, ziewnął i uniósł się z ławki.

– Lecę już, rano trzeba do roboty. Coś ta twoja długo nie przychodzi... Siedzisz jeszcze?

– Ta...

Od strony budynku rozległ się przytłumiony odgłos wybuchu,

zadrzały szyby w mieszkaniach. Zdrętwiałem, w pierwszej chwili nie bardzo pojmując, co się dzieje. Słysząc było pojedyncze strzały, jakieś niewyraźne cienie przesuwwały się w moich oknach, zapłonęły światła we wszystkich pomieszczeniach. Patrzyłem bezmyślnie na to widowisko, jakbym oglądał film sensacyjny, którego akcja zupełnie mnie nie dotyczy, trwając uparcie w irracjonalnym przeświadczeniu, iż to tylko zły sen. Wprawdzie wyjątkowo wyrazisty, ale zbyt nieprawdopodobny, bym uwierzył w jego realność. To się, kurwa, nie może dziać naprawdę, zaraz się obudzę...

Obudził mnie Benek. Spojrzał jak na upiora i wrzasnął:

– Coś ty, kurwa, nawywijał?! Co tam...

– Benek! Spieprzaj do domu! Nie ma czasu na tłumaczenia, wrąbałem się w coś. Nie widziałeś mnie, nic nie wiesz. – W moim mieszkaniu pogaśły światła. – No, uciekaj!

Nie czekałem, co będzie dalej. Starłem się iść normalnym krokiem i z największym trudem powstrzymałem się przed oglądaniem do tyłu. Bezwiednie naprężyłem mięśnie pleców, jakbym mógł w ten sposób zatrzymać pocisk grzęznący między łopatkami. Więc jednak nie odpuścił! Ale tak szybko, tak... nieodwołalnie? Wysadzić drzwi i strzelać na oślep, bez sprawdzenia do kogo? No tak, mieli wyraźne rozkazy: załatwić wszystkich! Uwolnili już Jolę i doskonale wiedzieli, co zaszło na działce. Starannie zaplanowali akcję: bandzior ostrzegł mnie przed kontaktem z glinami i pozostało tylko czekać, aż pojawię się w chacie, żeby ratować rodzinę. Tylko zapomnieli, że mają do czynienia z amatorem, którego działania są krańcowo nieprzewidywalne. Czasem i strach bywa dobrym doradcą.

Nie mogłem trafić kluczami w zamek, pchałem na siłę, nasłuchując, czy za plecami nie rozlegnie się tupot bandytów, niepomny, że ciągle nie wiedzą dokładnie, jak wyglądam. Gdy zorientowałem się, że wsadzam klucz odwrótnie, byłem już zlany potem i bliski wybicia szyby, żeby tylko móc schować się w środku. Padłem na siedzenie, sięgnąłem po papierosy, a pod czaszką kotłowały mi się upiorne scenariusze ze mną w roli głównej. Wiedziałem jedno: nie mam już teraz wielkiego wyboru –

jadę na policję albo rzucam się z mostu! Mucha, mimo swoich zapewnień, uznał, że na tym popieprzonym świecie jest o jednego gościa za dużo. Ale przecież sam mówił, że nie mogę mu nijak zaszkodzić. Kaprycho takie? Chce mnie rąbnąć dla zasady, bo tak mu nakazuje przestępczy kodeks? Nieważne, zrobię to, co powinienem był zrobić od razu!

Tak, jadę na policję! Tylko trochę się uspokoję, poukładam sobie wszystko w jakimś porządku, zastanowię się, co im powiedzieć, żeby potraktowali mnie poważnie. Mijały minuty. Bawiłem się bezmyślnie kluczykami, przypaliłem nowego papierosa.

Zadzwoił telefon. W tej samej sekundzie uświadomiłem sobie, że właśnie na to czekałem, celowo odwlekając podjęcie konkretnych działań. Musiał zadzwonić. Popatrzyłem obojętnie na numer, przyjąłem do wiadomości fakt, że przecucie mnie nie omyliło, i zdziwiony trochę własnym brakiem emocji, wcisnąłem przycisk.

– I co, szczęśliwy, że żyjesz? Nie bój się, koleś, to miała być tylko mała przestroga. Żebyś nie myślał, że możesz mnie olać.

– Strzelali...

– W sufit. Siedź cicho, a nic ci nie będzie!

Zapaliłem silnik i przegazowałem.

– Co robisz?! Mówię ci, wracaj na chatę! Jak sąsiedzi wezwali gliny, powiesz im...

– Powiem ci, co zrobię! – przerwałem mu w jakimś nagłym porywie odwagi. Albo prędzej rozpaczy. – Zadzwonię do sąsiadki i poproszę, żeby sprawdziła, co się u mnie dzieje. Jeśli dowiem się, że kule nie siedzą w suficie, z miejsca jadę na policję.

– Zamknij się, gnoju! Jeśli polecisz do glin, jesteś trup! Ty, twoja żona i córka!

– Jeśli nie pójdę, też jestem! Może nie?!

Milczał przez dłuższą chwilę, słyszałem jego ciężki oddech. Nie gasiłem silnika.

– O co ci, do diabła, chodzi? Czego ode mnie chcesz, przecież ustaliliśmy, że nie ma dowodów... – Ciągłe słuchał w milczeniu. – Nie

poszedłem do glin, a ty i tak chciałeś mnie załatwić.

– Nie kombinuj mi tu, mały gnojku. Masz siedzieć cicho, bo i tak gównu wiesz!

– No właśnie, gównu wiem. Ale powiedz sam, co mi pozostało? Mam się ukrywać z rodziną do końca życia? Idę na policję! Zresztą oni i tak się pojawiają, sąsiedzi ich ściągną.

– A niech se i prezydenta ściągną. Mogą mi naskoczyć i zjeżdzać jak po zjeżdżalni! – Pomyślałem, że zapomniał dodać warunek mojego milczenia. Ale on nie zapomniał. – A ty nie zakapujesz mnie – dodał cicho, z jakąś okrutną, niezachwianą pewnością. – Bo nigdy już nie zobaczysz żony i dzieciaka. Ja nie żartuję.

Uwierzyłem mu. Czułem, jak pogrążam się w otchłani beznadziejności. Wszystko, co jeszcze wczoraj kochałem, znikło z tego świata, unicestwione kamiennym przekonaniem w głosie bandyty. On to zrobi i nic – a już na pewno nie ja – mu nie przeszkodzi. Walczyć? Jak? Rzucić kamieniami w jego samochód czy wbijać szpilki w jego kukłę? Nie mogę mu niczym zagrozić. Niczym...? Zaraz, a niby dlaczego taki potężny mafioso staje na tej swojej goryleją głowie, podsyła mi Jolunię, żeby omotała mnie, używając nawet własnego ciała? Poluje na mnie z użyciem ciężkiej amunicji, a następnie, gdy dzięki głupiemu szczęściu i jeszcze głupszemu podstępowi udaje mi się wymknąć, zniża się do osobistej rozmowy? Jak wiele jego ofiar spotkał taki zaszczyt? Albo jest ciężko chory umysłowo, albo mam coś lub wiem o czymś, co jest dla niego na wagę przetrwania. Ścisnąłem mocniej aparat w spoconej dłoni.

– Dobra, wiem jedno: nie idę na policję, a ty mnie szukasz i niech tak będzie. Ale, kurwa, raz na zawsze odwal się od moich kobiet!

– Ty pier... – najwyraźniej słuchanie rozkazów nie wchodziło w zakres jego życiowych doświadczeń. – Nie będziesz mi tutaj chrzanił, co mam...

– Zamknij się, kurwa! – przerwałem mu, używając swojskiego słownictwa, miłego uchu każdego bandziora. – Jeśli to gównu, które masz we łbie, jest mózgiem, to skup się i dobrze mnie posłuchaj! – Celowo go obrażałem, pragnąc skupić złość na własnej osobie. – Chcesz

mnie dopaść. Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale sam ci w łapy nie wejść. Będę spierniczał choćby na Księżyc. Ale też będę pilnował żony i córki, bo wyobraź sobie, one są ważniejsze niż cokolwiek na świecie. Teraz ja nie żartuję! Jeden sygnał, że coś im grozi, nieodebrany telefon, gdy w mieszkaniu pali się światło, a pędzę do glin i niech się dzieje co chce. Będę wydzwaniał do przedszkola, do pracy, będę sprawdzał codziennie, czy nikt ich nie...

– Dobra już, zamknij ryja! – szczeknęło w słuchawce. – Tylko ty i ja? To nawet może być zabawne...

Nie podzielałem jego opinii. I to nie dlatego, żebym był urodzonym ponurakiem. Ale zabawa nie musi przynosić radości wszystkim stronom.

Ruszyłem przed siebie. Pustawe osiedlowe ulice oświetlone nielicznymi latarniami sprawiały wrażenie labiryntu. Mijałem identyczne domy i podwórka zastygłe w swej anonimowości. Nie wiedziałem, co robić, gdzie jechać, i nie zastanawiałem się nad tym. Ogarnął mnie umysłowy letarg, podobny do stanu spokojnego pogodzenia się z losem, gdy jakaś tragiczna wiadomość paraliżuje absolutną nieuchronnością. Świadomość litościwie skurczyła się do roli odbiornika bodźców wzrokowych, realny świat zapadł się do punktu: tu i teraz. Ciało automatycznie kontynuowało funkcje życiowe. Poczulem ssanie w żołądku, więc kupiłem w nocnym bułkę i kawałek kiełbasy. Zatrzymałem się na jakimś parkingu, zjadłem, nie czując smaku. Wyłączyłem telefon, przymknąłem oczy. Gdzieś na skraju jaźni kołatała się znajoma, błoga myśl, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, to jakieś senne złudzenie, z którego niedługo się obudzę...

\*\*\*

Coś uwierało mnie w ramię, poczułem też skurcz w wykręconej nienaturalnie nodze. Poruszyłem się na siedzeniu, szukając wygodniejszej pozycji. Zanim uchyliłem ostrożnie powieki, już wiedziałem, gdzie jestem i jak okrutnie rzeczywistość potrafi przebić wszelkie senne majaki. Rzut oka na godzinę, potem papieros jako resztką codziennego porannego rytuału. Przekręciłem kluczyk w

stacyjce. Mało benzyny.

Zatankowałem i kupiłem parę drobiazgów. Gdy płaciłem kartą, obojętnie zarejestrowałem żałośnie mizerny stan swojego konta. Zresztą, co za różnica, czy forsa skończy mi się za tydzień, czy za miesiąc?

Pojechałem na Centralny. W pierwszym barze wzięłem kawę z jakimś tygodniowym ciastkiem. Mijali mnie ludzie z walizkami i torbami, nerwowo podążający we wszystkich kierunkach, przytłoczeni atmosferą dworcowego zamieszania. Pomyślałem, że mógłbym wsiąść do jakiegoś pociągu, pojechać daleko stąd, gdzie nie sięgają macki ośmiornicy i... No właśnie, co dalej? Przehibernować w jakiejś dziurze, z dnia na dzień zdobywając jakoś środki do życia licząc, iż kiedyś wrócę? Miałem niejasne wrażenie, że nie miałbym do czego wracać – gdy już raz zacznie się uciekać, nie ma odwrotu. Nie można zatrzymać się i podjąć walki. Syndrom ofiary.

Kupiłem w kiosku papierosy i poprosiłem o gazetę. Przeglądałem tytuły, szukając wzmianki o wczorajszej tajemniczej strzelaninie w moim mieszkaniu. Nic, pewnie jeszcze za wcześnie. Coś jednak zwróciło moją uwagę, podświadomość zarejestrowała słowo czy wyrażenie nawiązujące w jakiś sposób do tego, co mi się przytrafiło. Zajrzałem na poprzednią stronę i natknąłem się na relację o porachunkach świata przestępczego. Z niejaką niechęcią zacząłem przyswajać tekst, którego problematyka, w sposób tak niespodziewany i fatalny, zdemolowała moje poukładane i jakby nudnawe ostatnio życie. Nudnawe... nie, raczej cudownie proste i wspaniale przewidywalne.

Relacja była ogólnikowa, pełna przypuszczeń i nieoficjalnych stwierdzeń policji. Artykuł informował, że w jednej z podwarszawskich miejscowości doszło wczoraj do krwawej rozróby, którą przypisuje się grupom przestępczym rywalizującym o wpływy. Jak wynika z relacji nielicznych świadków i wstępnych ustaleń funkcjonariuszy prowadzących śledztwo, była to zasadzka na podejrzanego o wielorakie przestępstwa bosa zorganizowanej grupy przestępczej, znanego pod swoim pseudonimem Ziomał. Umieszczony na drodze ładunek wybuchowy zniszczył samochód i zabił jednego z trzech pasażerów.



Bandyta z obstawą jechał innym wozem, który – również poważnie uszkodzony – policja znalazła na miejscu zdarzenia. Jak zeznają świadkowie, uprowadzono mężczyznę, który jechał w pierwszym samochodzie, a źródła w Komendzie Stołecznej informują, iż w wyniku przesłuchania lekko rannego Ziomala ustalono, że porwany był jego synem. Trwają intensywne czynności śledcze zmierzające do wyjaśnienia wszelkich okoliczności zdarzenia. Dalej dziennikarz oddawał się rozważaniom ogólniejszej natury, dotyczącym bezkarności, znanych przecież organom ścigania, przestępców. I aby podkreślić, że nie są to jakieś anonimowe, egzystujące w głębokim podziemiu jednostki, publikował szereg zdjęć z dość treściwymi opisami. Jedno z nich, chociaż niewyraźne, gdyż robione z oddali i niewątpliwie z ukrycia, sprawiło, że poczułem, jak to jest nie mieć przyszłości, odliczać tylko dni, godziny, minuty do swojej nieuchronnej zguby. Nagle puzzle tej cholernej układanki same powskakiwały na swoje miejsca, a konsekwencja, z jaką Munique próbował wciągnąć moje nazwisko do ewidencji najbliższego cmentarza komunalnego, stała się zupełnie zrozumiała. Z fotografii spoglądał na mnie syn Ziomala, znany w gangsterskim świecie jako Bryndza. Uprowadzony. Nikt nie wie, co się z nim dzieje.

Nikt? Więc byłem tym nikim, bo ja wiedziałem. I Mucha. Przez moment kolejne fakty, niczym przewracające się kostki domina, trącały następne, wywołując falę nieuchronnych skojarzeń.

On rzeczywiście nie bał się policji – niczego nie mogła mu udowodnić. Bał się Ziomala! Moje bezwartościowe jako dowód informacje były w ich świecie wyrokiem! Nie miałem bladego pojęcia, czy obecnie funkcjonuje jeszcze wśród złoczyńców jakiś kodeks honorowy, ale że Ziomal nie puści płazem zabójstwa syna – i to w dodatku, nie w zwykłej strzelaninie, tylko w wyniku egzekucji – tego byłem zupełnie pewien.

A gdybym złożył doniesienie anonimowo? Do dupy. Mucha mógł mieć swoje wtyki w policji, zresztą i bez tego natychmiast by się zorientował, gdyby zaczęli węszyć i zadawać określone pytania – tylko ja mogłem donieść. Znaleźć Ziomala i podać mu zabójcę syna na srebrnej

tacy? Tylko czy Ziomal wykończy bydlaka od razu, łącznie z jego ludźmi? Mała szansa. Nastąpi wojna gangów, ktoś ocaleje, a wtedy...

Wizja masakry, którą mogłem wywołać, gdybym tylko chciał, przejęła mnie grozą. Wczoraj byłem jedynie zwykłym agentem ubezpieczeniowym, pospolitym domokrażcą sprzedającym iluzję ochrony przed kaprysami losu, a dzisiaj miałem władzę nad życiem wielu ludzi. Dziwna to była władza, gdyż jej użycie okazywało się bardziej niebezpieczne dla mnie i mojej rodziny niż dla tych oprychów, którym i tak nie było pisane umrzeć ze starości. Oni, w przeciwieństwie do mnie, mieli nawet szansę: mogli walczyć i wygrać.

Czułem, że ziemia pali mi się pod nogami i muszę działać. Przynajmniej spróbować ocalić bliskich. Zadzwoiłem do Doroty.

– No, nareszcie! Boże, co ja przeżyłam. Policja była u nas, ktoś strzelał w naszym mieszkaniu! Domek na działce się spalił! Czemu nie odbierałeś telefonów?! – swoim zwyczajem próbowała powiedzieć wszystko naraz. Moje milczenie nieco ją zastopowało. – Mów coś... Nie było żadnej trucizny na robale? Co się dzieje?

– Słuchaj, nie wiem, jak ci to powiedzieć... – głos mi się załamał, gdzieś w tle usłyszałem córkę, targującą się o coś z babcią. – Nic mi nie jest, ale zdarzyło się coś...

– Co się dzieje?! Mów coś! – powtórzyła z nutą hysterii.

– Wpadłem w cholerne kłopoty. Nie, nic nie zrobiłem, po prostu byłem świadkiem czegoś... muszę się ukrywać.

– Co ty gadasz?! Jesteś trzeźwy?

– Dorota, ja nie żartuję!

– Dobra, przyjeżdżaj i pogadamy po ludzku. – Racjonalna strona jej natury wybrała najprostsze rozwiązanie.

– To wykluczone, nie wiem, kiedy się zobaczymy.

– Bałem się, że bateria za chwilę siądzie, więc skłamałem szybko: – Jestem pod ochroną, ale nie mogę się pokazywać. To może potrwać...

– O Boże, ja zwariuję! Co mam robić?

– Nic! Puszczaj mi tylko esemesy, że wszystko OK. Albo nie, jakies słowa, nazwy, które coś dla nas oznaczają... żebyśmy wiedział, że to od

ciebie. – Pikanie gasnącego zasilania kazało mi podnieść głos, jakby mogło to coś pomóc. – Zadzwoń, jak będę mógł...

Schowałem głuchy aparat i, paradoksalnie, poczułem się nagle dziwnie wolny. Widać nawet najgorsza pewność jest lepsza od niepewności. Teraz przynajmniej wszystko było jasne – Dorota i córka były bezpieczne, gangsterzy ich nie tkną w obawie, że natychmiast polecę do glin. Mogłem spokojnie chodzić po mieście, bo w żadne rozpoznanie w tym paromilionowym mrowisku nie wierzyłem. Mam trochę czasu, żeby znaleźć jakieś wyjście, o ile takowe istnieje. Musiałem porzucić samochód: bandyci znali już pewnie jego numery, a policja mogła go szukać po wczorajszych zajściach w moim domu. Poza tym nie miałem gdzie mieszkać, dokąd pójść, w co się ubrać, kończyły mi się pieniądze. Ale jeszcze żyłem.

Pieniądze, bez nich nie przetrwam dłużej niż parę dni. Pożyczyć? A gdyby tak... Wpadł mi do głowy zupełnie absurdalny pomysł. Postanowiłem natychmiast go zrealizować, bo akurat nie miałem nic do stracenia, a gdybym zastanawiał się zbyt długo, nigdy bym się nie zdecydował. Raz kozie śmierć, do idiotów świat należy!

Wyszedłem z hali dworca i powoli poszedłem na parking, obserwując z daleka, czy nikt nie interesuje się moją bryką. Dałem dwa zety samozwańczemu ochroniarzowi o sponiewieranym przez alkohol i życie obliczu.

Wsiadłem i w gniazdku zapalniczki podładowałem telefon. Choć bardzo się starałem, nie umiałem powstrzymać się przed nerwowym spoglądaniem w lusterka.

Znalazłem odebrane połączenia i wdusiłem zieloną słuchawkę. Odezwał się po dłuższym czasie, gdy już myślałem, że usłyszę pocztę głosową:

- No? – Wiedział, kto dzwoni, albo była to jego zwykła inwokacja.
- Zanotuj numer konta, przelejesz sto tysięcy.
- Co ty pierdolisz? – zainteresował się uprzejmie.
- To za domek na działce i mieszkanie. I straconą pracę. Nie mam z czego żyć. Muszę wynająć jakiś pokój.

– A co mnie to, kurwa, obchodzi?!

– Powinno, bo jak gliny mnie zgarną za kradzież w sklepie, a nie mam za co kupić zarcia, sprawdzą dokumenty, skojarzą, że była u mnie strzelanina, zaczną mnie maglować...

– To co, prehandlujesz żonę i córkę? Ułożyłeś już nekrologi? Tylko nie zapomnij o własnym.

– Mogę być wykończony i mieć dość wszystkiego. Nie wiem, co wtedy zrobić. – Nie mówiłem, że wiem o Ziomalu i Bryndzy. Czułem, iż ten argument mogę jeszcze wykorzystać, a póki co lepiej, aby nie zorientował się w stanie mojej wiedzy. – Jak dostanę forszę, przyczaję się na trochę i zobaczę, czy nie ruszasz moich kobiet. Potem prysnę gdzieś za granicę. Urządzą się i sprowadzą rodzinę. Zniknę na zawsze, będziesz mógł spać spokojnie.

Przedłużające się milczenie uświadomiło mi dobitnie idiotyzm całej sytuacji: oprych miał dobrowolnie sfinansować ucieczkę swojej ofiary?!

– Dobra, dostaniesz kapustę – powiedział niespodziewanie, gdy byłem już niemal zdecydowany przerwać połączenie. – Gdzie i kiedy?

– Jeszcze czego, może mam przyjechać do ciebie na obiad? – Zdziwiłem się, że tak swobodnie z nim rozmawiam. – Tylko na konto. Nie obstawisz wszystkich bankomatów w mieście.

– Dwadzieścia.

– Nie udawaj, że zbiedniejesz.

– Myślisz, że sram pieniędzmi?

– Nie wiem, czym srasz, i gównu mnie to obchodzi! – głębia tej uwagi poraziła mnie samego. Chyba odezwało się skrzywienie zawodowe, gdyż w moim fachu obowiązuje żelazna zasada: zawsze staraj się dostroić poziomem do klienta.

– Zaczynasz mi się podobać, koleś. – Roześmiał się chrapliwie jak zadowolona z siebie ropucha. – Szantażyk, co?

– Tak.

– Dawaj ten numer! – Musiał być cholernie pewny, że wkrótce mnie dopadnie.

Wysiadłem z samochodu, podumałem przez chwilę i trzasnąłem

ostatni raz drzwiczkami. Powłóczyłem się trochę po mieście, posiedziałem na ławce, obserwując z zazdrością ludzi zaabsorbowanych swoimi mikroskopijnymi problemami. Momentami dopadało mnie rozkoszne poczucie, że może jednak zwariowałem, niedługo podjedzie ambulans, sanitariusze założą mi szykowny biały kaftan i zawiozą w urocze miejsce, bez klamek i telefonów. Zbada mnie sympatyczny pan doktor w binoklach i z białą kozią bródką. Zaleci długi, bardzo długi pobyt w tej oazie spokoju. Dorota będzie mnie odwiedzać, przynosić łąkocie i wiadomości z zewnątrz. Oczywiście wyłącznie dobre...

Sygnal wiadomości brutalnie przerwał te idylliczne wizje. Mały ekranik pokazał, iż moja żona zrozumiała instrukcje: ciastka z ostrężynami. Kiedyś klóciliśmy się zawzięcie, czy istnieje warzywo o takiej nazwie, i jakoś żadnemu z nas nie przyszło do głowy tego sprawdzić. Hasła nie mógł wymyślić nikt oprócz niej. Była bezpieczna.

Wstałem i poszedłem rozejrzeć się za jakimś bankomatem. Nie planowałem następnych kroków, musiałem wpierw sprawdzić, czy Mucha ostatecznie potwierdzi moje domysły.

Karta, pin, saldo dostępne: pięćdziesiąt jeden tysięcy z drobnymi.

Zrobił to! Nie sto, ale jednak nie dwadzieścia – widać cholernie mu zależało, żebym nic nie kombinował. Wyciągałem banknoty ze ściany, póki nie wyczerpałem dziennego limitu. Świadomość posiadania grubszej gotówki dała mi odrobinę poczucia bezpieczeństwa. Nieco absurdalnego w mojej sytuacji, ale jednak.

Ciągle nie wybiegałem myślami zbyt daleko w przyszłość. Kupiłem nową gazetę i poszukałem ogłoszeń o wynajmie mieszkań. Mokotów, pokój z dostępem do łazienki i kuchni. Może lepiej samodzielne? Ale na ile starczy pięćdziesiąt tysięcy? Niby sporo, możliwe jednak, że będzie musiało mi wystarczyć do – wzdrygnąłem się – końca życia. Zadzwoiłem i umówiłem się na oględziny.

Chowając telefon, pomyślałem z niepokojem, czy przypadkiem nie namierzą mojej komórki. W tych sprawach byłem ciemny jak tabaka w rogu, ale kołatało mi się, że to trudne, a jednak możliwe. Policja chyba mogłaby to zrobić. Przekręciłem do Doroty i uprzedziłem ją, że

pozbywam się telefonu – będę dzwonił codziennie z automatu. Ochłonęła już nieco i spytała tylko, czy aby na pewno wiem, co robię. Tego akurat nie byłem pewien. Dałem jej mgliście do zrozumienia, że właściwi ludzie zajmują się moją sprawą, i szybko się rozłączyłem. Przepisałem na kartkę parę numerów i dyskretnie wyrzuciłem aparat. Z dziwną mieszanką ulgi i niepokoju poczułem, jak tym posunięciem zrywam pępowinę łączącą mnie z poprzednim wcieleniem. Za diabła nie podejrzewałem, co przyniesie przyszłość, ale przynajmniej miałem trochę czasu i sporo pieniędzy. No i dokładnie wiedziałem, co mi grozi. Tak mi się przynajmniej zdawało.

\*\*\*

Przez kilka dni prawie nie wychodziłem ze skromnego pokoiku w starej kamienicy na Mokotowie. Właścicielka o odpychającym wyrazie twarzy, spowodowanym jakimś wrodzonym defektem uzębienia, okazała się miłą osobą o wręcz matczynych zapędach. Nie pytała o dokumenty, przyjęła tylko z góry pieniądze za dwa tygodnie pobytu. Gotowała mi posiłki, których cena niewiele przewyższała wartość produktów zużytych na ich przygotowanie. Chciała pracować moje rzeczy, ale odmówiłem dość stanowczo. Nieustannie też zapraszała mnie na herbatę i ciasto do salonu, jednak towarzyskie pogawranki przed telewizorem były ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę. Chyba zaniepokoił ją mój ascetyczny tryb życia, gdyż pewnego dnia, wracając po kąpieli z łazienki, nakryłem ją na szperaniu w moim skromnym dobytku. Chciała niby posprzątać. Bałem się, że sprawdziła moje dokumenty i może zadzwonić na policję z pytaniem, czy jej tajemniczy lokator nie jest jakimś poszukiwanym złoczyńcą. Wyprowadziłem się natychmiast.

W kolejnych dwóch mieszkaniach zaczęli od, całkiem zresztą rozsądnego, pytania o dokumenty. Kręciłem nosem, udawałem, że lokum mi nie odpowiada i wychodziłem. Do trzeciego było blisko, nie dzwoniłem więc wcześniej, tylko pojechałem tam od razu.

Otworzyła mi stara panna – co do tego nie miałem cienia wątpliwości, gdyż na mój widok spłonęła najprawdziwszym dziewczym rumieńcem.

W rzeczywistości nie była stara, gdzieś po trzydziestce, ale trudno było określić jej wiek – okulary zasłaniały pół twarzy, szary kostium zdawał się celowo tak zaprojektowany, by ukrywać jakiegokolwiek zewnętrzne atrybuty kobiecości. Nabrałem ostrożnie powietrza, jednak nie wyczułem zapachu naftaliny. Dobre i to.

Nie wiem, komu przedtem wynajmowała pokój. Chyba też jakiejś starej pannie, bo gdy powiedziałem, z czym przychodzę, bezwiednie zasłoniła dłonią skromny dekolt i uciekła wzrokiem, jakbym uczynił jej wielce lubieżną propozycję. Właściwie miałem ochotę czmychnąć stamtąd i tylko szukałem pretekstu. Jednak żadnego mi nie dała. Tak, jest łazienka i kuchnia... tak, dostanę klucze... tak, mogę wchodzić i wychodzić, kiedy zechcę... Czekałem jeszcze na pytanie o moje personalia, jednak nie padło. Nawet nie chciała zapłaty z góry, zrobiłem to z własnej inicjatywy. Z trudem wyciągnąłem z niej, że ma na imię Wanda i mieszka sama. Moje niewinne pytania krępowały ją tak potwornie, jakbym proponował jej sesję zdjęciową w magazynie traktującym o sprawach ciała i to bynajmniej nie w kontekście medycznym. Powiedziałem, żeby mówiła do mnie Waldek, i zamknąłem się w pokoju. Albo chodziła na palcach, albo ciągle stała w miejscu, w którym ją zostawiłem, gdyż z głębi mieszkania nie dobiegał nawet najbliższy szmer.

Kiszkwaty pokoik z małym oknem zamieszkiwała przede mną kobieta lub też właścicielka liczyła, że trafi jej się lokatorka, choć nie zaznaczyła tego w ogłoszeniu. Wielka sofa, okrągły stolik z witrażową lampką nocną, obok wazonik i lusterko w srebrnych ramkach. Bibeloty w komódce ustawiono na haftowanych serwetkach. Wszystko wyglądało jak kupione na pchlim targu, ale nie na chybił trafił. Przedmioty pasowały do siebie, miały swój styl i klasę.

Pomyślałem, że sytuacja ma nawet swoje zalety. Jeśli tylko skromna Wanda nie nabierze śmiałości, będę miał święty spokój i całkowicie bezpieczne schronienie. Przez ostatnie dni trwałem w jakiejś, nie do końca uświadomionej, nadziei, że moja okropna sytuacja wyklaruje się sama, jeśli tylko przypadną gdzieś na wystarczająco długo.

Nagle usłyszałem coś, jakby ostrożne stąpanie. Po dłuższej chwili ciszy drzwi uchyliły się bezszelestnie. Popatrzyłem zdumiony, że odważyła się wejść bez pukania.

– Wychodzę... Czy pan...

– Mówmy sobie na ty. Waldek – przypomniałem, wyciągając dłoń.

Zadrzała, podała mi same palce gestem, który przywodził na myśl próbę karmienia z ręki krokodyła, i zapłonila się po cebulki włosów.

– Wandziu, kup mi, jeśli możesz, coś do jedzenia. Cokolwiek, nie jestem wybredny. Masz tu pieniądze. – Zdecydowany byłem kontynuować taktykę onieśmiania.

Wróciła po pół godzinie i, znów bez pukania, weszła do pokoju, żeby dać mi jakieś konserwy i pieczywo. Nie robiłem uwag na temat poszanowania cudzej intymności, bo uznałem, że pewnie tak została wychowana, może wśród starych ciotek, bezpłciowych, toteż obojętnych na takie drobiazgi. Spytałem o popielniczkę. Wanda pokiwała głową i wyszła, zamykając starannie za sobą drzwi. Stałem wpatrzony w klamkę i czekałem, ale ona nie wracała. Wzruszyłem ramionami, otworzyłem okno i położyłem się na sofie. Przypaliłem papierosa, popiół strącałem do wazonika.

Nie chciałem roztrząsać swojego położenia, ale myśli natrętnie zbaczały w jednym kierunku. Kiedyś to musi się skończyć. Zostanę bez środków do życia, pozbawiony możliwości ich zdobycia. Dorota straci cierpliwość i pójdzie na policję – jeśli jeszcze mnie nie szukają, to zaczną. Może lepiej zgłosić się dyskretnie i pogadać z jakimś oficerem? Zapewne tak, ale jeszcze nie teraz, niech Mucha pomyśli, że naprawdę zwiąłem z kraju i ma mnie z bani. Zresztą ten pomysł z wyjazdem za granicę nie jest głupi... gdyby Muniek zechciał mnie jeszcze zasponsorować...

Usłyszałem ciche kroki i właścicielka mieszkania znów weszła bez pukania, przerywając tok moich rozmyślań. Bez słowa zabrała wazonik i na jego miejscu umieściła wielką kryształową popielniczkę. Zirytowany nieco otworzyłem usta, by coś do niej warknąć, ale drzwi już się zamykały.



Wieczorem spróbowałem rozłożyć sofę w poszukiwaniu kołdry, ale mi się nie udało. Mebel wyglądał na stary i dość cenny. Najwyraźniej pierwotne przeznaczenie nie przewidywało spania na nim. Rozglądałem się bezradnie po pomieszczeniu, gdy za plecami wyczułem czyjąś obecność. Zjawa w postaci mojej gospodyni przepłynęła obok z kompletem atłasowej pościeli w rękach. Następnie wyszła bez słowa, całkowicie mnie ignorując, jakbym był jednym z jej bibelotów, stojącym dokładnie na swoim miejscu.

Następnego dnia ani na jotę nie zmieniła swego zachowania. Co jakiś czas pojawiała się w pokoju, by wytrzeć kurz albo przestawić jakiś duperel. Omijała mnie przy tym wzrokiem, jakby bała się nawet takiego kontaktu. Za każdym razem otwierałem usta, by dopiec jej jakąś kąśliwą uwagą, i zawsze powstrzymywałem się w ostatniej chwili. Doszło do tego, że leżąc wieczorem w wannie, przyłapałem się na oczekiwaniu zjawienia się tej upierdliwej dziewczycy. Wejdzie jak duch i bez słowa zacznie myć mi plecy. Nie pojawiała się jednak, toteż w końcu sam, odczuwając nawet coś na kształt rozczarowania, dokonałem tej trudnej sztuki.

Zrozumiałem w końcu, że ona po prostu taka była, nie szpiegowała mnie, nie podglądała, starała się tylko niezdarnie pełnić rolę gospodyni. Po paru dniach przestałem ją prawie dostrzegać, ignorowaliśmy się wzajemnie w jakimś cichym porozumieniu.

Żyłem z dnia na dzień. Nie oglądałem telewizji, nie słuchałem radia – zdaje się, że właścicielka nie miała nawet tych urządzeń. Egzystowała sobie spokojnie w swoich czterech kątach, obojętna na tyranię świata zewnętrznego. Zauważyłem jednak z pewnym zaskoczeniem, że wyposażenie mieszkania cichej, skromnej Wandy bynajmniej do skromnych nie należy. Wszystkie meble okazały się antykami w doskonałym stanie, a obrazy na ścianach oraz klasyczne bibeloty z porcelany co do jednego sprawiały wrażenie autentycznych i cennych. W domu unosił się nieokreślony muzealny zapach starego drewna, patyny i zaklętej w przedmiotach historii. Zacząłem podejrzewać, że właściciel mieszkania – prawdopodobnie jakiś dyplomata lub artysta –

wyjechał gdzieś daleko i zatrudnił tę pannę do opieki nad dobytkiem. Mógł mieć przynajmniej pewność, że nie będzie sprowadzała tu gachów, by oddawać się namiętym figlom w jego ałtasowej pościeli. Zapewne kazał wynajmować pokój, żeby w ten sposób pokryć jej skąpe wynagrodzenie.

Któregoś dnia wziąłem poranny prysznic i wróciłem do siebie. Odwinąłem się z ręcznika i podszedłem do starej, bogato zdobionej komódki z moimi ubraniami. Słyszałem coś, jakby stapanie, ale od jakiegoś czasu nie zwracałem na takie rzeczy uwagi. Ni to jęk, ni to okrzyk przestrawu uprzytomnił mi, że stoję całkiem nago. Zasłoniłem się szybko rękoma, ale jej już nie było w pokoju.

Po owym niefortunnym wydarzeniu Wanda jeszcze bardziej zaczęła przypominać ducha, usiłując za wszelką cenę ukryć przejawy swego fizycznego istnienia. Widywałem co najwyżej jej cień wsączający się do któregoś z pomieszczeń, kiedy czasem wychylałem się ze swojej izdebki. Sprzątała, owszem, gdy nie było mnie w domu. Ze zdumieniem zauważyłem, że zaczyna brakować mi jej nieco natrętnej obecności w tle. Ta pogrążona we własnym nieodgadnionym świecie wirtualna postać wypełniała odrobinę otaczającą mnie pustkę.

Dzwoniłem codziennie z automatu do Doroty i za każdym razem było mi trudniej rozmawiać. Jej też. Czuję to wyraźnie, gdy powtarzaliśmy te same slogany, że niby wszystko dobrze... jeszcze trochę i wszystko się wyjaśni. Zwątpienie w jej głosie odbierało mi resztki nadziei i tej odrobiny szacunku dla samego siebie, która mi jeszcze pozostała. Świadomość biernego oczekiwania, aż dobry los litościwie zakończy moje problemy, czyniła coraz trudniejszym spoglądanie na własne oblicze w lustrze. Pragnąłem za wszelką cenę coś zrobić, coś radykalnego i mocnego. Pokazać sobie i bliskim, że stać mnie na działanie. Wbrew przeciwnościom stanąć z podniesionym czołem – i niech się dzieje, co chce!

Zwykle dzwoniłem do pracy. Jednak któregoś wieczoru przekreśliłem do domu. I to był błąd. Córka koniecznie chciała ze mną rozmawiać, żeby zaprosić mnie osobiście na zakończenie roku przedszkolnego.

Najdelikatniej, jak umiałem, tłumaczyłem jej, że musiałem wyjechać do pracy. Dorośli nie zawsze robią to, na co mają ochotę, ale dziecięca hierarchia wartości jest przecież inna. Nie trafiły do niej wykręty, wiedziała tylko, że tata nie chce przyjść na jej święto. Wracając, kupiłem butelkę z przeźroczystym płynem, usiadłem w swoim pokoju i zacząłem się uspokajać. Początkowo zdawało mi się, że alkohol wcale nie działa, ale to było złudzenie. Najpierw poczułem, że mam dość wszystkiego i muszę działać. Przebudzić się z letargu, wyjść ze swej cholernej nory i walczyć! Po kilku kolejnych łykach wiedziałem już dokładnie, co zrobię. Kupię na bazarze giwerę! Ostatni raz strzelałem w wojsku, ale wszystkie pistolety na świecie działają podobnie, takich rzeczy się nie zapomina. Zaczaję się na tego bydlaka i właduję mu kulkę między goryle ślepia! Że jego ludzie będą się mścić? Gówno prawda! Bez szefa są nikim, przejdą do konkurencji albo rozdrapią majątek Muchy i zwieją. Będę wolny!

Chwyciłem flaszkę i poszedłem szukać Wandy. Potrzebowałem słuchacza, którego będę mógł olśnić swą heroiczną postawą.

Zajrzałem do salonu, do kuchni i łazienki, pomyślałem, że wyszła, kiedy właśnie jest mi potrzebna, i bezwiednie przejmując panujące w tym domu zwyczaje, nacisnąłem klamkę do jej pokoju.

Drzwi wielkiej, dębowej szafy były szeroko otwarte. Stała nago przed zawieszonym na nich lustrem i szarpanymi ruchami rozczesywała włosy. Nie krzyknęła przestraszona, nie spróbowała czymkolwiek zasłaniać ciała, jakby instynktownie dając mi szansę wycofania się na palcach, byśmy potem mogli udawać, że wszystko nam się tylko przyśniło. Dostrzegłem spłoszone spojrzenie odbite w spatynowanym upływem czasu szkłe. Umknęła zaraz wzrokiem i nie przestawała walczyć z włosami. Patrzyłem oniemiały na jej bladą postać. Obraz zakłęty w zabytkowym zwierciadle przypominał popękana fotografię ze starego albumu. Trwałem bez ruchu, czekając, aż rzeczywistość pęknie jak bańka mydlana. Wiekowy zegar głośno odmierzał sekundy, a Wanda z determinacją czesała włosy, powtarzając ciągle te same, mechaniczne ruchy. Ciągłe jeszcze mogłem wycofać się cicho. Wiedziałem, jak łatwo przyjdzie mi uwierzyć, że nigdy mnie tu nie było. Zamiast tego

podszedłem powoli i dotknąłem końcami palców jej białej skóry. Grzebień stuknął o podłogę, drgnąłem i wypuściłem z ręki butelkę. Wanda odwróciła się do mnie, opuściła ręce i patrzyła szeroko otwartymi oczyma gdzieś ponad moim ramieniem, jak gdyby czekając, że zaraz ktoś nas nakryje. Wbrew stanowczym przestrogom resztek świadomości zamknąłem oczy i przesuwalem dłońmi po jej nieruchomym ciele, niczym ślepiec lepiący z gliny postać istniejącą tylko w jego wyobraźni. Poczulem, że osuwa się w moich ramionach.

\*\*\*

Ocknąłem się z dziwnym wrażeniem przebywania w urojonym czasie i miejscu. Gdy otworzę oczy, bańka mydlana pęknie z cichutkim trzaskiem, wszystko wróci do banalnej normalności. Jednak zwlekałem. Słuchałem miarowego oddechu, czułem dotyk ciała, które nie wiedziało, jak reagować na bliskość drugiego. Ale uczyło się.

Poruszyła się i zeszywniała, gdy poczuła moją obecność, jak robak udający martwego, by przechrzyć drapieżnika. Tylko zmiana w rytmie oddechu mówiła, że już nie śpi. Powoli wysunąłem się spod kołdry, pobierałem swoje rzeczy i wyszedłem na palcach.

O dziwo, w naszych wzajemnych relacjach nie zaszła najmniejsza zmiana. Wanda niczym kameleon wtapiała się w otoczenie. Do tego stopnia usunęła się na skraj rzeczywistości, że momentami nie wiedziałem, czy aby nie wymyśliłem sobie tej bardziej ode mnie zagubionej istoty, by wypełnić pustkę, w jaką obróciła się moja teraźniejszość i przyszłość. Gdy przypadkiem mijaliśmy się na schodach, wiedziałem, że mógłbym po prostu wziąć ją za rękę, poprowadzić, dokądkolwiek zechcę, i dostać wszystko, czego tylko zapragnę. Ale to było zbyt wiele dla mnie, a zbyt mało dla tego, kim nigdy nie miałem się okazać. Niczego od niej nie chciałem, ponieważ nie mogłem ofiarować nic w zamian. Trwaliśmy tak obok siebie, czekając nie wiadomo na co. Jakoś nie umiałem powiedzieć jej jasno i wyraźnie, że mężczyźni czasem wystarczają tandetne chwile fizycznego spełnienia.

\*\*\*

Straciłem rachubę czasu, nie pamiętałem, jaka jest data ani nawet dzień tygodnia. Czekałem, aż wydarzy się coś, co przerwie ten stan zawieszenia. Wiedziałem, że gdzieś tam toczy się normalne życie, ludzie chodzą do pracy, kochają się, rodzą i umierają, a moje problemy są im zupełnie obojętne. Pragnąłem wrócić do tego wszystkiego, lecz odwlekałem moment konfrontacji, czepiając się nadziei, że tymczasem los jakoś poukłada moje sprawy.

Pewnego dnia wyszedłem koło południa, żeby zadzwonić do Doroty. Wróciła już do domu i jakoś sobie radziła. Przestała namawiać mnie do powrotu, wyczuwałem w jej głosie rezygnację. Ona też na coś czekała i było jej nawet trudniej niż mi, ponieważ nie miała pojęcia, co się stało.

Powłóczyłem się trochę bez celu, w sklepie rzuciłem okiem na półki z alkoholem, ale natychmiast przypomniałem sobie swoje niedawne bohaterstwo i całą resztę... Czmychnąłem stamtąd czym prędzej, gdyż dosłownie zachciało mi się rzygać na myśl o ubóstwie własnego charakteru. Człapałem powoli jak kaleka na to cholerne czwarte piętro, do mojej cholерnej, niekrępującej kryjówki. Chciałem przekręcić klucz, ale ani drgnął. Zawsze zamykała się na zasuwę – zapomniała? Nacisnąłem klamkę i nasłuchując podejrzliwie, powoli uchyliłem drzwi. Zaskrzypiały zawiasy.

– Uciekaj!

Krzyk sparaliżował mnie na sekundę, zobaczyłem jakiegoś draba celującego do mnie z pistoletu.

Szarpnąłem się do tyłu i w tym samym momencie Wanda wpadła do przedpokoju, zasłaniając mnie przed napastnikiem. W ciasnym pomieszczeniu huk wystrzału zabrzmiał jak uderzenie pioruna, pocisk szarpnął chudym ciałem, osunęła się na ziemię niczym szmaciana kukła. Dostrzegłem jeszcze, jak potężny kształt, ruszający w moją stronę, potyka się o leżącą postać. Byłem już na schodach, gdy z mieszkania dobiegł głuchy łomot.

Biegłem jak wariat, przeskakując po kilka stopni. Wyskoczyłem na dwór i pognałem przed siebie. Nie słyszałem pogoni, wpadłem w jakąś

boczną uliczkę, potem w następną. Zwolniłem, widząc podejrzliwe spojrzenia mijanych ludzi. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, gdzie się znalazłem i poszukać telefonu. Szok nadawał moim działaniom zewnętrzne pozory racjonalności, ale poruszałem się jak automat. W czasie swoich spacerów bez celu na tyle dobrze poznałem okolicę, że teraz momentalnie zorientowałem się, gdzie jestem, i już po paru minutach trzymałem słuchawkę w ręku.

Wychrypiałem przez ściśnięte gardło, że był napad i kobieta jest ciężko ranna. Rzeczowy głos beznamiętnie poprosił o moje nazwisko i adres. Podałem zmyślane personalia i zapytałem, gdzie ją zabiorą. Zatrzymałem taksówkę i rzuciłem nazwę szpitala. Po piętnastu minutach byłem na miejscu.

Podjechały dwie czy trzy karetki, ale bez sygnału, więc wiedziałem, że nie ma w nich Wandy. Wreszcie usłyszałem wycie, które ucichło raptownie, gdy ambulans zatrzymał się przed izbą przyjęć. Nie pchałem się tam, z daleka rozpoznałem bezwładną postać na noszach, sanitariusze prawie bieгли, przytrzymując stelaż z kroplówką. Jeszcze żyje! Jeszcze... Odwróciłem się i odszedłem.

Siedziałem na jakiejś ławce, dokądś szedłem, wpadałem na mijanych po drodze ludzi, ale żaden nawet nie zwrócił mi uwagi – w moim wzroku widzieli szaleństwo.

Jak te bydlaki mnie znalazły? Bankomat? Mieli takie możliwości? Może telefon – z czasem straciłem czujność i w końcu dzwoniłem tylko z najbliższego. Nie, chyba tylko policja mogła namierzać moje rozmowy, ale nie byłem aż tak ważny. Poznał mnie ktoś na ulicy? Niemożliwe. A może... Przecież Muniak doskonale wiedział, gdzie mnie szukać, w końcu sam mu powiedziałem, że wynajmę pokój. Rozesłał pewnie swoich ludzi, żeby sprawdzali po kolei ogłoszenia. Któryś mógł pod byle pretekstem zapukać do drzwi i spytać, na przykład o pana Apoloniusza, kolegę z pracy. Dlatego był tylko jeden bandzior i nie obstawili wyjścia z budynku. Tylko jak poznał, że to ja mieszkam u Wandy, przecież nawet nie znała mojego prawdziwego imienia? Pewnie zbajerował ją jakoś, pozwoliła mu zajrzeć do pokoju, a tam stała ta

cholerna teczka... Zresztą, teraz to bez znaczenia. Dobrze, że miałem przy sobie dokumenty, ale jednak znów straciłem dach nad głową.

Poczułem się jak szczur zapędzony w ślepy zaułek. Ale szczury, gdy nie mają innego wyjścia, potrafią rzucić się na oprawcę i walczyć do upadłego. A często wygrywają, bo mają mniej do stracenia niż przeciwnik, więc grają o całą pulę. Coś dziwnego działo się w mojej głowie, coś przeciwnego mojej naturze. Chociaż nie do końca. Może każdy ma swój próg wytrzymałości, za którym wszystko przestaje być ważne? Kiedy człowiek straci wszystko, to niewiele można mu już zrobić. Zaczyna pojmować, że jedyną wartościową rzeczą, jaka mu pozostała, jest godność i warto jej strzec nawet za cenę... Dosyć, przestań filozofować! Teraz liczy się tylko Wanda. Ta cholerna, nierzeczywista Wanda, która zasłoniła mnie własnym ciałem. A nie musiała, miała czas wszystko przemyśleć, zrobiła to całkowicie świadomie, wystawiając mi rachunek, który trudno będzie spłacić.

I może nie być okazji.

Nakazałem sobie twardo nie myśleć o niczym i jakoś mi się to udało. Nie wiem, ile to trwało. Mijały minuty i godziny.

\*\*\*

– Halo, chciałbym dowiedzieć się o stan zdrowia Wandy... – podałem jej nazwisko i adres.

– Chwileczkę... – Dłuższa pauza, słyszałem tylko stłumione szepty. – Z kim rozmawiam? – Jeśli drewniany głos w słuchawce należał do lekarza, to nie chciałbym trafić w jego ręce.

– Proszę pana, jak ona się czuje?

– Proszę podać swoje...

Odwiesiłem słuchawkę. Pilnują jej. Gliny zhańtują każdego, kto spróbuje się do niej zbliżyć.

Wyjąłem z bankomatu tysiąc złotych. Obserwowałem z daleka teren szpitala, ale niczego podejrzanego nie dostrzegłem. Zresztą pilnowali jej czy nie, nie mogli kontrolować wszystkich wchodzących. Zaczepiłem jakiegoś chłopaka w białym fartuchu i powiedziałem mu, że byłem

świadkiem napadu na przyjaciółkę. Nie chcę zeznawać na policji, bo nie widziałem napastnika, a takie bandziory lubią się mścić... Czy mógłby dowiedzieć się dyskretnie... Pokazałem mu pięć stuzłotówek. Słuchał obojętnie z neutralną miną, ale na widok pieniędzy popatrzył na mnie podejrzliwie, wręcz wrogo. Pokręcił przecząco głową, jednak nie odchodził. Spojrzał na moją stężałą w oczekiwaniu twarz, dłonie zaciśnięte kurczowo, by ukryć drżenie. Ruchem głowy wskazał ławkę przed szpitalem i odszedł.

Stanąłem za ogrodzeniem, paliłem i obserwowałem wejście. Trwało to cholernie długo. Wreszcie ujrzałem, jak wychodzi i spogląda w kierunku ławki. Zatrzymał się niezdecydowanie. Pomachałem mu prędko i czekałem, gotów natychmiast zwać, gdyby ciągnął za sobą ogon.

– Zagadnąłem pielęgniarkę... – mówił szeptem, mimowolnie dostosowując się do narzuconej moim zachowaniem, konspiracyjnej atmosfery. – Stan ciężki, ale stabilny. Za parę dni się wyjaśni.

– Dziękuję.

Skinąłem głową i chciałem odejść. Zatrzymał mnie jego głos.

– Chwileczkę. Pielęgniarka powiedziała, że była przez chwilę przytomna. Pytała o jakiegoś Waldka... – pauza wlokła się jak spadanie z dziesiątego piętra. – Trochę zdaje się majaczyła. Że na pewno nie przyjdzie, że nie wolno mu przychodzić, ale jakby jednak przyszedł, to niech mu powiedzą, że z nią wszystko dobrze.

Z nią wszystko dobrze, z nią wszystko dobrze – powtarzałem niczym mantrę jej naiwne kłamstwo i czułem, jak z każdym słowem ogarnia mnie coraz większe szaleństwo, a nienawiść wypiera inne uczucia. Nie, nie miałem żadnych idiotycznych wyrzutów sumienia, jakoby z Wandą to była moja wina, że gdyby nie ja, to...

Winien był on i tylko on! Mucha nie wiedział o czymś, o czym zresztą nie wiedziałem dotąd sam: jestem mściwy, cholernie mściwy. Jeśli ktoś da mi powód, prawdziwy powód, to nie zapomnę mu tego nigdy i poświęcę wszystko, żeby dopaść łachudrę.

Czarna kurtyna zasnuła mi zmysły, przestało mi zależeć na czymkolwiek, prócz jednego: dorwać drania i doprowadzić do tego, żeby



przed śmiercią długo cierpiał. Bo to jest słuszne!

Resztki rozsądku podpowiadały mi, że powinienem wziąć się w garść i najpierw zapewnić bezpieczeństwo swoim bliskim. Potem zajmę się zemstą. Jeśli będę umiał.

Mój kumpel z podstawówki był taksówkarzem. Pojechałem na nasz osiedlowy parking, na którym zwykle stawiał samochód, o ile nie miał po południu jakiegoś zamówionego kursu. Bryka już tam stała, więc poszedłem do niego na chatę.

– O, siema, kogo widzę!

– Mirek, mam sprawę. Nietypową i kurewsko ważną! – zagałem bez owijania w bawełnę.

Uniósł pytająco brwi i gestem zaprosił mnie do środka.

– Kawy? – Spojrzał na moją wymiętą twarz. – Chyba lepiej kielicha.

– Nie, nie dzisiaj. Słuchaj, ale ty nie piłeś? Możesz jechać?

– Mogę. Coś z kobitą? – Mimowolnie zwróciłem uwagę, że swego czasu Benek zapytał o to samo.

– Nie, nie mogę ci teraz tego wyjaśnić, ale wierz mi, od tego zależy moje życie.

– Wal! – Nie wiem, czy moja melodramatyczna uwaga zrobiła na nim wrażenie. Był raczej z tych gruboskórnych.

– Pojedź po moją żonę, dam ci adres. Niech dzieciaka zostawi u Benka, a ją przywieź... – zawahałem się – tutaj?

Kiwnął głową, zastanowił się przez moment i zapytał:

– Będzie chciała?

– Na pewno! Powiedz, że czekam! Tylko słuchaj... Nie wiem, jak to rozegrać... Ktoś może pilnować naszego mieszkania. Gdyby cię potem śledzili...

– Zgłupiałeś, mnie? Pojeździmy po mieście, zauważę coś, zrobię taki numer, że z satelity nas nie wypatrzą.

– Przerwał i przyjrzał mi się z namysłem. – Kto cię szuka? Gliny?

– Jeśli to gliny, postaw im dobry koniak, tylko nie mów, że to ode mnie... Ale potem lepiej, żebyś ich zgubił.

Gapilem się w telewizor, wiadomości te same co przed miesiącem,

tylko z innymi bohaterami. Prognoza pogody – popatrzyłem w noc za oknem – ciekawe czy się sprawdzi? Reklamy też te same.

Zgrzyt klucza w zamku. Oni czy...? Wyłączyłem odbiornik i napiąłem mięśnie. To była Dorota, ta sama, ale jednak zmieniona przez lęk i niepokój. Stała w progu, na mój widok zaszkliły jej się oczy. Przytuliła mnie trochę sztywno, jakby niepewna, czy to ten sam facet, z którym do niedawna dzieliła wszystkie ważne i błahe momenty, jakich nie skąpi codzienność.

– Co się dzieje, powiesz mi wreszcie?

Mirek nam nie przeszkadzał, dyskretnie zniknął w kuchni.

Powiedziałem jej wszystko. Prawie wszystko. Ustaliliśmy, że pójde na policję, ale najpierw ona spakuje w nocy siebie i córkę, rano Mirek podjedzie po nie i zawiezie na dworzec. Pojadą do jakiejś miejscowości wczasowej, obojętnie jakiej. Wakacje jeszcze się nie zaczęły, znajdują się miejsca. Moja żona jest dość zaradna, wiedziałem, że sobie poradzi. Nawet nie chciała ode mnie pieniędzy, mówiąc, że oszczędności muszą jej wystarczyć. Jakoś wcisnąłem jej parę złotych.

– Kiedy mam wrócić?

– Nie wiem. Dzwon raz w tygodniu do... Nie! Kupuj „Gazetę Wyborczą”, dam ogłoszenie: „Sprzedam ciastka z ostrężynami”. Wtedy możesz zadzwonić do domu.

– A moja praca? – Milczałem. – No tak... Odprowadzisz nas?

– Lepiej nie. Jak będziesz wsiadać do pociągu, ja będę już składał zeznania – mówiłem z takim przekonaniem, że musiała mi uwierzyć. Sam nieomal w to uwierzyłem. – Nie kontaktuj się absolutnie z nikim, zniknij.

Nasza mała jest najważniejsza.

Przekimałem u Mirka, zczekałem, aż wrócił i potwierdził, że zostawił dziewczyny na dworcu – on też nie miał wiedzieć, gdzie pojechały. Podałem mu rękę i poszedłem robić swoje.

Tylko że za cholerę nie wiedziałem, co powinienem teraz zrobić. Wczoraj, gdy myślałem o Wandzie, tym brzydkim kaczątku, które wierzyło, że ktoś je pokochał, a raczej sądziło, że pewnie nie, ale może...

byłem gotów jechać do Muchy, rozwalić łbem bramę, przegryźć gardło czarnemu bydlakowi i rozerwać na strzępy zbira gardzącego życiem innych. Jednak po spotkaniu z Dorotą znów nieco zmieniła mi się hierarchia wartości. Ech, do dupy to wszystko!

Znalazłem automat i wykręciłem numer.

- No? - To była jednak jego zwykła odzywka. Milczałem. Nie przychodziły mi do głowy żadne słowa, którymi mógłbym dopiec lub przynajmniej obrazić gnoja. Po co w ogóle dzwoniłem? By upewnić się, że on naprawdę istnieje, nie wymyśliła go moja chora podświadomość? Żeby przekonać się, że można zabić kogoś... gorzej - splunąć na czyjąś duszę i zaznawać spokoju w błogim poczuciu nietykalności? Odwiesiłem słuchawkę.

Muszę znaleźć Ziomala i powiedzieć mu, kto zaprowadzi go na grób syna! Ale jeszcze nie teraz. Mucha jest za silny i ma za dużo ludzi, Ziomal może nie dać mu rady. Coś z tym zrobić! Żeby brzydkie kaczątko nie myślało do końca życia, że jedyne, do czego się przydała, to nadstawianie karku za jakiegoś myślącego fiutem gnojka. I żeby ten facio spoglądający na mnie z drugiej strony lustra nie odwracał wzroku.

Przez resztę dnia włączyłem się po mieście, robiąc niezbędne zakupy. Pod wieczór zacząłem myśleć o jakimś schronieniu. Nie nadszarpnąłem jeszcze zbytnio forsę od Muchy, ale teraz będę jej potrzebował, zatem zacznę oszczędzać. Postanowiłem przespać się na dworcu. Zajrzałem do poczekalni, obskurnej, śmierdzącej ludźmi, którzy na nic już nie czekali, i zmieniłem zdanie - to zbyt oczywiste, mogą mnie tu szukać. Odwiedziłem nocny sklep i pojechałem na swoje osiedle. Znajomemu ciciowi z parkingu zaświeciły się oczy na widok najtańszego jabola.

- Przekimam tu, gitara, panie Stasiu? Wie pan, życie bywa skomplikowane, czasem lepiej poczekać, aż sprawy się poukładają same... - mrugnąłem porozumiewawczo.

- Coś z kobitą? - zadał znajome pytanie, odmrugnął kaprawym oczkiem i sięgnął po nektar, który postawiłem na stole.

Noc spędziłem całkiem wygodnie na jego kozetce. Zbudziłem się dość wcześnie, ale nie chciało mi się wychodzić spod cuchnącego stęchlizną

i... panem Stasiem koca.

Coś jakby załazek pomysłu kielkowało mi w głowie. Nikt przecież nie jest nietykalny, każdy ma słabe punkty. Nie jestem może supermanem, mam jednak kilka atutów. Determinacja, cierpliwość i efekt zaskoczenia działają na moją korzyść. Ponoć prawdziwi zawodowcy najbardziej obawiają się amatorów, wariatów i samobójców, gdyż nigdy nie wiadomo, co takim strzeli do głowy. Amatorem byłem stuprocentowym, a wielu by powiedziało, iż właśnie szykuję się do skoku w przepaść, czego nikt normalny by nie uczynił. Jednak spotkanie z Dorotą uświadomiło mi, że moje życie nie należy tylko do mnie. Nie warto go tracić w samobójczym starciu z bandytami. Ciągle zamierzałem zrobić wszystko, co potrafię, żeby wystawić Muchę na strzał. Tyle że niekoniecznie sam pociągnę za spust.

Odgłos jakiegoś kaszłającego silnika irytująco wdarł się w ciszę poranka. Otworzyły się drzwi i do pakamery zajrzała sterana życiem twarz. Pan Stasio miał oczka jeszcze bardziej kaprawe niż wczoraj.

– Zara kończe zmianę. Lepiej żeby... no wiesz pan.

– Już idę. – Odrzuciłem śmierzące okrycie, wyciągnąłem papierosy i podsunąłem staremu. – Nie sprzedaje ktoś tanio samochodu? Może pan coś słyszał, panie Stasiu?

– Masz pan przecież samochód?

– Już nie. – Skrzywiłem się. – Rozwaliłem grata na słupie. Złom.

– No, pan Zdzisio chce sprzedać. Emeryt. Gada, że już niedowidzi, ale wiesz pan, to nie samochód... ten jego maluch. – Wzruszył pogardliwie ramionami, demonstrując głębokie doświadczenie w dziedzinie motoryzacji, choć wątpiłem, czy miał w życiu jakieś auto. – O, zobacz pan, ten pomarańczowy. Ledwo byś się pan zmieścił.

– Dużo by chciał?

– E tam, panie. Pare stów. – Spojrzał wymownie na pustą flaszkę pod stołem. – Stać pana...

Wyciągnąłem parę złotych i zamieniłem na kartkę z adresem właściciela pojazdu.

Pan Zdzisław wyglądał, jakby całe życie nosił kamienie. Był tak

przygarbiony, że mimowolnie zastanawiałem się, czy to nie od wciskania się do wnętrza maluszka. Gdy wyłuszczyłem mu, z czym przychodzę, spoglądał na mnie dłuższą chwilę przez denka od butelek, oceniając pewnie, czy oddaje swój skarb w dobre ręce. Już myślałem, iż nie okaże się godny tego szacunku, ale on odwrócił się i począł do pokoju. Długo wyciągał z komody dokumenty, przybliżając każdy do twarzy, jakby chciał go powąchać. Wreszcie spoczął na krześle, wziął długopis i kartkę.

– Pan siada, trzeba spisać umowę.

Prędko przemyślałem parę spraw. Pan Zdzisio zgłosi sprzedaż, wyrejstruje brykę i mogą być kłopoty. Kradzione tablice ich nie rozwiążą, no bo ile jest maluchów na drogach? Kiedy gliny zaczną szukać, będę się rzucał w oczy, jakbym jeździł po naszych szosach bolidem formuły pierwszej.

– Nie mówiliśmy jeszcze o cenie – zauważyłem.

– A o czym tu mówić? Osiemset złotych.

– Proszę pana, nie będę kupował kota w worku, zapłacę powiedzmy tysiąc i wezmę wóz na próbę. Za jakieś dwa tygodnie, jeśli się będzie dobrze sprawował, spisujemy umowę i masz pan z głowy. Jak mi nie podpasuje, to oddaję kluczyki, a pan zwróci mi pięćset. Chyba uczciwy układ?

– A bo ja wiem... – pan Zdzisio wsadził w ucho wskazujący palec i obrócił kilkakrotnie, jakby wkręcał śrubę. Widać myślał intensywnie. – Ale umowę spisujemy na zaś. Jak byś pan, nie daj Bóg, stuknął kogo tymczasem, to mnie będą ciągać.

– Na chodzie? – Niby bryczka nie powinna mi być długo potrzebna, ale miałem inne potrzeby niż ładowanie forsy w naprawy.

– Przesz bym nie sprzedawał, jak by nie jeździł? – Logika wypowiedzi wydała mi się cokolwiek wątpliwa. Musiał wyczuć moje wahanie, gdyż zaraz dodał: – Jeździ, panie, do Ameryki pan zajedziesz!

– Dobra, załatwmy wszystko.

– Pan się nazywa?

W pierwszej chwili zapragnąłem odrzec błyskotliwie, że istotnie się

nazywam, jednak na widok jego okularów przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wyjąłem dowód osobisty i zacząłem dyktować mu dane, jakie mi ślina na język przyniosła. Nie podniósł ani razu głowy, choć przy numerze NIP-u zaczynającym się na zero siedemset, jakby nieco się zawahał. Po paru minutach kilka stówek zmieniło właściciela, a ja miałem w kieszeni dokumenty wozu i kluczyki. Nie spytałem nawet, czy jest coś w baku. Pan Zdzisio odprowadził mnie na parking, zdradzając po drodze parę tajemnic, znanych tylko wieloletnim posiadaczom tego cudu motoryzacji, a gwarantujących ponoć, że wehikuł nie znarowi się po przejechaniu stu metrów. Pomarańczowa zabawka zapaliła od pierwszego kopa, jechałem powoli, żeby wyczuć sprzęgło i poznać ewentualne fochy mego nabytku.

Na Wolumenie odszukałem znajomego, który dorabiał sobie na boku, handlując telefonami. Sprzedałem mu bajeczkę, że niby chcę postraszyć takiego jednego, co przystawia mi się do żony. Artur, nie wnikając w szczegóły moich perypetii sercowych, ochoczo wyjaśnił mi działanie sieci komórkowej. Za pięć dych opylił też aparat na kartę, którą mogłem w każdej chwili zamienić na nową, likwidując tym samym wszelkie możliwości wytropienia źródła uzyskanych za jej pomocą połączeń. Ostrożnie, w tonie towarzyskiej pogawędki, wypytałem go przy okazji o parę drobiazgów, które – jak słyszałem – można nabyć na bazarach za adekwatną opłatą. Dobrze słyszałem, oczywiście klient musi być pewny, najlepiej gdyby polecił go ktoś znany w tutejszym światku, a wtedy do wyboru do koloru: broń, prochy, mordobicie – wszystko jest kwestią ceny. Aż dziw, że ludzie w ogóle zwracają się ze swoimi kłopotami do glin, zamiast prywatnie, unikając stresu związanego z opieszałością wymiaru sprawiedliwości, załatwiać problemy stwarzane przez bliźnich.

Kiedy spytałem o ceny, Artura nieco zastopowało. Popatrzył najpierw na moje nieogolone oblicze i wymięte ubranie, potem stwierdził ostrożnie, iż nie interesował się tym raczej... ale gdyby coś, to mógłby popytać, do kogo uderzyć... Wymieniłem kilka drobiazgów. Wytrzeszczył oczy i prychnął pogardliwie:

– Tylko tyle? Już myślałem, że naprawdę chcesz kogoś załatwić.

- Bez jaj. To co, da się zrobić?
- Co się ma nie dać. Potrzebuję parę setek, może tysiąc.
- Na kiedy by było? - Sięgnąłem do kieszeni.
- A na kiedy potrzebujesz?
- Jak najszybciej.
- Dobra, idź coś zjeść czy na piwo, ale najlepiej gdzieś dalej. Przyjdź za jakąś godzinę.
- Już?
- Zgłupiałeś? Za godzinę będę coś wiedział. Tylko nie kręć się tutaj, bo ktoś pomyśli, że szpiclujesz.

W wietnamskim barze zjadłem spóźnione śniadanie w postaci kurczaka o pięciu smakach. Smaków odnalazłem nawet więcej, choć z trudem przebijały się przez woń wielokrotnie przypalonego oleju. Mogłem tylko żywić nieśmiałą nadzieję, że mięso nie gruchało ani nie czekało za życia. Kupiłem kilka gazet z ogłoszeniami i plan miejscowości podwarszawskich. Gdy wróciłem na bazar, Artur oświadczył, iż wszystko, czego potrzebowałem, da się załatwić w ciągu jednego, dwóch dni.

\*\*\*

Wjeżdżając wczesnym rankiem do Halinowa, przypomniałem sobie, jak jeszcze niedawno zarzekałem się, że moja noga nie postanie tu do końca świata i jeden dzień dłużej. Ale teraz nawet specjalnie się nie bałem. Stałem na jakiejś polnej drodze, przebrałem się w ciemnozielone spodnie i bluzę, na głowę włożyłem idiotyczną czapkę z daszkiem i ciemne okulary - szansa rozpoznania mnie w mojej pomarańczowej puszcze na kółkach była żadna. Zaparkowałem na jednej z głównych ulic. Ustaliłem na planie miejscowości swoje położenie i z małym plecakiem na ramieniu niespiesznie kroczyłem wąskimi ulicami. Dotarłem do miejsca, gdzie poprzednio stał mój polonez. Zwolniłem jeszcze bardziej, powtarzając w odwrotnym kierunku trasę swej ucieczki. Pamiętałem, że gdy zeskoczyłem z muru i biegłem przed siebie, minąłem jakąś ruderę z powybijanymi oknami. Teraz chciałem do niej

dotrzeć od tyłu, plątałem się więc dość długo, penetrując boczne drogi, ledwie tknięte kołami samochodów.

Wreszcie przez ogrodzenie z zardzewiałych prętów dostrzegłem tył odrapanej chałupy z zapadniętym w jednym miejscu dachem. Upewniłem się, że nikt mnie nie widzi, i pod drucianą siatką, którą byle jak usiłowano naprawić jakiś wyłom w ogrodzeniu, przelażłem na drugą stronę. Nie dostrzegłem żadnych ścieżek wydeptanych w zarośniętym zielskim ogrodzie, świadczących o czyjejś bytności w posesji, zatem szybko przedarłem się pod sam dom i okrążyłem go, szukając wejścia. Dość porządne drzwi z przodu budynku, do których wchodziło się po paru stopniach, zamknięte były na solidną zasuwę, nie na tyle jednak mocną, by krótka stalowa łapka w ciągu kilku chwil nie zdewastowała wystarczająco okolic zamka. Sprawdziłem, czy z drogi przed posesją nie widać śladów mojego wtargnięcia, ale bujne krzaki, które aż prosiły się o prześwietlenie sekatorem, zasłaniały cały dół rudery. Chciałem dotrzeć możliwie wysoko, najlepiej na strych, piąłem się więc mozolnie po trzeszczących nieprzyjemnie schodach. Jedno piętro, drugie, na koniec drabina wiodąca do kłapy w suficie. Z trudem uniosłem oblepioną pajęczynami pokrywę i precyzyjnie się przez prostokątny otwór, uważając, by w panującym tam półmroku nie rozbić głowy o jakąś belkę. Szukałem czegoś, co pozwoliłoby wyjrzeć na zewnątrz. Szczeliny w zapadniętym miejscami dachu wpuszczały wąskie smugi światła, przecinające niczym reflektory tumany kurzu wzniecone moim wtargnięciem. Dwa okienka z wiekowym nalotem brudu wychodziły akurat na sąsiednie posesje, które nic mnie nie obchodziły. Wyobraziłem sobie otoczenie domu, ustaliłem właściwy kierunek i z pomocą swojej stalowej łapki wyjąłem na wysokości głowy kilka dachówek.

Nie pomyliłem się w rachubach. Zważywszy na okoliczności, widok na posesję Muchy miałem zupełnie przyzwoity. Mogłem obserwować tył jego domu i okna, łącznie z tym, z którego miałem okazję skakać. Widziałem też spory kawał podwórza z podjazdem i bramą. Wypaliłem papierosa, pogapiłem się trochę i uznałem, że pora wracać. Tego dnia



nie miałem tu już nic do roboty. Na wszelki wypadek wpasowałem wyjęte wcześniej dachówki na swoje miejsce.

\*\*\*

W Warszawie pojechałem na Ursynów do kumpla z technikum, który namiętnie kochał komputery i – co było dla mnie już zupełnie niepojęte – doskonale rozumiał procesy zachodzące w ich wnętrzu. Wiedziałem, że potrafi ściągnąć z internetu dowolny utwór muzyczny, a pewnie i inne rzeczy, jeśli mu tylko zależało i się opłacało. Nie widzieliśmy się dość długo, ponieważ nasze zainteresowania zdecydowanie się różniły, ale pamiętałem, gdzie mieszka, i liczyłem, że jeszcze się nie przeprowadził. Wcisnąłem przycisk dzwonka. Nie doczekawszy się wyraźnego efektu akustycznego, zastukałem najpierw cicho, potem mocniej. Już miałem zrezygnować, gdy usłyszałem coś jakby wściekłe mamrotanie i drzwi zaczęły się uchylać.

– Kogo tam kur...?! O, Poldek? – Cholera, jeszcze pamiętał, że na drugie mam Leopolda.

– Cześć, Jacek. Mogę? Wybacz, że tak bez uprzedzenia, nawet bez flachy, ale...

– Włóż, włóż... Myślałem, że to znów jakiś kretyń chce mi wcisnąć zaproszenie na wycieczkę do Częstochowy, połączoną z cudowną okazją nabycia bezcennego kompletu garnków z wieczystą gwarancją.

– Przeszkodziłem ci w robocie? – Wprowadził mnie do zabałaganionego pokoju, którego całą ścianę zajmowało długie biurko z monitorem, drukarką i jakimiś elektronicznymi gadżetami niewiadomego przeznaczenia. – Ciągłe przebywasz w wirtualnym świecie?

– Realnym, kolego! To jest jak najbardziej realne: elektronu może i nie zobaczysz, ale jego droga w sieci...

– Dobra, dobra, nie mam nastroju na dyskusje. Mam problem i nie wiem, jak go ugryźć.

Jacek wyglądał, jakby wcale nie słuchał, co do niego mówię, tyle że on zawsze tak wyglądał. Usadził swe potężne cielsko w fotelu i stuknął,

pozornie od niechcenia, w klawiaturę. Spod związanej po piracku czerwonej chustki sterczały mu dredy. Nie podejrzewałem go o przynależność do rastafarian, bo choć niewątpliwie idee sprzeciwu wobec wszelkich form zniewolenia człowieka były mu zawsze bliskie, to jednak nie na tyle, by uczynić zeń abstynenta i wegetarianina. Czynne poparcie spadkobierców Boba Marleya oznaczało wyrzeczenia, będące w istocie zaprzeczeniem prawa do swobodnego korzystania z życia, czego mój kumpel nigdy nie tolerował. W jego przypadku fryzura wskazywała jedynie, iż ciągle ma w dupie opinie bliźnich na temat swego wyglądu, manier oraz sposobu patrzenia na świat. Podobieństwo do przerośniętego gнома wychowanego na muzyce reggae zapewniało swoistą selekcję negatywną wśród znajomych – automatycznie odpadali ci „normalni”, dla których o wartości człowieka decyduje stan konta lub liczba rozdeptanych konkurentów na drodze błyskotliwej kariery zawodowej.

Nie kazał mi usiąść, nie zaproponował kawy – każdy, kogo wpuścił przez próg, był u siebie i mógł bez skrępowania korzystać z dobytku gospodarza. Wiedziałem, że sam o nic nie zapyta, wychodząc z oczywistego założenia, iż odwiedziłem go w jakimś celu i nie będę robił z tego tajemnicy.

– Co byś zrobił, gdyby ktoś chciał zabić ciebie i twoją rodzinę? – walnąłem z grubej rury.

– Tylko chce czy już przystąpił do działania? – spytał rzeczowo.

Był jedyną znaną mi osobą, która każde zagadnienie traktowała poważnie. Nieważne, czy dotyczyło liczby diabłów na końcu szpilki, czy spinu cząstek elementarnych. Potrafił godzinami dyskutować ze spotkanym pod sklepem menelem, który zagadnął go o dwa złote, a potem zwierzył się, że jest w dołku, bo całkiem porąbało mu się życie i nie ma pojęcia, co ze sobą zrobić. Gdybym oznajmił mu, iż szykuję się do lotu na Księżyc, spytałby jedynie, czy posiadam mapy niewidocznej strony Srebrnego Globu, bo jeśli nie, to może je ściągnąć z NASA.

– W szpitalu leży babka... dostała kulę przeznaczoną dla mnie.

– Policja nie chce czy nie powinna się mieszać? – bezbłędnie namierzył

sedno problemu. Podniósł wzrok i popatrzył z zastanowieniem. Mój niezbyt świeży wygląd, nieogolone policzki i łatwo uchwytne oznaki stresu udzieliły mu odpowiedzi. – Zaczynij od początku.

– Wiedza o tym, co się zdarzyło, może być niebezpieczna.

– Ktoś wie, że tu jesteś?

– Nie!

– Na sto procent?

– Na tyśiąc!

– To gadaj.

Wyrzucenie wszystkiego z siebie zajęło mi najwyżej dziesięć minut. Gdy słuchałem własnego głosu, dziwiłem się mimowolnie, jaka ta historia jest nieskomplikowana, a jej aktorzy ohydnie banalni. Tysiące chwil, gdy szamotałem się w beznadziejnych próbach zerwania się z haka, dało się zamknąć w kilku minutach suchej relacji. Uświadomiłem sobie także, iż każde zakończenie będzie w jakiś sposób banalne, bo przecież wszyscy kiedyś opuszczą ten padół, a że niektórzy ciut wcześniej...

Jacek sięgnął po telefon i zamówił taksówkę. Swoim zwyczajem nie wyjaśnił, co zamierza uczynić. Wskazał głową małą wnękę kuchenną.

– Wrócę za jakieś dwie godziny, zjedz coś. Wiesz, gdzie jest łazienka, tylko się nie gól, za parę dni będziesz nie do rozpoznania z tą brodą.

– Masz jakiś plan? – Wiedziałem, że wychodził z domu tylko, jeśli musiał. Do świata zewnętrznego podłączał się za pomocą serwera.

– Plan? Nie, to ty masz plan! Nawet niezły. Chociaż niedopracowany.

– W drzwiach zatrzymał się na chwilę.

– W szafce jest bielizna, ciut za duża, ale nie grymas.

Wziąłem prysznic, włożyłem nowe skarpetki, stare wylądowały w śmietniku. Naszykowałem sobie chleba z jakimś pasztetem, wyjąłem piwo z lodówki.

Poczułem się lepiej, przede wszystkim psychicznie. Samotne dźwiganie sekretów nie leży w mojej naturze, a wątpię, czy w czyjejkolwiek. Tak to już widać jest. Skoro Jacek zaakceptował mój, jak to nazwał, „plan”, uznał, że można coś zrobić i warto poświęcić odrobinę bezcennego czasu

mojej sprawie, zamiast surfować z podświetlną szybkością po sieci, to chyba jeszcze nie pora na wizytę w zakładzie pogrzebowym. Stary koń z dredami miał zwykle wszystko głęboko gdzieś, ale też nigdy nie olewał ludzi, którzy zwracali się do niego o pomoc. Podejrzewałem, że uwielbiał czuć się ważny, uchodzić za eksperta. Słów: nie wiem, nie umiem, nic nie poradzę – po prostu nie używał. Monstrualne ego mojego kumpla domagało się nieustannego łaskotania, choćby najskromniejszymi dowodami uznania.

Mijały kolejne godziny, Jacek nie wracał. Powoli zaczynałem się niepokoić, a skołatana głowa podsuwała mi coraz bardziej pesymistyczne przypuszczenia. Chyba nie polazł na policję?! A może, cholerny detektyw, zaczął węszyc tam, gdzie nie trzeba, i przyciągnie tu jakichś drani? Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Maluch stał spokojnie i nikt się nim nie interesował. Wpuściłem świeże powietrze i wychyliłem się przez parapet. Pierwsze piętro, trochę wysoko, ale jakby co, na pewno się nie zabiję.

Rozejrzałem się za telewizorem, ale takiego sprzętu tu nie było – no tak, Jacek wolał wchłaniać sieczkę internetową zamiast papki telewizyjnej. Wziąłem do ręki pierwszy z brzegu kolorowy magazyn, jednak opis możliwości rewelacyjnego interfejsu czy innego grzyba, nie zaabsorbował nawet na sekundę oczekujących katastrofy zmysłów. Usłyszałem dalekie wycie syreny, chyba policyjnej. Zbliżyłem się do okna i nasłuchiwałem, wyglądając ostrożnie zza zasłony. Niepokojący dźwięk nabrał intensywności i ucichł nagle, za to po minucie na korytarzu rozległy się ciężkie kroki, jacyś ludzie szybko zbliżali się do drzwi. Głośne łomotanie zastało mnie z nogą za parapetem, w następnej sekundzie wisiałem już na wyciągniętych rękach. Łomot nie ustawał – nie było na co czekać, puściłem się i po okropnie długiej chwili wylądowałem twardo na wyleniałym trawniku. Zabolało, ale kości miałem całe. Biegłem między blokami ścigany zdziwionymi spojrzzeniami nielicznych mieszkańców, których czworonożne pociechy usiłowały zerwać się ze smyczy i pogonić za uciekającą zwierzyną.

Plątałem się po osiedlu, klucząc jak pijany zając, żeby zmylić

ewentualną pogoń. Minęło trochę czasu, może godzina, zanim zacząłem w miarę rozsądnie myśleć. Albo Jacek poszedł do glin i teraz siedział na komisariacie, gdy tymczasem oni próbowali mnie zgarnąć, albo chlapanął coś niewłaściwym ludziami. Żeby tylko nic mu nie zrobili. Jeśli to byli bandyci, mój kumpel może już surfować po tamtej stronie.

Lażłem przed siebie bez celu, byle dalej od trefnej okolicy. Z podświadomą zawiścią obserwowałem mijanych ludzi – pędzili do swoich zajęć, ktoś spojrzął na zegarek, zadzwonił czyjś telefon. Mężczyzna w eleganckim gajercie wyciągnął komórkę i zaczął kłamać z wprawą zawodowego polityka:

– Tak, niedługo będę. Szefie, żona się rozchorowała, w dodatku dzieciak rano kaszłał i musiałem...

Cholera, gdzie jeszcze mogę się schować, co mam dalej robić?! Tułać się po dworcach albo przebrać za menela? W przytułku zupełnie chociaż dadzą i nie będą o nic pytać. Można tak do usranej śmierci, ale to nie moja bajka. Przypomniały mi się zasłyszane gdzieś słowa: „Fortuna kapryśną jest, a w moim świecie nie dasz sobie rady”. Kto to powiedział, jakiś bezdomny? Najgorsze, że miał cholerną rację. Więc upić się, żeby na moment zapomnieć o tym całym bajzlu? Potem znowu i jeszcze raz... I co wtedy? Kiedy wytrzeźwieję. Utopić się, rzucić pod pociąg? Niby mało finezyjne, ale za to jaka piękna tragedia. Kopnąłem ze złością w krawężnik, jednak pomysł użycia alkoholu jako środka terapeutycznego zagnieździł się na dobre w umyśle. To takie proste, znieczulasz się kilkoma głębszymi, szarość nabiera pastelowych odcieni, melancholia rozwiewa się jak pierdnięcie na wietrze, zapominasz o beznadziejności. Przede wszystkim zapominasz.

W pierwszym sklepie wziąłem sześć mocnych browarów, zdając sobie doskonale sprawę, że w moim położeniu trudno o większe kretyństwo. Może nawet samobójstwo, bo diabli wiedzą, co strzeli do zamroczonego łba. Jednak skoro trzeźwy łeb nie podsuwał rozwiązania... A pieprzyć to! Uznałem, że nie warto dorabiać ideologii do zwykłego pragnienia. Znalazłem jakąś ławkę i kilkoma łykami opróżniłem prawie całą puszkę. Odetchnąłem z wysiłkiem i czekając na końące działanie alkoholu,

przypaliłem szluga. Nie kryłem się wcale – jeśli zgarnie mnie jakiś patrol za picie w miejscu publicznym, znaczy, że los tak chciał, i wszystko im opowiem. Zresztą pewnie nie będę musiał, mają w końcu Jacka.

Przy drugim browarze i pewnie czwartym papierosie poczułem wreszcie niejaki rozluźnienie. Glin ani na lekarstwo. Czy oni już wprowadzili ten przepis o zakazie spożywania w miejscach publicznych? Nigdy ich nie ma, jak są potrzebni. Musiałbym rzucić kamieniem w radiowóz, żeby się zainteresowali. Myśl wydała mi się nawet warta rozważenia, delektowałem się nią przy następnym piwie. Ale równocześnie nabierałem animuszu. Coś za łatwo się poddajesz palancie, forsa od Muchy jeszcze się nie skończyła! A na kiego grzyba mi forsa w areszcie? To jeszcze nie koniec, trzeba by gdzieś przekimać...

– Można? – Facet mrugnął kaprawym oczkiem i usiadł obok. Z kieszeni sterczała mu szyjka ciemnej butelki. Nie tracąc czasu, z wprawą wyjął plastikowy korek. – Napijesz się? Jestem Stefan.

– Też jestem Stefan – skłamałem zupełnie odruchowo. Jego uśmiech był zbyt przyjacielski, spojrzenie z lekka szujowate, wyraz twarzy odrobinę za sprytny. Ucisnąłem twardą dłoń i przyjąłem poczęstunek. Tanie wino było słodkie i ciepłe, a po gorzkim podkładzie z mocnych browarów spływało do żołądka jak kompot.

Nie byłem jeszcze mocno trącony, a w każdym razie tak mi się zdawało, bo potrafiłem dość jasno myśleć. Zaciągnąłem się szlugiem od nowego znajomego i przyglądałem się, jak opróżnia flaszkę z wprawą znamionującą spore doświadczenie. Ciuchy mego towarzysza – skórzana kurtka z wytartymi na szwach rękawami, ciemne spodnie bez kantów i cokolwiek schodzone półbuty – sprawiały wrażenie używanych od pokoleń, ale wszystko było czyste, nie rozlatywało się, mimo iż na śmietniku wyglądałoby zupełnie naturalnie. Gdy podawał mi prawie pustą butelkę, na palcu mignął mu srebrny sygnet.

– Do dna, Stefan. – Poglądził krótkie szpakowate włosy i zerknął niby ukradkiem na moją siatkę z piwem.

– No, wreszcie mamy ładną pogodę. Co porabiasz, jeśli wolno spytać?

– Aktualnie relaksuję się na świeżym powietrzu – błysnąłem

dowcipem. Gostek odwdzińczył się pełnym aprobaty rechotem, więc palnąłem odważnie: – Rozglądałem się za jakąś babką, wiesz... z kobitą się poprzytykałem... Nie bardzo mam nawet gdzie przekimać.

– A ileż to roboty?! – Zamilkł na chwilę i zmrzywszy oczy, rozmyślał nad czymś intensywnie. Nagle zrobił ruch, jakby chciał podnieść się z ławki. – Ja to, bracie, wyznaję jedną zasadę: „Żyj tak, by twój trup uśmiechał się w trumnie!”. Chcesz babkę, będzie babka.

– Czekaj, Stefan, moment. – Przestraszyłem się, że sprowadzi jakiegoś przywędłego kaszalota, któremu trzeba będzie prawić komplementy. A jeśli przypadkiem stęskniony uciech cielesnych kaszalot zapała do mnie uczuciem... – Aż tak mnie nie przycisnęło. – Sięgnąłem do reklamówki.

– Dziękci. – Bez wahania przyjął poczęstunek, ale teraz nie spieszył się, pociągnął ze dwa łyki, wyjął papierosy i utkwiał we mnie przebiegłe oczęta. – To co?! Dzionek jak ta lala, łodyga jeszcze dyga, tylko pić się chce...

Komunikat był zupełnie jasny, pokiwałem tylko głową, czekając na dalsze sugestie.

– Znam, bracie, takie towary, że w Samoobronie daliby im pierwsze miejsca na listach do sejmu i limuzynami wozili na te ich narady. W końcu jesteście ciut przystojniejsi od starego Łyzwy, nie? – Kiwnąłem głową, bo akurat w pełni podzielałem jego opinię. Stefan chyba oczekiwał bardziej zdecydowanej deklaracji. Dopił browara i przeszedł na otwarte nadawanie: – Życie krótkie, a pić się chce! Idziem, bracie, w tango, będzie wino, kobiety, śpiew...

– Tu? – spytałem z głupia frant i popatrzyłem na wyleniały, upstrzony psimi kupami trawnik.

– Jakie tu?! Ze mną to pełna kultura, bracie – oznajmił z godnością. – Walimy do znajomych, będzie klawo, zakąski, muzyka, można się przekimać i te rzeczy... Tylko trzeba kupić jakieś płyny.

– Dobra, chodźmy.

Zachwiałem się lekko, ale Stefan przytrzymał mnie za ramię i poprowadził ze sobą.

„Pożyczyłem” mu na pół litra, kupiłem to samo i w coraz lepszej

komitywie udaliśmy się nieznanymi mi zaułkami. Szybko straciłem orientację, ale też nie zwracałem szczególnej uwagi, dokąd idę. Pomyślałem przelotnie, że moja sytuacja, wbrew pozorom, posiada kilka plusów – nie muszę pojawić się rano w robocie, czego nie zrobię dziś, to zrobię jutro albo zgoła za tydzień, kobita nie czeka w chałupie z wałkiem do ciasta...

Nikt na mnie nie czeka.

W końcu weszliśmy do niskiego bloku z wielkiej płyty. Stefan bez ceregieli załomotał w jedno z wielu identycznych drzwi. Ze środka dobiegło stłumione ujadanie, po dłuższej chwili umilkło zastąpione jakimiś szeptami i ostrożnym szuraniem. Judasz pociemniał, mój kumpel przybrał minę, jakby pozował do fotografii. Zazgrzytała zasuwa.

– A witam, witam – nie pierwszej młodości kobieta, z ostrym makijażem na nieco zapuchniętej twarzy, mówiła chropowatym, niskim głosem. Pod nogami płątał jej się brązowy jamnik, tak gruby, że brzuchem dotykał zielonego linoleum. – Kogóż to widzę? Wchódź, Stefan.

– Uszanowanko... – Z ukłonem cmoknął pulchną dłoń o czerwonych szponach. – Poznajcie się, to jest... e... Stefan.

– Miło... Bożena. – Podsunęła mi rękę, drugą przytrzymała rozchylający się szlafrok. Cokolwiek zbyt apetyczne, na mój gust, ciało zafalowało, gdy cofnęła się do wnętrza, robiąc nam miejsce. Z pewnym wysiłkiem stłumiłem podejrzenia, iż trzyma pod szlafrokiem nie do końca nadmuchane dętki samochodowe. – Wejdźcie, rozgośćcie się, a ja tymczasem trochę się ogarnę. – Brzęk butelek w reklamówce nie uszedł jej uwagi. – Iwona, mamy gości!

Dama zniknęła za jakimiś drzwiami, a my weszliśmy do dużego pokoju. Poczulem bukiet dość jednoznacznie kojarzący się z dworcową poczekalnią. Z wersalki o nieokreślonym kolorze podniosła się drobna dziewczyna.

– Cześć, Iwonka. Poznaj Stefana. – Cmoknął ją, niezupełnie po ojcowsku. – Zorganizuj, Iwonka, jakieś szkło i małe szamanko.

Miała zgrabny nos i pełne usta, lecz twarz szpeciła kaszka drobnych pryszczycy. Nie zadała sobie trudu, by przykryć je makijażem. Jasne,



przetłuszczone włosy związała w mały kucyk. Mogła mieć równie dobrze piętnaście, jak i dwadzieścia pięć lat. Przezrzysta cera i lekko opuszczone kąciki błękitnych oczu nadawały jej nieco skandynawskim rysom wyraz obojętnej melancholii. Bez słowa wyszła z pokoju.

Impreza wydawała się całkiem udana. Alkohol szybko przełamał wszelkie lody, nastąpiły jakieś bruderszafty, nie wiadomo skąd pojawiło się więcej osób. Było szaro od dymu i gwaro – wszyscy mówili prawie równocześnie, śmiechy i brzęk szkła mieszały się z jakąś muzyką. Pamiętam jak przez mgłę, że gdzieś z kimś wychodziłem, pewnie po gorzałę. W jakimś momencie, gdy libacja była w pełni, Iwona wyciągnęła mnie do innego pokoju. Miała w ręku napoczętą butelkę wina. Zamknęła za sobą drzwi, a ja tymczasem zwałem się na małą kozetkę przykrytą skotłowanym kocem.

– Lubisz mnie, Stefan? – Podała mi szklankę, którą już ledwie mogłem utrzymać w dłoni, i napełniła do połowy.

Paradoksalnie, kolejna dawka alkoholu sprawiła, że nieco oprzytomniałem. Bełkotałem jakieś komplementy, dotykałem bez skrępowania jej ciała i próbowałem rozpinać guziki cienkiej bluzki. Coś strzeliło i stuknęło o podłogę jak upuszczona moneta.

– Czekaj, podrzesz...

Wzrok płatał dziwne figle. Zdawało mi się, że widzę kilka rozbierających się dziewczyn, jakaś ręka oderwana od reszty ciała podsunęła mi zaślinionego skręta, nagie postacie wirowały w tańcu, odstawiając figury z psychodelicznej rewii. Kolorowe tatuaże na ich skórze zdawały się żyć własnym życiem i przypominały ruchome slajdy z delirycznego snu. Spróbowałem schwycić pływające nimfy, eteryczne ciała pierzchały na wszystkie strony, strojąc złośliwe miny. Ktoś wybuchnął histerycznym chichotem...

\*\*\*

...trzymałem się mocno czegoś białego i zimnego. Żeby tylko nie puścić... Żółtawa breja tuż przed nosem to przybliżyła się, to oddalała, przybierając momentami kontury jakiejś twarzy...

\*\*\*

...co tak szumi...? Niech ktoś nastroi to radio... Gdzie ja...?

\*\*\*

Znajomy skądś szum, natarczywy, wszechobecny. A poza nim pustka w głowie i dezorientacja. Powieki miałem zapuchnięte jak po przegranej walce bokserskiej. Na wyblakłym, pełnym papierosowych dziur dywanie wałała się pomięta odzież i poprzewracane butelki. Jakiś odgłos za plecami, jakby nierówne posapywanie... Oderwane migawki czarno-białego filmu z wczorajszych zdarzeń niechętnie układały się w całość. Stefan, mieszkanie pełne rozgadanych ludzi, Iwona, psychodeliczny klimat samonakręcającej się balangi, mdłości... Odwróciłem powoli głowę, widok pryszczatej twarzy z lekko rozchylonymi, bladymi ustami przypomniał mi, gdzie jestem. Czułem, że mam na sobie spodnie i koszulę. Spróbowałem powoli i cicho wysunąć się spod poplamionej kołdry. Wreszcie usiadłem, starając się ustabilizować rozkołysaną głowę. Fakt, iż jestem ubrany, odpowiedział na kołaczące się na skraju świadomości pytanie – nie zaszło nic, czego bym później miał żałować. Spojrzałem na pochrapującą lekko dziewczynę – powiedzmy, że nie zaszło... Gdzieś na podłodze zlokalizowałem papierosy. Wstałem chwiejnie, sprężyny zajęczały nieprzyjemnie.

– Coo...? – ni to jęk, ni pytanie dobiegło spod pościeli. Iwona patrzyła na mnie wąskimi szparkami spuchniętych oczu. – Co robisz?

– Yyy... – musiałem odchrząknąć i przełknąć gulę o smaku towotu zmieszanego z petami. – Idę zajarać.

Odsunęła brudną kołdrę, wyraz jej twarzy sugerował, że ma akurat większe problemy niż przejmowanie się swą nagością. Zniknęła gdzieś w głębi mieszkania. Papieros nieco rozjaśnił mi w głowie. Wyszedłem do przedpokoju. Po dłuższej chwili usłyszałem dźwięk spuszczonej wody. Uchyliły się drzwi łazienki.

– Co robisz? – zapytała znowu. Miała tak cienką i bladą skórę, że po wewnętrznej stronie ud widać było niebieską siatkę żył. Przecisnąłem się

obok dygoczącej lekko postaci.

Oplukałem twarz i napiłem się prosto z kranu. Żołądek fiknął koziołka i wypuł zawartość do umywalki. Nie musiałem jej nawet przepychać – widać niewiele wczoraj jadłem.

Gdy zakładałem kurtkę, usłyszałem odgłos bosych stóp na linoleum.

– Gdzie idziesz?

– Jaki dziś dzień? – Z nieokreślonych bliżej przyczyn to pytanie wydało mi się teraz najważniejsze.

– No... czwartek.

Uf! Więc nie piłem przez trzy dni...

– Muszę coś załatwić. Przyjdę później – skłamałem.

– Zaczekaj. Czekać chwilę...

Odwróciła się i niespodziewanie żwawo pobiegła do pokoju. Z głębi mieszkania dochodziły jakieś szurania, senne bełkoty i głośnie chrapanie. Trwałem z ręką na klamce, zdecydowany uciekać, jeśli ujrzę kogoś innego niż ona. Wróciła po chwili i nie patrząc mi w oczy, wcisnęła do ręki kartkę. Nie wiedzieć czemu, zrobiło mi się żal. Jej i siebie. Przytrzymałem małą, brzydką dłoń z głęboko obgryzionymi paznokciami i pocałowałem krostowaty policzek. Wyszedłem, po paru krokach zerknąłem jeszcze przez ramię. Stała tam ciągle, ignorując swoją nagość, jakby była to jedyna choć trochę cenna rzecz, którą mogła komuś zaoferować.

Wdychałem łączywie chłodne powietrze poranka, chcąc pozbyć się smrodu i zaduchu, jakim przesiąknąłem w ponurej melinie. Rozwinąłem trzymaną w dłoni kartkę. Krzywym, niewyraźnym pismem nabazgrała nazwę ulicy, numer domu i mieszkania. I swoje imię. Rozwarłem powoli palce, wiatr ochoczo porwał mały świstek papieru. Gdzie ja słyszałem słowa: nie ten czas, nie to miejsce, nie ta dziewczyna...? I nie ten facet.

Co teraz? Na powtórkę z rozrywki jakoś nie miałem ochoty, rozejrzałem się po szarych mrówkowcach, ponurych jak zamieszkujący je ludzie. Okolica wyglądała obco, ruszyłem więc w poszukiwaniu przystanku.

Po numerach autobusów zorientuję się, gdzie mnie diabli zanieśli. Cofnąłem się pamięcią do ostatnich dni, pragnąc znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Cokolwiek, co pozwoli dojrzeć światelko w tunelu. Choćby iskrę... Artur! Zapomniałem o nim, cholera. Jacek wiedział, czego szukałem na bazarze, mogli to z niego wyciągnąć. Pół biedy jeśli mojego kumpla zgarnęła policja, ale jeśli Mucha? Nie był mięczakiem, tyle że trudno dochowuje się sekretów z lufą pistoletu przystawioną do oka.

Nie czułem się zdolny do poważniejszej akcji, zanim nie zrobię czegoś z polibacyjnymi sensacjami. Piwo wypite pod dwa papierosy zrobiło swoje.

Zatrzymałem taksówkę i poprosiłem kierowcę, aby podjechał na osiedle Jacka. Minęliśmy malucha. Nikt podejrzany nie kręcił się w pobliżu. Powtórzyliśmy manewr jeszcze dwa razy i kazałem wreszcie zniecierpliwionemu już nieco taryfiarzowi stanąć obok mojego pomarańczowego autka. Po minucie jechałem już szybko, jak na możliwości fiacika. Wsteczne lusterko nie pokazywało niczego niepokojącego. Nie powinienem prowadzić w swoim stanie, ale miałem to głęboko gdzieś.

Bocznym wejściem wszedłem na bazar i przesuwalem się powoli między straganami, starając się wypatrzeć z daleka specja od telefonów. Stał na swoim zwykłym miejscu, a obok niego wielki facet z dreadami obwiązanymi idiotyczną czerwoną chustką. Wyglądali na wyluzowanych, palili i dyskutowali, gestykułując z zapalem. Też zapaliłem i podszedłem.

– O, jesteś wreszcie! Twój kumpel mówił, że w końcu się zjawisz. – Artur wyjął jakieś pieniądze i wskazał spore pudło. – Trzymaj resztę. Towar jest w kartonie.

– Wszystko?

– To detal, nie było problemów.

Jacek bez słowa pomógł mi zataścić nabytek do samochodu. Dopiero, gdy po dłuższych manipulacjach z siedzeniem wcisnął się obok mnie, otworzył usta i spytał cierpko:

– Coś ty, kurwa, nawywiąkał?! Po cholere skakałeś przez okno? –

Podjejrliwie wciągnął powietrze i natychmiast opuścił szybę po swojej stronie. – Gdzieś się zakitrał? W kanale spałeś?

– Skąd wiesz, że skakałem...? – Przez moment miałem nadzieję, że uda się ukryć moje akrobatyczne popisy.

– Sposzregawczy to ty nie jesteś. Z mojego mieszkania nie da się wyjść drzwiami, gdy są zamknięte od zewnątrz – wycedził z politowaniem.

– Słuchaj, nie było cię cholernie długo, myślałem, że cię dopadli. Przecież to mogły być gliny! Albo gorzej. I to walenie do drzwi...

– Listonosz, do kurwy nędzy – westchnął ciężko – wie, że u mnie dzwonek nie działa, a jak jestem w sieci, to może pukać, aż się zesra.

Ujrzałem tę scenę jak żywą i musiałem w duchu przyznać, że już lepiej łomotać.

– Ale tam przewalało się kilka osób!

– Szanowny kolego, mam sąsiadów – oznajmił nad wyraz uprzejmym tonem i uznał sprawę za wyjaśnioną.

Sunęliśmy powoli w przedwieczornych korkach przez całą Warszawę.

– Byłem w szpitalu.

Zacisnąłem dłonie na kierownicy. Samochody stanęły na czerwonym i czas też stanął w miejscu.

– Kiepsko wygląda, ale raczej wyjdzie z tego. Jest przytomna, jednak nie wpuszczają do niej nikogo.

– Trudno... – Nie to chciałem powiedzieć. Światło zmieniło się, samochody ruszyły.

– Mnie wpuścili... – Nie spytałem, jakim cudem, więc sam wyjaśnił: – Ordynator Derczyński zadzwonił na oddział. Proste.

– Proste... – powtórzyłem bezmyślnie.

– Słuchaj, chyba nie powiedziałeś mi o niej wszystkiego? – Zerknął na mnie kątem oka.

Milczenie wyjaśniło Jackowi więcej niż słowa. Pokiwał głową do własnych myśli i podjął, dziwnie łagodnym tonem:

– Pogadaliśmy trochę, niezła jest! – Odwróciłem głowę na to zaskakujące stwierdzenie, ale nie wyczytałem wiele z jego obojętnej miny. – Powiedziałem jej, że nie mogłeś przyjść, bo składasz zeznania na

policii. Sprawdziłem, co o tobie wie. Nic istotnego. Kazała powiedzieć, że z nią wszystko dobrze. Coś ty jej zrobił... Waldek?

Nic. Zupełnie nic.

Przenocowałem u Jacka na łożku polowym, przykryty jakąś narzutą. Emocje ostatnich dni i niezbyt komfortowe warunki sprawiły, że nie spałem najlepiej. Zerwałem się skoro świt i wziąłem za szykowanie gadżetów niezbędnych do realizacji mego „planu”. Mój druh, przywykły do buszowania w sieci o najniezwykleszych porach, zerwał się również i postanowił poszperać w internecie, pragnąc wygrzebać wszystko, co się tylko da, o moim niedoszłym kliencie. Spytałem, czy sądzi, że Mucha uwiecznia swoje wyczyny w sieci. Popatrzył jak na idiotę i wyjaśnił:

– Urzędy, bracie, banki, służba zdrowia, sądy. Nawet nie wiesz, w ilu bazach danych są twoje namiary. Szkoda, że policja jest jeszcze słabo skomputeryzowana, ale jeśli się wie, gdzie szukać...

– To bezpieczne? – Przypomniały mi się mgliste wiadomości na temat piractwa sieciowego. – Nie zorientują się?

– Internet, bracie, przypomina ulice miasta: w znanej sobie okolicy jesteś bezpieczny, a gdy wchodzisz do szemranej dzielnicy, musisz to robić o właściwej porze albo mieć ochronę. Możesz także udawać swojaka... – Zatkał nos, popatrzył na moje śmierdzące wynalazki i skrzywił się. – Pospiesz się, bo sąsiedzi wezwą Straż Miejską.

Stary dredziarz pomógł mi zanieść wszystko do samochodu. Omówiliśmy jeszcze ostatnie szczegóły i pojechałem do Halinowa. Otworzyłem wszystkie okna w swojej konserwie – powietrze tak zgęstniało od oparów moich produktów, że bałem się zapalić papierosa, żeby przypadkiem nie spowodować wybuchu.

Zostawiłem malucha tam, gdzie poprzednio. Objuczony jak muł – musiałem przypominać nurka śmietnikowego po szczególnie owocnej wizycie na wysypisku – starając się nie rzucać w oczy, dotarłem do opuszczonej rudery. Było jeszcze dość wcześnie, poranna rosa zmoczyła mi spodnie do kolan, gdy sforsowałem ogrodzenie i zacząłem przedzierać się przez zarośla. Nie zauważywszy żadnych, poza moimi wczorajszymi, śladów czyjejś obecności, obszedłem dom i wyszukałem

dziurę w parkanie z przodu posiadłości. Załatana była pordzewiałą drucianą siatką. Killkoma szarpnięciami uniosłem ją na tyle, by móc bez trudu przecisnąć się pod spodem. Przygotowawszy sobie to wygodne wyjście, ukryłem wonne bagaże w krzakach, wróciłem i wdrapałem się na poddasze.

Teraz zaczęło się czekanie. Znalazłem jakieś skrzynki, przytaszczyłem je do otworu w dachu i usiadłem, machnąwszy ręką na kilogramy kurzu lepiące się do ubrania. Wytarłem trochę ręce, wyjąłem z plecaka kawał czerstwego chleba i kilka ogórków kiszonych – tylko tyle Jacek miał rano w lodówce – i zjadłem coś w rodzaju śniadania. Czas włókł się jak grypa żołądkowa. Posesja Muchy wyglądała na wymarłą, nie miałem pojęcia, o której wstają domownicy ani nawet czy ktoś jest w środku. Trwałem jednak na posterunku. Koło siódmej czarne bydlę wybiegło na dwór, zrobiło, co trzeba, i gdzieś się schowało przed porannym słońcem. Przez kolejne trzy godziny nic się nie działo, zacząłem kołysać się na swoich skrzyniach i ziewać, powieki przymykały mi się niczym ołowiane kurtyny. Odpływałem...

Zbudził mnie daleki warkot silnika i jakieś pokrzykiwania. Niepewny, czy odgłosy mi się nie przyśniły, wyjrzałem przez dziurę w dachu. Zauważyłem, że jedno z okien na piętrze jest szeroko otwarte, ale nie wiedziałem, kto i kiedy to zrobił. Nagle, dosłownie w ciągu minuty, stało się to, na co czekałem. Wydało mi się, że słysząc podniesione głosy, a z zasłoniętego przez dom garażu wyjechały dwa czarne samochody i stanęły na podjeździe. Brama już się otwierała, gdy pojawił się Mucha z paroma ludźmi. Trzasnęły drzwiczki i z piskiem opon bryki wypadły na drogę.

Zwlekałem jeszcze z rozpoczęciem akcji. Nie sądziłem wprawdzie, by Muniak mógł zostawić mleko na gazie lub zapomnieć kanapek do pracy, ale czułem się pewniej ze świadomością, iż cholerny bandzior z każdą upływającą minutą coraz bardziej oddala się ode mnie.

Przygotowałem plecak, sięgnąłem po telefon i wywołałem jeden z wpisanych wcześniej numerów.

– Telewizja... – padła nazwa komercyjnej stacji.

– Mam informacje o wypadku u pewnej bardzo znanej osoby. Z kim mógłbym rozmawiać?

– Przełączam... – Słuchałem przez chwilę dźwięcznej melodyjki. – Redakcja miejska, w czym mogę pomóc?

– Ile dostanę za wiadomość... – Rzuciłem kilka sensacyjnie brzmiących szczegółów.

– Z zasady nie płacimy za informacje... – padło z wyraźną rezerwą, mającą przystopować ewentualnych szajbusów i naciągaczy.

Mimo to redaktorka zawoła jakiegoś Wiktora i kazała montować ekipę. Rozmawiała jednocześnie ze mną. – Jeśli jednak pana wiadomość się potwierdzi... To weź Waldka! Przepraszam, to nie do pana. Jak mówiłam, robimy wyjątki, ale to musi być absolutna sensacja!

– Czy rozróżba w domu znanego gangstera powiązanego z politykami, mafią paliwową, wyciekaniem funduszy ze środków Unii Europejskiej, nielegalnym finansowaniem partii...

– Moment, o kim mowa?! – Całe szczęście, że mi przerwała, w zapale gotów byłem obarczyć Muńka winą za katastrofy statków w Trójkącie Bermudzki i epidemię ptasiej grypy.

– Jaka... nagroda za informację wchodzi w grę?

– Nie mogę omawiać przez telefon takich spraw, ale jeśli dostaniemy wyłączność, a materiał będzie naprawdę dobry...

Nie musiała długo mnie przekonywać. Szybko uzgodniliśmy całkiem sensowną kwotę porównywalną z sumą, którą otrzymałem od Muchy. Miałem się po nią zgłosić osobiście do siedziby stacji, czego, rzecz jasna, nie zamierzałem nigdy zrobić.

Zadzwoiłem jeszcze w kilka podobnych miejsc. Za każdym razem szło mi lepiej, szczególnie gdy wspominałem, że konkurencja chciała mi dobrze zapłacić, żebym tylko nie puszczał swoich rewelacji dalej... ale uważam za swój obywatelski obowiązek powiadomić... społeczeństwo ma prawo wiedzieć...

Odczekałem jeszcze trochę, by dać mediom więcej czasu. Włączyłem malutkie radyjko na baterię, ustawiłem szumy i trzaski, podkręciłem dźwięk do maksimum i ponownie sięgnąłem po telefon.



– Ratunku! Pali się! – wrzasnąłem, nie dając dojść do głosu osobie po drugiej stronie, równocześnie to zbliżałem, to oddalałem aparat do głośnika.

– Proszę podać adres, nazwisko i numer telefonu!

– Ratujcie dzieci! – jęczałem nieprzytomnie w akompaniamencie dźwięków radia doskonale imitujących odgłosy pożaru. – Nie mogę się do nich dostać!

– Proszę się uspokoić! Jaki to adres?

– No mój... mój...

– Adres i numer telefonu – głos złagodniał, próbując mnie uspokoić. – Niech pan się opanuje i poda nam adres. Przyjedziemy natychmiast.

Jakając się, wybełkotałem adres Muchy i wyłączyłem telefon. Jak się spodziewałem, zadzwonił po kilkunastu sekundach.

– Czy to pan wzywał straż pożarną?

– Ja! O Boże, muszę ich ratować!

Upuściłem aparat na podłogę, ale z niezbyt wysoka, żeby przypadkiem nic mu się nie stało, i znów go wyłączyłem. Wyjąłem kartę i – zgodnie z zaleceniami Artura – przełamałem na pół, całkowicie likwidując możliwość identyfikacji numeru.

Założyłem cienkie ogrodnicze rękawiczki. Złazłem na dół, dotarłem w pobliże dziury, którą wcześniej zrobiłem w ogrodzeniu, i sprawdziłem, czy okolica jest czysta. Przy wąskiej piaszczystej drodze na tyłach posesji Muńka stała tylko rudera, toteż czułem się dość bezpiecznie. W miejscu, gdzie – jak pamiętałem – ułożono pod murem stos drewna do kominka, przerzuciłem na drugą stronę pięciolitrowy słój z benzyną. Rozbił się z trzaskiem. Za nim poleciały plastikowe siatki wypchane szmatami nasączonymi farbą olejną, lepikiem do papy, terpentyną, wodą po goleniu i lakierem bezbarwnym – taka mieszanka może i nie pali się wyjątkowo, jednak byłem pewien, że dymi niczym parowóz. Wziąłem pudełko zapalek, wysunąłem kolorowe łebki i podpaliłem. Nie czekając, aż dobrze się rozhajcują, cisnąłem pochodnię za mur. Zetknięcie benzyny z ogniem zabrzmiało jak wybuch petardy. Niemal natychmiast pojawiły się kłęby czarnego dymu w akompaniamencie coraz

głośniejszych trzasków płomieni. Przytknąłem zapalniczkę do grubych knotów wystających z dwóch zielonych puszek, przypominających wielkie wojskowe konserwy. Rzuciłem jedną pod ścianę domu, drugą zamachnąłem się mocno, celując w otwarte okno. Nie czekając na efekt, zwałem do swojej kryjówki. Wydawało mi się, że słyszę daleki odgłos strażackiej syreny.

Ledwie wyrząłem przez otwór w dachu, gdy z towarzyszeniem przenikliwego wycia przed bramę zajechały dwie jednostki straży. Tymczasem gęste tumany szarego dymu zaczęły wylewać się z otwartego okna i skądś od frontu budynku, jakby w środku, jakimś cudem znalazła się stara lokomotywa, którą szalony właściciel uruchomił dla zabawy. Dym z drugiej świecy mieszał się z potwornie cuchnącymi, czarnymi jak smoła wydzielinami pożeranych przez ogień chemikaliów i nasączonych nimi szmat. Całość robiła imponujące wrażenie pożaru w pełnym rozkwicie. Pandemonium, które rozpętałem, mogło napawać dumą, gdyby tylko okoliczności temu sprzyjały.

Strażacy błyskawicznie udowodnili, iż są ludźmi czynu. Kilku podbiegło do bramy i szarpnęło ją mocno – oczywiście nie ustąpiła, więc odsunęli się na bok i machnęli rękami w stronę wyjących ciągle wozów. Pierwszy kierowca zakreślił ostro w stronę przeszkody, jakby jej w ogóle nie zauważył i rąbnął zderzakiem. Rumor padającej żelaznej zapory zginął w ogólnym hałasie. Przez brudną mgłę niewiele już było widać. Z głośnym szumem w stronę posesji wystrzeliły strumienie wody z działek, niewyraźne sylwetki w aparatach tlenowych ruszyły do przodu, znikając mi z oczu. Nie miałem pojęcia, czy ktoś był w domu, ale niewiele mnie to obchodziło. Uznałem, że pora zwiewać, tyle że do pełni satysfakcji brakowało mi jeszcze obecności mediów. Lepiej, żeby pojawili się jak najszybciej, bo później nie będzie tak pięknych efektów, co może osłabić siłę przekazu. Nie czekałem długo. Kiedy w ślad za policyjnymi radiowozami na sygnale nadjechał pierwszy wóz telewizyjny, chwyciłem pusty plecak i oddaliłem się z miejsca przestępstwa.

\*\*\*

Opowiedziałem Jackowi szczegółowo o swoich pirotechnicznych sukcesach. Miał jednak telewizor – mały przenośny odbiornik stał teraz na parapecie, nastawiony na kanał informacyjny. Fonia była wyłączona. Zapadłem się w fotelu i powoli sączyłem zimne piwo. Nigdy nie miałem stalowych nerwów, a ostatnie wyczyny były tak przeciwne mojej naturze, iż z trudem uświadamiałem sobie ich realność. To musi być sen albo jakaś monstrualna podpucha. Za moment otworzą się drzwi, wpadnie Dorota z resztą uczestników rozróbny i wszyscy krzykną: Mamy cię!!!

Niestety, ten piękny obraz psuła nieco świadomość, że Jola chyba tak bardzo by się nie poświęciła. Może dostała znieczulenie? Albo lubi...

– Ej, obudź się! – Jacek obcesowo przerwał te czarowne rojenia. – Wiem już o twoim wielbielcu coś niecoś. Razem z twoimi wiadomościami daje nam to już niezłe pojęcie o gościu.

– Ja wiem tylko, że lubi sączyć napoleona przy dźwiękach marsza pogrzebowego. – Niechętnie powracałem do brutalnej rzeczywistości. – No i co, mocny jest?

– Dla ciebie, owszem. Ale po kolei. – Sięgnął po jakieś wydruki. – Kolesz po zawodowce. Ojciec, dawny prywaciarz, miał więc kasę. Synek lubił samochody, dziewczyny, balangi i ciemne interesy. Stary miał dojszcia na milicji albo ostro smarował, bo małaolat rozrabiał coraz bardziej, a nawet ze szkoły nie wyleciał. Próbował narkotyków...

– To wszystko jest w internecie? Balangi, dziewczyny...

– Zgłupiałeś? – Popukał się w czoło. – Podaję ci konkluzje. Szczeniak dostaje prawko i po dwóch tygodniach już mandacik za jazdę w stanie wskazującym na spożycie. Wtedy były inne czasy, nie zabierali od razu prawka, a o kasę nie musiał się martwić. Potem co chwilę coś nowego: zatrzymany za udział w bójce, zamieszany w gwałt na nieletniej, jednak oskarżenie wycofane. Wezwaniami na milicję i mandatami mógł sobie ściany tapetować. Wyliczać dalej?

– Czekał. Te mandaty, jakim cudem do nich dotarłeś? Wtedy milicja nie miała komputerów.

– Twój adorator jest w kręgu zainteresowania tak zwanego wymiaru

sprawiedliwości. Pogrzebali w archiwach, popytali dawnych sąsiadów i odtworzyli dość szczegółowo jego życiorys.

– Dobra, rozumiem. Dawaj te konkluzje.

– Gdy zmieniał się ustrój, gość akurat siedział w pudełku. Cztery lata za ciężkie uszkodzenie ciała. Ktoś w knajpie zwrócił mu uwagę, żeby nie napastował jego dziewczyny, i w rezultacie został inwalidą – coś nam to mówi o charakterze Muchy. Pod celą poznał paru ciekawych ludzi, którzy mieli pomysły i kontakty, ale brak im było szmalu i talentu organizacyjnego. On miał jedno i drugie. Forsa po ojcu, talent do interesów pewnie też. Jak wyszedł, w kraju panował pluralizm, czyli ogólny bajzel, przepisy zmieniały się co tydzień, kolejne rządy bardziej zajmowały się rozgrywkami politycznymi niż gospodarką, można było nieźle lawirować w warunkach ustroju, którego nikt nie umiał nawet nazwać, a co dopiero kontrolować.

– No, tu akurat niewiele się zmieniło – wtrąciłem odkrywczco. – Rozumiem, że Mucha ma coś wspólnego z politykami?

– Każdy, kto ma duży szmal, zawdzięcza coś politykom... przynajmniej pośrednio, przez burdel, jaki nam fundują. Ale raczej nie, nie ten kaliber. W każdym razie Mucha... A, właśnie! Wiesz, skąd taka ksywka?

– Kurna, ja nic o nim nie wiem! Skąd mam znać jego przezwiska? Pewnie ubija ludzi jak muchy.

– Słuchaj, pytanie retoryczne polega na tym, że zadający nie oczekuje...

– Dżek, nie pajacuj!

– Ponoć własnoręcznie powiesił kolesia, który chował do kieszeni część jego działki z narkotyków. Chwalił się potem, że zawiązał mu muchę, tylko ciut za ciasno.

– Jacek włożył kilka kartek do małej niszczarki i poczekał, aż zeżarła je z cichym warkotem. – Pod koniec lat osiemdziesiątych Muniak staje się praworządnym obywatelem, czyli otwiera kilka drobnych interesów typu: kwaciarnia, mały pub oraz sklepik z akcesoriami erotycznymi. Żadnych zatargów z prawem, podatki płaci w terminie, wszystko elegancko księgowane w biurze rachunkowym. Tyle że obroty jego małych firemek są wprost niebotyczne.

- Pralnia?
- Owszem, do kasy wpływa brudny szmal, a wychodzi czyściutki, jak polityk po lustracji.
- I co, skarbowka nie wnikała?
- Urzędy skarbowe są zavalone sprawami, w których przekręty łatwo udowodnić, a on ma na wszystko papiery.
- Dobra, a wiadomo chociaż, czym naprawdę się zajmuje?
- Zatrudnia oficjalnie kilku młodych ludzi. Jego ogrodnik służył w Legii Cudzoziemskiej, palacz to były bokser wyrzucony z kadry za, jak to oficjalnie ujęto, zachowanie niegodne sportowca. Barmana z jego pubu raczej trudno spotkać za barem, siedział za rozbój, a sklep i kwiaciarnię prowadzą koleśki poprzednio nigdzie niezatrudnieni, których kartoteki są bardziej zapaskudzone od publicznych szaletów.
- Całkiem sprytnie.
- Nie przesadzajmy. Śmierdzi to wszystko, że czuć w kosmosie, ale formalnie trudno się przyczepić.
- Czyli mafioso?
- Raczej szef grupy przestępczej. Określenie mafioso pasuje do gości grubszego kalibru, jest u nas paru takich.
- Ziomal?
- Tak, i kilku innych. Ale Muchę interesuje właśnie Ziomal, bo trzyma w łapie lwią część biznesu. Prochy, wymuszenia, haracze, przemyt. Akcja, której finału byłeś świadkiem, miała właśnie na celu likwidację Ziomała. Twój przyjemniaczek wyszedł ze słusznego zresztą założenia, iż gdy zabraknie szefa, będzie mu łatwo przejąć interes. Tyle że skopsał sprawę, a teraz Ziomal obstawił się lepiej niż prezydent i za wszelką cenę chce dopaść zasańca, który ośmielił się... - Jacek rzucił okiem na telewizor i podkręcił fonię. - Czekaaj, posłuchamy wiadomości.

Prezenterka czytała informacje z czarującym uśmiechem, który szczególnie przystawał do ich treści. Słuchałem w napięciu, czekając na relację z Halinowa. W kraju i na świecie działo się oczywiście wiele ważniejszych rzeczy. Dowiedziałem się, że komisja parlamentarna

postanowiła powołać nowego świadka, którego zeznania będą przełomem w toczącym się śledztwie i wstrząsą naszą sceną polityczną. Następnie przyswoiłem fakt ujawnienia kolejnych całkowicie świadomych i niezwykle tajnych współpracowników służby bezpieczeństwa oraz stanowisko różnych partii politycznych w tej sprawie. Nie przejąłem się jakoś, choć może powinienem, plagą kleszczy szykujących się do przetrzebienia naszego społeczeństwa za sprawą zarazy o wdzięcznej nazwie borelioza. Przyjąłem jeszcze do wiadomości, kogo porwano i kogo uwolniono na świecie. Następnie na ekranie pojawił się widok pożaru. Wozy strażackie filmowane w różnych ujęciach sprawiały wrażenie, że w akcji bierze udział kilkanaście jednostek. W zmienianych chaotycznie kadrach strażacy uwijali się, jakby mieli do ugaszenia całą dzielnicę. Kłęby dymu spowijały jakąś sporą posiadłość, ale nie dostrzegłem żadnych spowodowanych ogniem zniszczeń. Obraz telewizyjny przyprawiony sensacyjnym komentarzem na tyle wypaczył przebieg wydarzeń, iż fakt oglądania własnych piromańskich dokonań dotarł do mnie dopiero, gdy pokazano zdjęcia dwóch lekko osmalonych z wierzchu, zielonych puszek. Na ekran wróciła czarująca prezenterka i wibrującym uwodzicielsko głosem wyjaśniła:

– Jak dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, uważa się, iż zajście było próbą zastraszenia dobrze znanego policji Konrada Z., podejrzanego o kierowanie grupą przestępczą zajmującą się kradzieżą samochodów i handlem narkotykami. Konrad Z., znany w środowisku przestępczym jako Mucha, przypuszczalnie zlecił lub sam dokonał kilku zabójstw. Obecnie trwają czynności dochodzeniowe, zmierzające do ustalenia zakresu działalności i powiązań Konrada Z., co może rzucić światło na przyczyny dzisiejszych wydarzeń. Więcej szczegółów w wiadomościach o...

Jacek wyłączył odbiornik i popatrzył na mnie z namysłem.

– Twój kretyński pomysł był tak głupi, że musiał się udać. Nikt normalny nie domyśli się, kto naprawdę za tym stoi.

– Ale to mało, nie sądzisz?

– Na początek idealnie! Poszedł fetor i bryzgnęło, jakby ktoś nasrał do sokowirówki. Muniak jest na widelcu, wszyscy już wiedzą, że gliny się nim zajmują. Tylko trzeba dalej dociskać śrubę, aż jego ludzie stracą zaufanie do szefa i zaczną w końcu podejrzewać, że nie jest w stanie ich ochronić. W tym światku lojalność ma swoje granice.

– Co dalej?

– Dalej realizujemy twój plan, tak długo, aż nikt z branży nie będzie chciał mieć z nim do czynienia. Bardzo możliwe, że Mucha wydał zlecenie na ciebie i twoją rodzinę, ale smród wokół jego osoby sprawi, że pies z kulawą nogą się tym nie zajmie. Wszyscy będą udawać, że w życiu o takim gościu nie słyszeli. Kiedy życzliwie poinformujesz Ziomala, kto wysłał do piachu jego syna, policji pozostanie posprzątać pobojoowisko.

– Dobra. Tylko nie wchodź w to za głęboko, w końcu szykuje się parę przestępstw do popełnienia.

– Spoko, Poldek! Coś mi mówi, że gliny nie będą zbyt węszyć, gdy to wszystko się skończy. Przypiszą sobie zasługi, a fakt, że maczał w tym palce jakiś popierdzielony amator, pozostanie tajemnicą znaną jedynie zainteresowanym. Najbardziej zainteresowanych nie będzie już pewnie wśród żywych...

Po ostatnich słowach moj kumpla poczułem leciuteńkie tchnienie chłodu na plecach, ale niezbyt wyraźne. Podświadomie traktowałem całą historię jak oglądany w kinie film, którego akcja nie dotyczy mnie osobiście. Jakoś nie mieściło się w głowie, że mogę być – choćby pośrednio – szafarzem życia obcych mi zupełnie ludzi.

Przedyskutowaliśmy jeszcze najbliższe plany, potem znów zapadłem w rodzaj drzemki, podczas której wyobrażenia mieszają się z rzeczywistością. Ocknąłem się, gdy Jacek rzucił we mnie plikiem gazet.

– Nie kimaj, masz robotę!

Ochlapałem twarz zimną wodą, wyszedłem z domu i objechałem kilka kwaciarni oferujących interesujące mnie usługi. Wszędzie zamawiałem wieńce pogrzebowe z szarfami, na których kazałem napisać kondolencje od różnych person z półświatka – ich pseudonimy ściągnęliśmy z internetu. Płaciłem gotówką i prosiłem o dostarczenie pod wiadomy

adres w Halinowie. Następnie odwiedziłem parę zakładów pogrzebowych. Kupowałem w nich najtańsze trumny bez żadnych bajerów mających zapewnić komfort przyszłym użytkownikom. Żądałem od nieco zaskoczonych sprzedawców zawiezienia ponurych mebelków, rzecz jasna za dodatkową opłatą, do Halinowa. Koniecznie karawanem! – taka rzecz musi być traktowana dostojnie i z należyтым szacunkiem. Nie robili szczególnych trudności, widać gospodarka rynkowa ma swoje plusy – płacisz i masz.

Zauważyłem, iż w pakiecie usług tych przedsiębiorstw, oprócz ekspedycji „klienta” w ostatnią podróż, jest także umieszczanie w prasie nekrologów. Uznałem, że nazwisko Muńka będzie się doskonale prezentować w czarnych ramkach. W niektórych zakładach żądali świadectwa zgonu, na szczęście łatwo godzili się z faktem, iż w tych smutnych okolicznościach mogłem zapomnieć o dokumentach, zwłaszcza że swą prawdomówność popierałem plikiem szeleszczących argumentów. Podałem dane Muchy i zapłaciłem za stosowny anon. Potem kupiłem w kiosku kilka pisemek erotycznych z ogłoszeniami.

Tymczasem mój kompan zajął się korespondencją. Było z tym sporo roboty, gdyż pragnęliśmy nękać Muchę na wszystkie możliwe sposoby, a donosy wydawały się skutecznym środkiem zaczepnym. Jacek, korzystając ze zdobytych wcześniej informacji, lepił z faktów i domysłów zgrabne historyjki mające zainteresować odpowiednich ludzi w odpowiednich instytucjach. Te sensacyjne kawałki aż roily się od oszczerczych konfabulacji i niczym niepopartych kalumnii, ale groźba pozwania do sądu przez urażonego mafiosa jakoś dziwnie nie spędzała nam snu z powiek.

Na pierwszy ogień poszedł urząd skarbowy. Kilka pism, między innymi do naczelnika, informowało o nieprawidłowościach w naliczaniu podatku VAT przy fakturowaniu nabywanych przez Muchę towarów dla jego sklepu i pubu. Pisma te sugerowały także, iż kontrola natychmiast wykaże nieprawidłowości, ponieważ większość rzeczy właściciel kupuje i sprzedaje bez rachunków. Oczywiście urząd mógł nie zadziałać tak szybko, jakbym sobie tego życzył, ale mój kumpel



stwierdził, że ma na to radę. Wykona kilka telefonów do różnych wydziałów, podając się za prokuratora, posła, a nawet kogoś z gabinetu premiera – nie ma siły, paru urzędników poczuje nagły przypływ energii i szlachetnej chęci uziemienia aferzysty.

Dalej zamierzaliśmy nasłać na Munka Centralne Biuro Antykorupcyjne, sanepid oraz inspekcję pracy, motywując ich do działania kolejnymi telefonami od „wysoko postawionych osób” pytających, dlaczego media wiedzą więcej niż wyspecjalizowane służby. Uznałiśmy, iż nie zaszkodzi donos na policję i do prokuratury, informujący, że w domu naszego ulubieńca znajduje się sporo przedmiotów pochodzących z kradzieży, w tym dzieła sztuki, które znikły z prywatnych kolekcji. W celu zmobilizowania władzy Jacek zaproponował wzmiankę o zainteresowaniu prasy i telewizji, jeśli nadal organa ścigania będą tak opieszale reagować na sygnały zaniepokojonych obywateli. Równocześnie zamierzaliśmy podsunąć mediom kilka interesujących kąsków.

Gdy wróciłem, zastałem kumpla pogrążonego w pracy, obok na biurku leżały zaadresowane koperty z korespondencją od „życzliwych”. Sięgnąłem po telefon i obdzwoniłem agencje towarzyskie anonsujące się w nabytych właśnie świerszczykach. Rozmowy przebiegały bardzo podobnie – wszędzie byłem traktowany z niezwykłą uprzejmością oraz wręcz zawstydzającą inne branże usługowe chęcią sprostania fanaberiom klienta.

– Ibiza Paradise... – nazwa przybytku wydała mi się nieco egzotyczna, jednak zmysłowy głos rozwiewał obawy, iż omyłkowo dodzwoniłem się do agencji turystycznej. – W czym możemy pomóc?

– Chciałbym zamówić usłu... przepraszam, towarzystwo kilku pań. I panów...

– Miło nam, chętnie służymy. Czy ma pan jakieś szczególne życzenia?

– Jakby to... Urządzamy jutro z przyjaciółmi imprezę... w typowo męskim gronie.

– Rozumiem, pragną państwo urozmaicenia?

– No właśnie.

– Taniec? Masaż?

– No... nie tylko. Ale... czy możemy liczyć na dyskrecję? Jesteśmy... kilku z nas zajmuje eksponowane stanowiska. Cena nie stanowi problemu. Zależy nam na pełnej obsłudze...

Dalszy ciąg rozmowy sprowadzał się zwykle do sugerowania w mniej lub bardziej zawołowany sposób, jakich usług mogą spodziewać się spragnieni rozkoszy klienci. Odnosiłem wrażenie, iż pomysłowość tych dostarczycieli upojnych przeżyć jest wprost niewyczerpana. Potok odurzających propozycji wszczał mi się do ucha, jakby rozmówcy sądzili, iż właśnie wygrałem majątek na loterii, dowiedziawszy się równocześnie, że mam raka, toteż zamierzam na resztę życia pograć się w rozpuście. Momentami nie miałem pojęcia, co kryją w sobie niektóre określenia, ale tym skwapliwiej godziłem się na sugerowane uciechy. Uprzedzano mnie zwykle, że panie przybędą z opiekunami i zapłatę należy uiścić z góry. Przyjmowałem to bez protestów, obiecując wysokie napiwki dla dziewcząt i... chłopców – nie widziałem powodu, by Mucha nie miał gustować w mieszanym towarzystwie. Zamówiłem też parę numerów „ekstra” z ogłoszeń prywatnych. Czego tam nie było... Spociłem się cały, gdy uprzejmi rozmówcy ciągnęli mnie za język, starając się wybadać preferencje nadzianego klienta. Zwłaszcza interesowało ich, czy jestem sadoczy może maso-... coś tam. Czy życzę sobie zostać wychłostany dla spotęgowania rozkoszy? Pomysł wydał mi się niezły, przystałem więc na niego ochoczo. Wszędzie podawałem adres w Halinowie.

W tym właśnie momencie zacząłem mieć wątpliwości – wszystko, co robiliśmy, trąciło tanią farsą, było jakieś wyjątkowo niepoważne w zestawieniu ze stawką w tej grze. Czy Muniak przestraszy się takich szczeniackich zagrywek? Głośno dałem wyraz swemu zniechęceniu. Jacek oderwał się na chwilę od komputera i pokiwał z politowaniem głową.

– Wiesz, co to jest efekt synergii?

– Coś tam...

– Acha, więc nie wiesz. Jeśli traktować rozgrywkę między tobą a

Muchą jak grę, jest to, właśnie ze względu na efekt synergii, gra o sumie niezerowej, której istotą jest możliwość wygrania przez jednego z uczestników więcej, niż drugi straci, lub też przegrania więcej, niż drugi zyska...

– Jacek, skończ z pseudonaukowym bełkotem! Efekt synergii... to nawet ładnie brzmi, ale ja chcę załatwić gnoja, a nie toczyć eleganckie, intelektualne rozgrywki.

– Załatwisz go właśnie dzięki zjawisku synergii, które pozwala osiągać efekty znacznie większe, niżby wynikało z zaangażowanych środków. Dzieje się tak dlatego, że łączna moc oddziaływania wielu czynników zastosowanych jednocześnie jest znacznie potężniejsza, niż wynika to z prostego sumowania ich wpływu na danego odbiorcę, gdyby były dawkowane pojedynczo. Po prostu efekty działań podejmowanych równocześnie wzmacniają się wzajemnie. – Stary dredziarz przyjrzał mi się badawczo i wyciągnął właściwe wnioski z mojego wyrazu twarzy, bo zaczął nadawać prostszym językiem: – Inaczej mówiąc, Mucha nie przejmie się jednym głupim donosem czy fajansiarskim kawałem, ale kiedy zwali mu się na głowę cała lawina, będzie najpierw wściekły, potem zaniepokojony. Jego ludzie zaczną kryć się po kątach, bo nie będą wiedzieć, czy właśnie do drzwi dzwoni policja, czy dziwka z agencji. Muniak zacznie się miotać: tu kontrola w pubie, jednocześnie zamieszanie w domu, gliny wypytujące sąsiadów... i tak dalej. Nieustannie jest pod lupą, wali od niego jak małpie spod pachy, w środowisku rozchodzi się fama, że jest trefny, zatem lepiej z nim nie kombinować.

– Trędowaty?

– A co? Będą go omijać kilometrowym łukiem. Tylko nie można odpuścić nawet na sekundę. Przyjdzie ci coś do głowy – nieważne: mądre czy głupie, byle dokuczliwe – robimy to!

– Właśnie mi coś przyszło... Możesz ściągnąć z internetu wzór klepsydry?

Jacek popatrzył na mnie dziwnie, ujrzałem błysk w jego oku.

– Ile tego chcesz?

– Kilka... nie pięćdziesiąt! I porób trochę zaproszeń na darmową stypę.  
– Jedź na pocztę – wskazał głową stosik korespondencji. Potem zachichotał. – Zaproszenia na stypę... No, koleś przynajmniej przekona się, czy był lubiany.

Szybko coś przegryzłem i pojechałem nadać naszą korespondencję z władzami. Wszystko poleconym i priorytetem.

Nie miałem okazji wypaść się dobrze tej nocy. Rozklejanie pięknych produkcji Jacka zacząłem po zmroku i zajęło mi to ładnych parę godzin. Staralem się wybierać miejsca uczęszczane przez sąsiadów Muchy: tablicę przed kościołem, przystanki, okolice sklepów. Pragnąłem, aby wieści szybko się rozeszły. Jacek nie omieszkiał nadmienić w zaproszeniach, iż wolą zmarłego było ugoszczenie wszystkich mieszkańców jego miasteczka, którzy tylko zaszczycą swą obecnością uroczystość. Chciał pozostać w ich wdzięcznej pamięci.

Kryształowało nam się jeszcze kilka pomysłów, te jednak wymagały pewnych przygotowań, dlatego zamierzałem zająć się tym nazajutrz.

Z samego rana, ledwie wstałem, dzwoniłem dalej, tym razem do zakładów pogrzebowych. Łamiącym się z rozpaczny głosem powiadałem o śmierci kogoś bliskiego i prosiłem o przyjazd. Koszty... tak, rozumiem... oczywiście, akt zgonu jest... tak, proszę zająć się resztą... Jakoś wcale nie miałem wyrzutów sumienia, narażając ich na drobne straty związane z nieuzasadnionym wezwaniem. Oni chwytają się wszelkich środków, by zdobyć klientów, wrywają sobie nawzajem nieboszczyków jak sępy i naciągają bezczelnie zrozpaczone rodziny, wiedząc, że smutne okoliczności raczej nie skłaniają do targowania się. Nie zbankrutują, gdy jakieś zwłoki okażą się żywe... Żywe i cokolwiek niezadowolone z nagłego zainteresowania przedstawicieli posępnej profesji.

Następnie uznałem, że byłoby szkoda, gdyby wszyscy dzisiejsi goście Muchy nie mieli widowni. Pani redaktor z telewizji bez trudu przypomniała sobie mój głos, nie wątpiła więc, że warto pofatygować się do Halinowa, nawet jeśli moje poprzednie informacje nie do końca odpowiadały prawdzie. W innych stacjach reagowano podobnie.

Wyjąłem kartę z telefonu, złamałem ją i wyrzuciłem do zsyphu.

Wziąłem nowy plik korespondencji przygotowany przez Jacka i pojechałem na pocztę, kontynuować donosicielską działalność. Nie zajęło to wiele czasu. Wyciągnąłem jeszcze z bankomatu trochę pieniędzy, które miały mi pozwolić brnąć dalej w bagno. Myśl, że Mucha sam finansuje skierowane przeciwko sobie działania, bardzo tłumiała mój wrodzony wstręt do szastania forszą.

Gdy szedłem do samochodu, przyszedł mi do głowy kolejny pomysł, oczywiście tak prostacki i szmirowaty, że poczułem się mocno zde gustowany własnym brakiem polotu. Nie stać mnie na nic więcej? Jednak z drugiej strony, jeśli Muniek mnie dopadnie, to nie będzie się bawił w żadne finezyjne zagrywki...

Pojechałem pod największy bazar Europy, czyli Stadion Dziesięciolecia. W związku z budową Stadionu Narodowego kupcy wynieśli się z korony, lecz setki bud z mydłem i powidłem prosperowało jeszcze w najlepsze na obrzeżach. Handel już się kończył i ekipy sprzątające przystępowały do pracy. Bez kłopotu znalazłem kilka pustych pudełek po butach. W sklepie papierniczym nabyłem trochę szarych płacht, taśmę klejącą i czarny flamaster. Następnie udałem się do Hali Mirowskiej. Kupiłem cztery kilo wątróbki wieprzowej i zacząłem szukać czegoś konkretniejszego, czegoś, co posiadałoby mocną i jednoznaczną wymowę zrozumiałą dla każdego bandziora. Długo nie mogłem znaleźć nic odpowiedniego i dopiero na ulicy, u jakiejś starowinki ze wsi, zobaczyłem właściwy towar. Całkiem tanio wszedłem w posiadanie dwóch kur z piórami, na szczęście już zabitych, które, jak zapewniała sprzedająca je babina, jeszcze rano biegały po podwórzu – wystarczy oskubać i wypatroszyć. Zamknąłem się w samochodzie, wziąłem do ręki szczyryk i chciałem przystąpić do wypruwania flaków, ale... jakoś nie mogłem. Zresztą zaraz pomyślałem, że krew i mokre wnętrzości mogą łatwo przesiąknąć przez tekturę, a prawdziwe kurze zwłoki z uciętymi głowami i tak zrobią odpowiednie wrażenie. Wpakowałem je do pudełek. Ledwie się mieściły, ale na szczęście obeszło się bez amputacji. Cztery kolejne przesyłki napelniłem śliską i

nico już zalatującą wątróbką. Owinąłem paczki szarym papierem oraz taśmą i zaadresowałem do Muchy. Nadawców wpisałem fikcyjnych, ale po namyśle dodałem pseudonimy, które wymyśliłem na poczekaniu. Oczywiście nic mu nie powiedzą, jednak zasieją niepokój, gdyż – rzecz jasna – nie mógł znać ksywek wszystkich mętów z konkurencji pragnących załatwić się w jego ogródku.

W hipermarkecie poszukałem sklepu zoologicznego. Widziałem tam kiedyś żywy pokarm dla egzotycznych gadów. Karaluchy były wielkie i obrzydliwie piękne, w sam raz dla moich celów. W dodatku to podobno niezwykle wytrzymałe bydlaki, toteż istniała spora szansa, iż przeżyją pobyt w pudełku, a po jego otwarciu rozbiegną się po całej chałupie. Paczkę z insektami zaadresowałem do Joli, w nadziei, że przerażona upuści mój prezent i pozwoli zwierzątkom zakosztować wolności.

Natychmiast pojechałem na pocztę i nadałem żywy towar przesyłką kurierską – miała dotrzeć jeszcze dzisiaj. Pozostałe prezenty poszły zwykłym trybem, ponieważ ich zawartość nie wykazywała funkcji życiowych, a jeśli trochę skruszeją, nabierając właściwego wszystkim zleżałym zwłokom bukietu, to i lepiej.

Z zaplanowanych na ten dzień działań nękających została mi jeszcze jedna rzecz do zrobienia, całkiem zresztą łatwa, dlatego zostawiłem ją na koniec. W pierwszym kiosku kupiłem gazetę z bezpłatnymi ogłoszeniami dotyczącymi kupna i sprzedaży mieszkań. Zadzwoiłem i podając się za właściciela, opisałem możliwie wiernie posiadłość Muńka, podałem także adres i numer zwykłego telefonu – był zastrzeżony, ale Jackowi dotarcie do niego nie zajęło nawet dziesięciu minut. Poprosiłem o umieszczenie uwagi, że sprzedaż jest bardzo pilna z powodu wyjazdu, a cena niezwykle atrakcyjna. Wiedziałem z doświadczenia nabytego przy zamianie własnej kawalerki na dwa pokoje, iż przez parę dni telefon Muchy będzie obłożony przez agencje obrotu nieruchomościami, zaś co prężniejsze natychmiast wyślą swoich przedstawicieli, by łapali okazję, nie tracąc czasu na telefoniczne pogaduszki. Podobnie postąpią prywatni klienci i różnego rodzaju amatorzy łatwych zysków. Zainteresowanie nabywcami posiadłości zostanie szybko dostrzeżone. Jacek nie omieszkał

umieścić w kilku donosicielskich listach informacji, że wspomniany w nich przestępca zamierza wystawić wszystkich do wiatru i cichaczem prysnąć z kraju, o czym świadczy chociażby chęć sprzedania domu – czy władze wykonawcze będą przyglądać się temu bezczynnie? Wysunął ponadto przypuszczenie, iż środki masowego przekazu na pewno nie zostawią tej sprawy odłogiem, gdy w przypadku dalszej bezczynności oficjalnych czynników, oburzeni obywatele poinformują je o zaistniałej sytuacji.

Wieczorem mogłem się przekonać, iż nasze skromne próby zburzenia, nieco dotychczas monotonnej, egzystencji Muńka odniosły nadspodziewany skutek. Niebagatelny był w tym udział mediów, które na żywo relacjonowały rozwój wypadków. Z rosnącym przerażeniem obserwowałem wynik naszych poczynań. Efekt synergii działał.

Jacek powiedział, że od południa zaczęły ukazywać się krótkie, ale coraz częstsze migawki prezentujące osobliwe zamieszanie wokół siedziby niejakiego Konrada Z., znanego w światku przestępczym jako Mucha. Już rano poczęli przybywać do zaskoczonego gospodarza goście, najwyraźniej, sądząc po jego reakcji, niespodziewani. Jako że przewrócona brama nie broniła wstępu na posesję, wszyscy zajeżdżali prosto przed dom. Najpierw pojawiło się kilka karawanów, których elegancko, acz nieco ponuro ubrane załogi na wieść, iż nie oczekują na nich żadne zwłoki, traciły natychmiast przyjęte w ich fachu dobre maniere i wyrażały rozczarowanie soczystymi wiązkami, doskonale słyszalnymi w tle audycji. Niemal równocześnie dotarły samochody pełne przedstawicielek zupełnie innej profesji. Towarzystwo im dobrze zbudowane młode byczki nie poprzestawały na słownym wyrażaniu zawodu na wieść o stracie honorarium za usługi. Młodzieńcy podjudzani przez mocno zawiedzione panienki, których słownictwa, w przeciwieństwie do strojów, nie można było nazwać skromnym, starali się perswazją popartą demonstracyjnym zaciskaniem pięści wyegzekwować zapłatę.

Mucha dostał szału. Ryknął w stronę domu, a sam rąbnął na odlew nagabującego go alfonsa, aż ten wylądował na ziemi kilka metrów dalej.

Ludzie Muńka wybiegli z chałupy i raz dwa zrobili porządek. Wystarczyło kilka ostrych kuksańców popartych szczekaniem czarnego bydłaka trzymanego z dużym wysiłkiem na smyczy. Nie na długo. Przez cały dzień reporterzy ukazywali w kolejnych wejściach dalszy ciąg niecodziennych wydarzeń. Muniek, sądząc pewnie, iż rozwiązał problem niezapowiedzianych wizyt, udał się wraz z obstawą w nieznanym kierunku, pozostawiając Jolę na straży dobytku. Rottweiler został zamknięty w komórce, zapewne, by nie wyskoczył rozwaloną przez strażaków bramą. Jednak wizyty przedstawicieli zakładów pogrzebowych oraz agencji towarzyskich wcale nie ustały, zostały jednak urozmaicone przez innych gości. Co jakiś czas przed dom podjeżdżały samochody z trumnami oraz wieńcami pogrzebowymi. Jako że Jola nie posiadała siły perswazji swojego mentora, opłacone przeze mnie gustowne mebelki zostawały na podwórzu. Kamerzysta z upodobaniem pokazywał kilka młodych dam, które przysiadły na trumnach, czekając, aż ich opiekunowie zakończą negocjacje z rozhisteryzowaną gospodynią. Nie wiadomo, czy coś im zapłaciła, ale w końcu wszyscy odjechali. Pozostały tylko ekipy telewizyjne, filmujące teraz podwórze, na którym stały lśniąca w słońcu przedmioty o smutnym przeznaczeniu. Nie czekały na darmo.

Okolo południa zaczęli przybywać odświętnie ubrani mieszkańcy miasta spragnieni darmowej stypy. Przystawali, wyraźnie zaszokowani widokiem takiej liczby opakowań dla nieboszczyków, niepewni, czy w rodzinie Muchy pozostał jeszcze ktokolwiek żywy, kto mógłby ich ugościć. Niektórzy kładli przyniesione kwiaty na trumnach obok zdobiących je już wieńców. W tym momencie przyjechał, wezwany przez swoją małżonkę, Muniek. Jacek mówił, że było na co popatrzeć...

Po jakiejś godzinie na podwórzu walały się już tylko lakierowane deski i resztki kwiatów, a goryle Muchy stali na drodze przed bramą i stanowczo zawracali ludzi pragnących uczcić pamięć ich pryncypała.

Na wieczór telewizja zapowiedziała specjalny program prezentujący aktualne wydarzenia, opinie policji i prokuratury na ich temat, a także wiadomości z dobrze poinformowanych źródeł na temat działalności



Konrada Z. w strukturach zorganizowanej przestępczości.

Mimo iż zajścia, których byliśmy inicjatorami, wyglądały na pozór groteskowo, relacja mojego kumpla była dla mnie niezłym wstrząsem. Nie spodziewałem się takiej rozróby medialnej. Sądziłem, że Mucha najwyżej nieco się wkurzy głupimi dowcipami i zamknie w chałupie, a jeśli w ogóle ktoś uwierzy w to zaproszenie na stypę, to zwyczajnie pocałuje kłamkę. Teraz jednak nie było odwrotu, popełniłem przecież kilka poważnych wykroczeń i jeśli cały plan nie wypali, nie dość, że wszystko pójdzie na marne, to i policja może mnie niezłe podsumować, gdyby trafiła na właściwy ślad. Tym niemniej zagrożenie ze strony władz wydawało mi się niezbyt realne, a perspektywa spędzenia pewnego czasu w spokojnym, cichym areszcie śledczym na Białoleśce w towarzystwie najzwyczajniejszych, pospolitych przestępców była wręcz kusząca. Co innego Mucha. Sam mu się podstawiałem. Póki co istniała spora szansa, że nie zorientował się, kto podkłada mu świnię, ale to tylko kwestia czasu. Musiałem załatwić go na amen, bo teraz dałem mu nowe powody, żeby mnie ścigać na koniec świata. Jakby poprzednich było mało.

\*\*\*

Kolejne dni upłynęły nam na niezwykle intensywnej działalności mającej doprowadzić drania na skraj załamania nerwowego. Osobiście wątpiłem, czy taki bandzior posiada jakieś uczucia wyższe, a co za tym idzie, na ile poważnie można naruszyć jego wrażliwość, ale mój kompan uważał, że każdy człowiek posiada swój próg odporności. Nie byłem tego pewien. Widziałem kiedyś program, w którym znany psycholog rozmawiał z przestępcami skazanymi za wielokrotne morderstwa. Zakładając z właściwą swojej profesji naiwnością, że nie istnieją ludzie absolutnie źli, próbował zajrzeć w ich mroczne dusze i znaleźć tam zakamarki kryjące szczątki sumienia. Czasem sprawiali nawet dobre wrażenie. Potrafili snuć refleksje na temat popełnionych czynów. Można było uwierzyć, iż dręczeni przez duchy ofiar chcieliby cofnąć czas, bo przekonali się, że wsiedli w pociąg donikąd. Ale nie wszyscy. Paru typów

pokazało prawdziwe oblicza i nie była to wyłącznie gra na użytek współwięźniów. Patrząc uważniej w ich błędzące po ścianach celi oczy, widziałem tylko pustkę... Nie taką sobie zwykłą pustkę, nieruchomą maskę, jaką widuje się na twarzy nieuleczalnie chorych czy nieszczęśliwców dotkniętych amnezją. Była tam głębia. Głębia bezdennej otchłani, w której nie widać niczego prócz mroku, ale która tym bardziej przeraża. Mówili o zbrodniach, jakie zamierzają jeszcze popełnić, bo tak im nakazują zasady ich świata. Ktoś nie spłacił długu, ktoś zakapował, kochanka zaszła w ciążę, gdy siedzieli za kratami. Tyle wystarczało. Tak po prostu. Żadnych ale, żadnych naturalnych, czysto ludzkich wątpliwości. Zrozumiałem wtedy, że zło nie potrzebuje uzasadnienia, ono czasem po prostu jest, bezcelowe, zapisane w genach jak kolor skóry czy skłonność do hazardu, a przez to budzące jeszcze większą grozę. Tych ludzi w najmniejszym stopniu nie obchodziły konsekwencje własnych czynów. Na pytanie, czy zastanawiają się czasem, co z nimi będzie, gdy pozbawią już życia tych, którzy coś im zawinili, odpowiadali szczerze, że jest im to absolutnie obojętne. Patrząc w czarne dziury napiętnowanych bliznami, wytatuowanych symbolami więziennej subkultury twarzy, czułem lęk. Oni by się nie przejęli prostackimi kawałami. Jeśliby któryś z tych gości rychtował mi trumnę, mógłbym tylko grzecznie się w niej ułożyć albo strzelić mu w łeb. O ile bym zdążył. No i gdybym umiał.

Zazdrościłem Jackowi jego pewności siebie. Jednak on stał trochę z boku, nie był przeznaczony na rzeź. A ja? Czy te amatorskie zagrywki mają w ogóle sens? W świecie, gdzie tylko własne życie ma jakąś wartość? Po co stawać do walki, której wynik jest z góry przesądzony? Cholera! Skąd nagle takie myśli – czyżby dopadał mnie syndrom ofiary?

Żyłem dziwnie oderwany od rzeczywistości. Praktycznie nie opuszczało mnie wrażenie nierealności, przebywania w jakimś innym równoległym wymiarze, w którym złośliwe siły igrają mym losem. Może już wariowałem, ale nieustannie byłem przygotowany na gwałtowne przebudzenie.

Tymczasem raz puszczone w ruch koło nie dawało się zatrzymać, efekt

synergii działań i to nie tylko na mojego prześladowcę. Media co jakiś czas donosiły o wzmożonym zainteresowaniu Konradem Z. przez różne urzędy powołane do kontroli obywateli, a także przez władze. Był to niewątpliwie wynik naszych donosów, spotęgowany dodatkowo upublicznieniem postaci mego wielbiciela.

Reporterzy i wolni strzelcy koczowali przed jego posiadłością spragnieni dalszych sensacji.

Miałem ich niebawem dostarczyć.

\*\*\*

Jacek podał mi adres lokalu, w którym Muniek prał forsę. Wsiadłem do malucha i ruszyłem zrealizować kolejny element swojego „planu”. Przejechałem pod pubem mojego prześladowcy, rozglądając się uważnie, ale nie zauważyłem niczego niepokojącego. Diabli wiedzą, co spodziewałem się dostrzec, obawiałem się jednak, że po ostatnich przekrętach Mucha będzie się miał na baczności i wzmoże ochronę.

Zaparkowałem kilka przecznic dalej. W kontenerze za sklepem spożywczym wyszukałem nieduże pudełko po słodyczach i schowałem je do samochodu. Na ulicznym stoisku obejrzałem budziki, jednak uznałem, że się nie nadają – wszystkie były na baterie i tykały zbyt cicho. Odpowiedni mechaniczny czasomierz znalazłem u zegarmistrza. Upewniłem się, że jest nakręcony do oporu, i przesunąłem małą blokadę, żeby przypadkiem nie zaczął dzwonić w najmniej odpowiednim momencie, całkowicie niwecząc efekty mych tajemniczych poczynań. Wsadziłem go do pudełka razem z kilogramem ziemniaków nabytych na pobliskim straganie, bo wydawało mi się, że mój najnowszy wynalazek powinien być dość ciężki. Całość zawinięta w kolorową reklamówkę tworzyła teraz zgrabny pakunek.

Widziałem już z daleka szyld i stoliki przed przybytkiem Muńka. Zawahałem się, lodowate macki strachu wsunęły mi się za kołnierz. Chyba go tam nie spotkam? Zresztą, jeśli nawet, przecież mnie nie skojarzy. Nie powinien... Cholera, a jeśli jakoś zdobyli moje zdjęcia? Ciągle nie wierzyłem w możliwość rozpoznania w ulicznym tłumie, ale

w knajpie mogą uważnie przyglądać się gościom, zwłaszcza jeśli to szemrany interes.

Widok mijanego zakładu fryzjerskiego podsunął mi oczywiste rozwiązanie.

Wróciłem szybko do samochodu, by schować pakunek – był zbyt charakterystyczny, łatwo go było zapamiętać – następnie udałem się do zakładu. Usiadłem na krześle i przyglądałem się, jak mały, korpulentny jegomość w białym fartuchu krząta się wokół nieco łysawego klienta. Spostrzegłszy niezbyt imponujące owłosienie gościa, uznałem, że czekanie nie potrwa długo, niestety zawiodłem się srodze. Fryzjer najwyraźniej uwielbiał swoją robotę i każdy ruch grzebieniem, każdą operację nożyczkami konsultował... ze mną. Zważywszy na mój nastrój i wydarzenia, w których mimowolnie dostałem rolę głównego aktora, zapasy cierpliwości miałem na wykończeniu. Szlag mnie trafiał, gdy mały artysta grzebienia co i rusz rzucał mi porozumiewawcze spojrzenia w lustrze.

– Widzi pan, tak będzie dobrze, zmienimy trochę kształt głowy...

Kiwnąłem, że owszem, może być, i sięgnąłem po jakiś leżący na stoliku kolorowy magazyn.

– A tutaj zostawimy więcej włosów – wskazał końcem nożyczek rzadkie kosmyki nad uszami. – Uzyskamy w ten sposób wyraz subtelnej powagi.

Rozejrzałem się mimowolnie, jakbym spodziewał się brać udział w skeczu z ukrytą kamerą. Jaja sobie robi?! Wyraz subtelnej powagi dzięki tym idiotycznym kędziorom podobnym do kępek szarego mchu na strusim jaju? Może celowo mnie zagaduje, aby dać czas bandytom... Moje nerwy, poddawane ostatnio zbyt ciężkim próbom, nie dawały już sobie rady z kolejnymi wyzwaniem. Nagły dźwięk telefonu tak mnie przeraził, że podskoczyłem, jakby w tyłek użądlił mnie szerszeń. Tłumiąc chęć rzucenia aparatem o ścianę, zbliżyłem go powoli do ucha.

– Jesteś tam? – O rany, Jacek! Dałem mu przecież numer z nowej karty.

– Jeeestem...

– Słuchaj, jadę do szpitala i w parę innych miejsc. Może mnie nie być kilka godzin. Co u ciebie? Już po wszystkim?

– Nie... jeszcze nie wiem...

– Kurwa, Poldek! Nie wymiękaj mi teraz, masz to zrobić i koniec, zanim on zdąży cię dorwać! I mnie przy okazji.

– Zrobię. Kiedy wracasz?

– Po południu. Przywieź trochę forsy, mam nowy pomysł...

Klient wirtuoza grzebienia podniósł się wreszcie i zapłacił. Szerokim gestem zostałem zaproszony na fotel.

– Jak skrócić? Preferuje pan styl swobodny? – Utkwił łakome spojrzenie w mojej raczej niechlujnej czuprynie.

– Skrócić... nie, raczej wyrównać. Ale chciałbym też przefarbować włosy. – Gość zastygł, szykując się do nowego wyzwania. – Jaki kolor mnie odmłodzi? Wie pan, kobieta...

– Jasny! Blondyni wyglądają zawsze młodo, powabnie... – entuzjazm w jego głosie nasunął mi brzydkie podejrzenia. – Tylko musimy zapomnieć o brodzie i wąsach.

– W porządku, niech pan goli.

– To nie wszystko. Jeśli szanowny pan chce awangardowej fryzury, to damy żelu i ułożymy...

– Zdaję się na pana – wypowiedziałem miłą uchu każdego artysty formułkę.

Jako że zabrakło chwilowo widowni, facet mówił sam do siebie, komentując głośno własne poczynania. Nie protestowałem, cokolwiek robił, ważne było, bym wyszedł stamtąd jak najbardziej odmieniony.

Musiałem przyznać, że grubasek znał się na rzeczy. Trwało to potwornie długo. Najpierw zgolił mi wąsy, nosiłem je od lat i natychmiast poczułem się jak szczeniak. Następna była broda, do której zdążyłem już trochę przywyknąć. Potem nastąpiło delikatne korygowanie nożyczkami fryzury, a w końcu artysta nałożył mi na włosy jakąś gęstą maź nieokreślonej barwy, kazał czekać, a sam zniknął gdzieś na zapleczu. Mijały minuty...

Nie wracał tak długo, iż zaległo się we mnie podejrzenie: poszedł

zawiadomić kogo trzeba, pewien, że tymczasem nie wyjdę w tym stanie na ulicę. Nieufnie popatrzyłem na siebie w lustrze, całkowicie przekonany, iż włosy nie mają prawa zjaśnieć od tej sraczkowatej, podobnej do niedosmażonej jajecznicy, śmierdzącej breji.

Gdy znów go ujrzałem po jakichś dziesięciu minutach, zaczął się nagle spieszyć. Błyskawicznie splukał zastygłą już papkę, następnie nałożył tym razem niebieskawą maź i z suszarką w jednej ręce oraz grzebieniem w drugiej począł pastwić się nad żalonymi pozostałościami mego owłosienia.

Rezultat był wstrząsający – jeśli chciałem zmienić powierzchowność, udało się rewelacyjnie – moja fryzura składała się z mnóstwa delikatnych blond loczków, do tego sprawiających wrażenie mokrych, jakbym właśnie wyszedł spod prysznica.

Na ulicy czułem się trochę dziwnie. Idąc do samochodu, zerkąłem spod oka, czy nikt się za mną nie ogląda, ale zdaje się, że nasi rodacy, wbrew utartym opiniom, są dość tolerancyjni dla prezentujących się... inaczej.

Wyjąłem paczkę, przetarłem szmatą, by usunąć odciski palców, wypaliłem papierosa, upewniłem się, że maluch jest prawidłowo zaparkowany, i nie znajdując powodu dla dalszej zwłoki, przystąpiłem wreszcie do realizacji kolejnego elementu planu.

W pubie zamówiłem piwo i usiadłem w ciemnym kącie, przy długim drewnianym stole pełnym lepkich pozostałości po serwowanych trunkach. Nie było tłoku, jakichś dwóch gości wyglądających na wczorajszych, a może i znacznie wcześniejszych, sączyło jasnożółty nektar, delektując się nim z umiarem prawdziwych smakoszy. Ich godna podziwu wstrzemięźliwość wynikała zapewne z braku widoków na następną kolejkę.

Dziewczyna pełniąca rolę kelnerki, której zbyt kusa spódniczka, szaleńczo odważny dekolt oraz jaskrawy makijaż zdawały się sygnalizować otwartość na wszelkie propozycje, w tym matrymonialne, z wyraźną niechęcią podniosła się zza baru, postawiła przede mną wysoką szklankę i wróciła na swoje miejsce, nawet nie zerknąwszy w

stronę pełnej popielniczki. Widać nie byłem w jej typie. I całe szczęście.

Cena piwa nijak się miała do jakości obsługi i wystroju wnętrza – Muńkowi nie zależało na wysokich dochodach z tego interesu, obrót zapewniał sobie w inny sposób. Pustawe, ponure pomieszczenie wręcz zniechęcało do dłuższego relaksu przy szklaneczce. Jeśli lokal był miejscem załatwiania ciemnych interesów czy mafijnych spotkań, to albo miał jakieś ukryte pomieszczenia, albo pora była zbyt wczesna.

Przesunąłem nogą pakunek w najdalszy kąt pod stołem, dopiłem piwo i wbrew panującym tu zwyczajom odniosłem naczynie panience wpatrzonyj w swoją filiżankę, jakby wróżyła sobie z fusów. Nie chciałem, by natknęła się na pudełko, gdyby w jakimś napadzie szaleństwa rzuciła się nagle do robienia porządków.

Na zewnątrz zastanowiłem się przez moment, czy dzwonić do telewizji. Nie, nie ma potrzeby, tym razem sami się pojawią. Wystukałem numer policji. Przez bardzo długą chwilę bezosobowy głos prosił w kółko, żebym czekał, jakby w nadziei zniechęcenia mnie do głupich kawałów. Mało brakowało, gdyż nagle uprzytomniłem sobie, że tym razem jadę po bandzie i popełniam dość poważne przestępstwo, zagrożone srogimi konsekwencjami. Okoliczności łagodzących było bez liku, pewnie dobry adwokat, a jeszcze prędzej psychiatra, wybroniłby mnie przed odsiadką, ale w zamian czekałyby mnie wczasy na koszt podatników w pensjonacie bez klamek. Perspektywa wprawdzie bardziej kusząca niż odsiadka, jednak nie rozwiązywała moich problemów. Przynajmniej póki Mucha zażywał swobód obywatelskich.

Kiedy wreszcie zgłosił się dyżurny policjant, wychrypiąłem z największym trudem przez ściśnięte gardło adres i nazwę pubu. Naturalna obawa amatora w przestępczym fachu dała niezamierzony efekt: mój komunikat, jak przystało na prawdziwego oprycha, wypowiedziany został niskim, wypranym z emocji szeptem. Z determinacją ciągnąłem przeciwczony wcześniej tekst:

– W środku jest ładunek wybuchowy, za godzinę rozpieprzy całą budę. Możecie to olać albo ewakuować wszystkich, gównu mnie obchodzi, czy będą ofiary. Mucha zrozumie wiadomość. Możecie go spytać.

– Proszę powtórzyć adres. – Gliniarz znał swoją robotę. Nie spodziewał się odpowiedzi, grał na czas. – Kto mówi?

Wiedziałem, że nagrywają zgłoszenia, więc zakończyłem szybko martwym głosem:

– Zgadnij. Sprawdźcie lepiej, do kogo należy ten burdel!

Wyłączyłem telefon i chciałem wyjąć kartę, ale ręce tak mi się trzęsły, że upuściłem aparat pod siedzenie. W panice zacząłem macać podłogę, rąbnąłem głową o kierownicę, zimny pot wystąpił mi na czoło. Cały samochodzik zakołysał się od tej gimnastyki, przestraszyłem się, że za chwilę sprowokuję zbiegowisko – przechodnie zaczną zaglądać do środka, ciekawi, kto też próbuje uprawiać seks w konserwie przerobionej na samochód. Wymacałem wreszcie plastikową obudowę i zmuszając się do ostrożności, zrobiłem, co trzeba. Zapaliłem papierosa i uświadomiłem sobie, jak idiotycznie się zachowuję – przecież Artur twierdził, że wyłączonego telefonu nie można namierzyć, a kartę niszczy się i wyrzuca tylko po to, żeby zatrzeć ślady.

Wypaliłem trzy papierosy, ale jakoś nie miałem odwagi ani ochoty naocznie sprawdzać efektów swoich wybryków. Trudno, jeśli nawet nie potraktowali poważnie zagrożenia, to i tak odnotują, kogo dotyczyła nieudolna próba wywołania zamieszania – jeszcze jeden kamyczek do ogródka Muchy.

Zjadłem coś na mieście i wróciłem do domu. Nacisnąłem dzwonek u drzwi, nastawiony psychicznie na drwiny z mojej nowej fryzury i mistrzowsko sfuszerowanej akcji. Kumpel z dreadami tylko rzucił okiem na moją głowę i całkowicie ignorując jej wygląd, zniknął w pokoju. Wziąłem piwo z lodówki i usadowiłem się w fotelu.

– Włącz telewizor. Jaja, jakich w Australii nie widzieli – powiedział dziwnie beznamiętnym tonem i zajął się komputerem.

Widząc, że więcej się od niego nie dowiem, z lekką obawą pstryknąłem klawiszem. Reklamy, europejska prognoza pogody, znów reklamy. Wreszcie zaczęło się, i to od razu od mocnego uderzenia. Czując ciarki przebiegające po grzbiecie, słuchałem o zamieszczeniu w centrum stolicy spowodowanym alarmem bombowym. W pubie należącym do dobrze



znanego policji Konrada Z. pseudonim Mucha – który to gangster za sprawą serii nietypowych wydarzeń znalazł się ostatnio w kręgu zainteresowań mediów – umieszczony został podejrzany pakunek zawierający, jak poinformowano anonimowo policję, ładunek wybuchowy. Ewakuowano mieszkańców sąsiednich budynków, ruch w okolicy został wstrzymany. W wyniku intensywnych działań brygady specjalnej ustalono, że paczka nie zawiera niebezpiecznych materiałów. Obecnie jej zawartość jest badana przez specjalistów, mających ustalić pochodzenie użytych do produkcji atrapy bomby materiałów.

– Co tam było? – Jacek nie odrywał wzroku od komputera.

– Budzik i... ziemniaki.

Spocony jak po wyjściu z sauny, czekałem na finał. Aż do tego momentu nie zdawałem sobie dobrze sprawy, co właściwie robię, jakbym ciągle sądził, że wszystko jest ułudą, gram jedynie w jakimś przedstawieniu – tyle że jako jedyny z aktorów nie czytałem scenariusza. Ale dzisiejszy wybryk... nie, nie wybryk, to już przestępstwo! Niby jestem postawiony pod ścianą i właściwie działam w obronie koniecznej... Jednak czy aby na pewno? Czy to, co mnie spotkało, usprawiedliwia wywoływanie paniki w mieście, angażowanie specjalnych brygad policji i straszenie niewinnych obywateli? No, właściwie specjalnej paniki nie widziałem, raczej znudzenie na twarzach nielicznych gapiów. Zresztą zachowywałem się jak szczur i czułem się szczurem, który zapędzony do kąta może zrobić już tylko jedno: rzucić się na prześladowcę i kąsać, gdzie popadnie.

Prezenterka uśmiechała się promiennie z ekranu i kontynuowała, zupełnie nieprzejęta treścią komunikatów:

– Obecnie trwają czynności zmierzające do ustalenia sprawcy zamieszania. Jak poinformowały nieoficjalnie źródła w Komendzie Stołecznej Policji, możliwe, że nie zostaną postawione mu poważne zarzuty, ponieważ w trakcie rutynowej kontroli lokalu Konrada Z., mającej na celu poszukiwanie ewentualnych kolejnych ładunków wybuchowych schowanych we wnętrzu, wykryto spore ilości substancji mogących okazać się narkotykami, a także inne nielegalne materiały.

Trwają intensywne czynności śledcze. Konrad Z. jest obecnie zatrzymany do wyjaśnienia i nie zapadła jeszcze decyzja o jego ewentualnym aresztowaniu ani zarzutach, jakie mogą mu być postawione.

– Jacek! Słyszałeś, mówią, że sprawcy nie będą się czepiać...

– Zgłupiałeś? – Nie odwrócił nawet głowy. – Podpucha, facet! Chcą sprawić, żeby delikwent nie chował się po kątach, ale jak go złapią, to jest ugotowany. Po tym, co ostatnio dzieje się w Europie i w kraju...

– Co masz na myśli?

– No, przecież było trochę zamachów z ofiarami w ludziach. Nie ma żartów, jak łapią żartownisia, to idzie siedzieć... Na inne sprawy mogą nawet przymknąć oko, żeby nie psuć sobie wizerunku i ewentualnie przypisać zasługi, ale alarmy bombowe, nawet fałszywe, to inna gadka... A, prawda, nie jesteś na bieżąco. Ale wcześniej chyba oglądałeś telewizję?

– Kurna, chcesz powiedzieć, że gliny będą mnie ścigać do skutku?! – Poczuję lekką panikę. – A potem wczasy na koszt podatników?

– No... Ale nie przesadzajmy, każdy spec od czubków cię wybroni. Działanie w stanie skrajnego stresu i zagrożenia życia, brak możliwości właściwej oceny swoich czynów, zespół stresu pourazowego, zaburzenia osobowości, depresja maniakalno-prześladowcza. Albo lepiej maniakalno-paranoidalna. Tak, to załatwi sprawę.

Wydało mi się, że dziwnie nonszalancko podchodzi do problemu. Jednak z drugiej strony mój postępek nie był zwykłym kawałem. Zresztą, zrobiłbym to jeszcze dziesięć razy, gdybym mógł w ten sposób uratować siebie i bliskich!

Martwiło mnie co innego: ciągle nie potrafiłem uwierzyć, że nasze bądź co bądź amatorskie poczynania przyniosą zamierzony efekt. Byłem pewien, że Muniek odczuwa nasze ciosy jak nosorożec ukąszenia komara i zwyczajnie wszystko przeczeka, żeby w stosownym momencie rozdeptać mnie jak karalucha.

– Cholera, nie złapią cię! – Jacek po swojemu zinterpretował moje milczenie. – Martw się Muchą, on jest niby nieźle ugotowany, ale mogą go nie posadzić. W naszym kraju, jak ma się czym płacić adwokatom, to

się nie siedzi. Tego też nie widziałeś w telewizji?

– Widziałem...

– Kupiłem trochę sprzętu – uznał poprzedni temat za wyczerpany. – Trzeba go zainstalować w chałupie Muchy, póki gliniarze trzymają go pod kluczem.

– Jakiego sprzętu? – spytałem z niepokojem. Przed oczyma przemknęły mi obrazy min przeciwpiechotnych, tykających bomb zegarowych tudzież szczerzących zęby stalowych pułapek na niedźwiedzie.

– Zaraz zobaczysz. Munięk pomyśli, że namierza go Interpol, FBI, Mosad, kolesie z mafii, kosmici...

– Przecież w chałupie są jego ludzie, rottweiler i... Jola.

– Wywabimy ich! Teraz wystarczy odpowiedni telefon, że niby szef każe im się schować, żeby gliny ich nie szarpały... Nie, do dupy, siedzi w areszcie, nie miałby jak nadać wiadomości. – Zapatrzył się w okno. – To musi być nagłe, żeby nie mieli czasu do namysłu! O, wiem! Zmienię głos na lekko szemrany i powiem, że Mucha płaci mi za informacje o Ziomalu, więc informuję: właśnie wysłał swoich ludzi, żeby was załatwili. Ponoć dostał cynk, że to Mucha zabił mu syna. A dla pieska mam smakowity prezencik. Zaglądałeś do kuchni?

– Czekaj, to wszystko wymyka się spod kontroli. Co innego kawały, nasyłanie na niego różnych nagabów, a co innego podkładanie paczek udających ładunki wybuchowe czy włamywanie mu się do domu.

– Coś tak sflaczał? Jakiś czas temu byłeś gotów załatwić go gołymi rękami!

Sam nie umiałem rozpoznać swoich odczuć. Gdy zbir nasłany przez Muchę zranił Wandę, zmiotł ją ze swej drogi, jakby nie była ludzką istotą, nienawiść przytłumiła obawy. To było nawet przyjemne uczucie – pragnienie zemsty opanowało umysł, adrenalina krążyła w żyłach jak narkotyk. Przez chwilę wszystko było łatwe: dopaść drania, rozerwać mu pazurami gardło i nawet za cenę życia udowodnić, że jego nędzna egzystencja jest tyle samo warta, co wszystkich innych. Ale nie można żyć tylko jednym. Poczucie krzywdy słabnie stłumione chęcią powrotu do normalności. Bardziej niż załatwić tego bandziora chciałem teraz

spokoju, chciałem słyszeć głos Doroty wyciągającej mnie rano z łóżka, spieszyć się na spotkanie z kolejnym klientem, żeby zdążyć do domu na mecz. Kłąć na polityków, bo przecież to ja płacę pensje tym zgnuśniałym, wечно zadowolonym z siebie obibokom. Pragnąłem, by moim największym zmartwieniem był banalny niepokój o spłatę kredytu na mieszkanie albo strach, że moja firma upadnie i stracę jedyne źródło utrzymania.

Jacek głośno kliknął w klawisz i zniknął w kuchni. Słyszałem, jak szuka czegoś w lodówce.

– Byłem w szpitalu u Wandy. – Podeszedł do telewizora i ściszył fonię, potem usiadł obok mnie. Podał mi puszkę, od jej lodowatego dotyku przeszły mnie dreszcze. – Opowiadała mi trochę o sobie, dziwna jest... Jakaś taka nieprawdziwa, jakby z innej bajki.

– Bo ona taka jest. Brzydkie kaczątko. Tylko tamta bajka dobrze się kończy.

Zbliżał się wieczór. W zapadającym powoli półmroku migający ekran rzucał błyski na pokój, zniekształcając kontury mebli. Z ulicy dochodził szum przejeżdżającej ciężarówki, jakieś szczeniaki krzyczały coś do siebie, wyrażając przekleństwami młodzieńcze emocje. Dzieci sąsiadów z góry, tupiąc głośno, biegały po mieszkaniu. Gdzieś w rurach zabulgotała woda.

– Nie wiem... no, kurwa, nie wiem, jak to się skończy. Ale... – Odwrócił głowę, jakby chciał ukryć twarz.

Zrobiło mi się zimno. – Musisz coś wiedzieć, ona może nie wyjść z tego. Napisała do ciebie list.

Dlaczego ten cholerny czas staje w miejscu, gdy powinien uciekać? Gdyby mi ktoś powiedział, że w ciągu sekundy można przemyśleć całe swoje gówno warte życie i wystawić sobie niespłacalny rachunek za wszystkie popełnione podłości, powiedziałbym, że bredzi. Ale można. Niech ten czas wreszcie ruszy! Ile może się ciągnąć jedna sekunda...

– Co ona...?

– Nie, nie mam tego listu, podarłem przy niej. I powiedziałem jej o tobie. Że masz żonę, córkę, własne życie. Wywaliłem jej wszystko prosto

z mostu.

– Dlaczego...? – choć powiedziałem to głośno, pytanie nie było skierowane do niego.

No właśnie, dlaczego? Czemu mi to robiła? Wyciągała do mnie ręce nad przepaścią i nie chciała pojąć, że bezrozumny los wyznaczył nam inne miejsca we wszechświecie.

– Bo jestem takie cholerne bydle, które zawsze wszystko wie najlepiej! – Jacek nie zauważył, że mówiłem do siebie. – Chciałem, żeby przestała zawracać sobie głowę... że niby, jak zejdziesz na ziemię, to wszystko się jakoś ułoży. Niezły psycholog ze mnie! Myślałem, że przyjmuje to spokojnie, leżała bez słowa, tylko zamknęła oczy. Jakaś aparatura zaczęła nagle piszczeć, przybiegli lekarze... musieli ją reanimować. To było wczoraj, dzisiaj znów poszedłem, żeby jakoś to wszystko naprawić. Coś bym wymyślił, że niby chciałem ją chronić, bo szukają cię bandyci, więc nabajdurzyłem jej bzdur, aby unikała kontaktu z tobą. Nie udało się.

Zamilkł. Odgłosy zza okna – daleki klakson samochodu, szczekanie psa, nastawiona przez kogoś zbyt głośno muzyka – przypominały szyderczo, że nikogo nie obchodzi małe tragedie małych ludzi.

– Co się stało?

– W nocy wyszarpała sobie kroplówki, odłączyła kontrolną aparaturę. Jest w stanie krytycznym.

– Pójdę do niej...

– Nie możesz! Na diabła jej kolejny szok? Mucha też jej pewnie pilnuje, nawet mógłł przekupić personel.

– Kurwa, muszę coś zrobić! Ona nie zasługuje...

– Ja się tym zajmę – westchnął ciężko i pociągnął kilka długich łyków piwa. – Będę u niej codziennie.

Przypomniały mi się nagle te wszystkie dni, gdy mieszkałem u niej. Zobaczyłem, jak krąży po mieszkaniu niczym zjawą, obecna, ale nieuchwytna. Żyje obok mnie, sprząta, coś sobie pichci, wychodzi po zakupy, zagląda bez uprzedzenia do mojego pokoju... Taka nieskomplikowana i zarazem tajemnicza. Ciało eteryczne, które jednak należało do kobiety, miało uczucia i pragnienia. Co ona rola sobie w

swym nieodgadnionym umyśle, gdy w jej poukładane życie wtargnął mężczyzna? Podała się losowi, bo nie umiała inaczej, czy oczekiwała czegoś więcej?

Niech przynajmniej to bydlę, które do niej strzelało, dostanie za swoje! I niech Mucha dowie się, jak to jest...

A, do diabła z Muchą! Niech wszystko trafi szlag, ale przedtem chcę z podniesionym czołem spojrzeć w lustro, prosto w oczy tego gnojka po drugiej stronie!

Odstawiłem pustą puszkę i wstałem.

– Gdzie masz te nowe zabawki? Objasnij mi szybko, jak to działa, bo robi się późno.

\*\*\*

Objechałem powoli posesję Muchy, żeby sprawdzić, czy nie czają się tam jacyś spragnieni sensacji dziennikarze. Niby mało prawdopodobne, zwłaszcza że był akurat środek nocy, a ponadto interesujący ich obiekt siedział pod kluczem, jednak wolałem nie ryzykować głupiej wpadki.

Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, zaparkowałem na tyłach rudery, odnalazłem przejście w siatce i ostrożnie zacząłem przedzierać się przez zarośla. Zadanie utrudniała mi składana aluminiowa drabina, którą zabrałem ze sobą, ale księżyc w pełni dawał nieco światła, toteż lekko tylko podrapany dotarłem do drzwi. W środku zapaliłem latarkę i bardzo ostrożnie zacząłem skradać się na górę, świadom, że reporterzy łatwo mogli wycząić taki wspaniały punkt obserwacyjny. Schody skrzypiały nieprzyjemnie, jakby w proteście przeciw wizycie nieproszonego gościa, lecz był to jedyny odgłos zakłócający ciszę. Uchyliłem klapę w suficie i natychmiast zorientowałem się, że istotnie łowcy sensacji nie przeoczyli kryjówki. Na podłodze wały się puszki po napojach – głównie po piwie – oraz jednorazowe opakowania dań spożywczych. Teraz jednak poza mną nie było tu żywego ducha. Ktoś powiększył otwory w dachu. Posiadłość mojego przeciwnika była dość dobrze oświetlona lampami podwórzowymi i doskonale stąd widoczna. Zlustrowałem uważnie ciemne okna i sięgnąłem po telefon.

– Słucham – głos kumpla, przywykłego do nocnych sesji w sieci, był całkiem przytomny.

– Obserwuję dom, wygląda na uśpiony. Okolica pusta – zameldowałem.

– Dobra, dzwonię.

– Czekaj! O czymś nie pomyśleliśmy. A jeśli Mucha ma w domu system alarmowy? Powinien mieć.

– Myślałem o tym. Tacy ludzie nie instalują systemów połączonych z policją czy z biurem ochrony. Najwyżej mają czujniki albo kamery, które obserwuje ktoś w środku. Ale tam nikogo nie będzie, więc nie ma problemu. Zresztą, sprawdzisz.

– Jak?!

– Rzuć kamieniem w szybę. Tylko dużym. Potem poczekaj jakieś piętnaście minut, tyle wystarczy. Gdyby coś miało się dziać, to wydarzy się natychmiast.

– Dobra, działaj! – Wyłączyłem telefon i utkwilem wzrok w ciemnych oknach.

Pierwszy raz od paru tygodni nie bałem się. Wiedziałem, że gdybym wpadł, Jacek dokończy akcję – nie zostawi sprawy, bo nie leżało to w jego charakterze, a ponadto próba samobójstwa Wandy dotknęła go osobiście. Oprócz zranionej miłości własnej było coś jeszcze. Czułem, że dziwnie fascynowała go ta istota o umyśle z innego wymiaru. On też, w pewnym sensie, buszował po innych wymiarach, a na prozaiczną rzeczywistość spoglądał pogardliwie wyalienowany.

W jednym z pokoi błysnęło słabo, ktoś zapewne włączył nocną lampkę. Po niedługiej chwili w kolejnych pomieszczeniach zaczęły zapalać się światła. Nagle usłyszałem tupot nóg na podwórzu, skrzypnęły drzwi od garażu i równocześnie zaczęła otwierać się brama – widać zdążyli ją tymczasem naprawić. Terenówka wyjechała przed dom, po kilku minutach ukazali się trzej mężczyźni, jeden z nich ciągnął na smyczy czarnego bydlaka w kagańcu. Całe szczęście, że go zabierali, nie chcąc, żeby ludzie Ziomała odstrzelili dupę pupilkowi szefa. Posiadałem w plecaku smażoną wątróbkę nafaszerowaną jakimś

psychotropem nabytym pokątnie przez mojego kumpla, ale nie było pewności, czy uda się poczęstować nią pieska. Gdyby biegał po dworze, to prosta sprawa: włożyć na mur, gwizdź i rzucam prezencik, ale gdyby zamknęli go w chałupie...

Zawarczał silnik, samochód wystartował z piskiem opon. Znów przekonałem się, jaką siłę mają najprostsze zagrywki, na które, teoretycznie, mógł się nabrać tylko jakiś szajbus w ostatniej fazie delirium.

Wśród uciekających nie dostrzegłem Joli, widocznie nie było jej w domu. Nie obawiałem się specjalnie, iż wróci o trzeciej w nocy, a gdyby nawet, to jakoś sobie z nią poradzę. Wziąłem przecież paralizator.

Chwyciłem plecak i drabinkę, bez większego trudu odnalazłem przejście pod siatką i po minucie stałem pod murem. Wepchnąłem do kieszeni spory kamień, rozłożyłem sprzęt i wdrapałem się po żałośnie jęczących szczeblach. Przez dłuższy czas uważnie obserwowałem teren – nie wiadomo po co, byłem pewien, że wszystkich wymiotło – potem sięgnąłem po kamień, wziąłem szeroki zamach... jednak powstrzymałem się w ostatniej chwili na widok szeroko otwartej bramy. Skoro nie starczyło im czasu, żeby zamknąć ją za sobą, to pewnie i nie włączali żadnego alarmu. Wciągnąłem drabinkę, przełożyłem i zszedłem z drugiej strony. Przemknąłem na palcach wzdłuż ściany domu, aż do frontowych drzwi. Zostawili je lekko uchylone, widać Jacek napędził im potężnego cykora. Mogłem zapomnieć o alarmie i bezpiecznie przeniknąć do środka.

Żółte światło latarki wypełniło wnętrze salonu pokraccznymi cieniami wypęczającymi ze wszystkich kątów. Stapałem ostrożnie po grubym dywanie jak włamywacz, który nie chce obudzić domowników. Świadomość, że jestem w jaskini lwa wywoływała klaustrofobiczny lęk. Mimowolnie unikałem spoglądania w ciemne zakamarki pomieszczenia, jakby w półmroku czaiły się nieznane, groźne bestie. Jednak mój prześladowca był daleko, a w domu panowała głucha cisza. Poruszałem się coraz pewniej, oswajając się powoli z otoczeniem. Zresztą nie mogłem przebywać tu do rana.



Wsadziłem sobie do ust kilka gum do żucia i zabrałem się do roboty. Wyciągałem z plecaka metalowe drobiazgi podobne do siatek prysznicowych dla krasnoludków i z pomocą gumy zacząłem przyklejać je do mebli. Były to autentyczne aparaty podsłuchowe wytraśnięte skądś przez Jacka, za które oczywiście zapłaciłem pieniędzmi od Muchy. Nie było do nich odbiorników i nie chowałem ich zbyttnio. Miały być znalezione, wzbudzając jeszcze większy niepokój tutejszego bractwa.

Szybko się uwinąłem i stanąłem przed obrazami. Plan przewidywał zabranie dwóch czy trzech wyglądających na najcenniejsze i przyklejenie w miejscach, gdzie wisiały, specjalnych blankietów wyprodukowanych w komputerze. Ich treść odnosiła się do przedmiotów rekwizowanych przez policję jako dowodów przestępstwa. Nie miało to rzecz jasna najmniejszego sensu, policja nie robiła tego w ten sposób – w środku nocy, bez świadków, nie informując gospodarza, którego mieli przecież pod kluczem. Jednak uznaliśmy, że bandyci raczej nie zwrócą się do glin o wyjaśnienie tych zdumiewających działań. Miałem jeszcze narobić w całej chałupie bałaganu jak po autentycznej rewizji.

Oświetliłem jeden z obrazów i chciałem sięgnąć po niego, ale zastygłem w połowie ruchu – wydało mi się, że z głębi domu dobiegło jakiś ciche skrzypienie. Nasłuchiwałem przez moment. Nic podejrzanego nie mąciło dzwoniącej w uszach ciszy. Zacząłem wypuszczać wstrzymywane powietrze, gdy niespodziewanie w salonie rozbłysło jaskrawe światło żyrandola. Upuściłem latarkę i oślepiony nagłą iluminacją odwróciłem głowę.

– Łapy do góry! Nie ruszaj się!

Czerwona plama nabierała powoli ostrości. Kilka metrów ode mnie stała Jola w swoim ulubionym szlafroku. Pistolet w jej dłoni nie był wielki, ale wyglądał na prawdziwy. I pewnie był prawdziwy, zważywszy, w czym domu się znajdowałem.

– Kto cię przysłał?! – Jej spojrzenie było dziwnie bystre i w niczym nie przypominało prowokującego wzroku nimfomanki. Nagle dłoń mocniej ścisnęła czarny metal. Poznała mnie wreszcie mimo zmienionej fryzury.

– To ty?! Kurwa, nie wierzę. Po diabła tu przylazłeś?

Przez chwilę taksowała mnie nienawistnym spojrzeniem. Nagle oblizwała usta i wycodziła:

– Wiesz, co teraz zrobię?

Wiedziałem i nawet specjalnie mnie to nie wzruszyło, bo stało się zbyt nagle. Opatrzność najwyraźniej uznała, że spektakl zrobił się nudny, czas na finał. Znow wszystko było proste. Za chwilę umrę, ale przedtem rzucę się na nią i może przeżyję, jeśli kula ominie ważniejsze organa ciała...

– Stój! – Dostrzegła w moich oczach nagłą decyzję, bo cofnęła się o dwa kroki. Szansa zaskoczenia harpii umknęła.

Niespodziewanie westchnęła głęboko, jakby z rezygnacją i przestała celować w moim kierunku.

– No i co z tobą począć?

Milczałem, czekając, aż skończy tę jakąś nową grę, roześmieje się szyderczo i wywali mi w bebechy cały magazynek. Patrzyła gdzieś w bok, zdawała się głęboko nad czymś zastanawiać.

– Słuchaj mnie uważnie, cholerny kretynie – wycodziła wreszcie, jej szept był ledwie słyszalny. Patrzyłem zahipnotyzowany, jak rozluźniają się palce zaciśnięte na broni. Podeszła powoli do okna. – Odwal się od tego wszystkiego. Zniknij, zapomnij, zakop się pod ziemią, ale raz na zawsze odpięrdol się od tego interesu, rozumiesz? To nie twoja zabawa, za mały jesteś. Co by się nie działo, morda w kubek.

Chciałem uciekać, zrobiłem na próbę dwa kroki, jednak widok unoszącego się pistoletu osadził mnie na miejscu.

– Zostań, nie wyjdiesz teraz!

Ciągle nic nie kapowałem, ale zwietrzyłem szansę, bo najwyraźniej coś jej się poprzestawiało w łepetynie. Może czuła, że boss jest już ledwo ciepły i nie zamierzała towarzyszyć mu w ostatniej drodze?

Obserwując ją czujnie, zacząłem wycofywać się tyłem do wyjścia.

– Kurwa, mówię stój!

Zawahałem się. Jola spoglądała ze zmarszczonymi brwiami, gdzieś w moim kierunku, jakby nasłuchując. Wyraźnie coś kombinowała. Miałem niejasne wrażenie, iż rola, jaką przewidziała dla mojej skromnej

osoby w tej jakiejś nowej gierce, będzie wybitnie niewdzięczna.

Tkwiliśmy bez ruchu niby w zatrzymanym kadrze filmu. Wszystko było cholernie nie w porządku!

Znów zacząłem się cofać.

Nagłym ruchem rozwiązała szlafrok i pozwoliła, by spłynął na ziemię. Jej bezbronna nagość i trzymany ciągle pistolet dziwnie ze sobą kontrastowały, potęgując chaos wrażeń, jakby pragnęła doprowadzić mnie na skraj szaleństwa, a następnie jednym pociągnięciem spustu przerwać zabawę w kulminacyjnym momencie. Zastygłem osłupiały, nie pojmując przedstawienia, w którym uczestniczyłem.

– Strasznie złoileś mi tyłek. – Podeszła niespiesznie, zasłaniając od niechcienia dłonią ciemniejszy trójkąt między udami. Następnie, przeciągając z lubością perwersyjny spektakl, zaczęła obracać się powoli.  
– Zobacz, jeszcze mam ślady.

Nie zobaczyłem żadnych śladów, nie zdążyłem. Poczułem potężny cios w tył głowy, błysk potwornego bólu przewiercił mi czaszkę, przed oczami wybuchły gwiazdy i straciłem przytomność.

\*\*\*

Musiałem odlecieć tylko na moment, bo gdy się ocknąłem, usłyszałem głos Joli:

– ...Munieś się uciesz, trzeba go zamknąć, aż wróci. Poruszyłem głową, pod czaszką załupało. Skądś dobiegały ciche kroki, spróbowałem spojrzeć w ich kierunku.

– No jak? Ładnie grałam? – Jasna postać nabierała konturów. Znów miała na sobie szlafrok. Czułem się jak rekwizyt, który wraz z opadnięciem kurtyny przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ prawdziwi aktorzy grają już inne role. Jola wskazała kilka niewyraźnych sylwetek stojących nieopodal i powiedziała: – Jakby chłopcy tak się nie spieszyli, to byś zobaczył prawdziwą artystkę. Nie dali pograć...

– Ale przecież... – wyjęczałem z wysiłkiem. – Uciekali przed Ziomalem... Sam widziałem...

– Ziomal nie żyje od dwóch dni! Chłopcy zwabili go na trefną melinę

i załatwili. Nawet gliny nic jeszcze nie wiedzą. Natychmiast zorientowaliśmy się, że ktoś chce wywabić nas z domu. I że na pewno nie konkurencja, oni nie dzwonią wcześniej.

Stała o krok od mojej głowy.

– Muniak by cię dłużej nie szukał, mój tyłek nic go nie obchodzi. Ale mnie tak!

– Czemu mnie nie zastrzeliłaś?

– Zabronił chłopakom dawać mi naboje...

Los zlitował się nade mną i znów straciłem przytomność.

\*\*\*

Ciemność i zapach stęchlizny. Jakies strzępy koszmarnych wspomnień tłukły mi się pod sufitem, wywołując bliżej niesprecyzowane, ale niezwykle realistyczne poczucie zagrożenia. Chciałem przegnać zły sen, próbując się poruszyć, ale nie potrafiłem. Starając się wyłuskać z mroku jakieś znajome kształty, łudziłem się jeszcze nadzieją, iż za moment pierzchną majaki, przypomnę sobie wczorajszą balangę, której skutki dają się odczuć w tak nieprzyjemny sposób. Powoli oderwane obrazy zaczęły układać się w logicznym porządku. Byłem w domu Muchy... Jola, pistolet, uderzenie w głowę i... Szarpnąłem się konwulsyjnie, mięśnie zareagowały bólem, ale nie zdołałem zmienić pozycji. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że skrępowano mi ręce i nogi. Leżałem na boku, chłód betonowej posadzki przenikał zdrętwiałe ciało. Gdy spróbowałem usiąść, poczułem, iż jestem jeszcze do czegoś przywiązany, nie mogłem wykonać żadnego ruchu. Głowa łupała i pulsowała bólem, ale byłem przynajmniej żywy. Jak długo? Aż Mucha wróci. Mogą go zwolnić jutro albo... za parę tygodni – potworna perspektywa oczekiwania na śmierć przez wiele niekończących się godzin i dni przejęła mnie takim lękiem, że znów zacząłem szarpać się konwulsyjnie. Zapomniałem, że Jacek wie, gdzie jestem, i na pewno spróbuje mi pomóc. Węzły wpiły mi się w ciało, zabrakło powietrza...

Gdy znów odzyskałem przytomność, ból pod czaszką nieco zelżał, ale w moim położeniu nic się nie zmieniło. Poruszyłem związanymi z tyłu

rękoma, sprawdzając, czy jest jakaś szansa je uwolnić. Były ciasno okręcone. Coś, chyba linka, wpijała mi się boleśnie w ciało. Poczułem, że jakiś twardy przedmiot uciska mnie w biodro. Zapalniczka. Przez jedną krótką chwilę dziwiłem się, że mnie nie zrewidowali, ale jeśli nawet, to pewnie szukali broni czy noża. Wykręciłem się trochę i spróbowałem sięgnąć palcami do kieszeni. Nawet nie musiałem wykonywać żadnych cyrkowych sztuczek, już za pierwszym podejściem uchwyciłem mały przedmiot, obróciłem go w palcach i przytknąłem do krępujących ręce więźów. Teraz zaczęły się problemy. Przez parę minut przypalałem sobie rękawy i skórę, bez wyraźnego efektu, ciasne zwoje wokół nadgarstków nie rozluźniły się nawet odrobinę. Śwąd tłącego się materiału uświadomił mi, że łatwo mogę zaproszyć ogień i spłonąć tu żywcem ku uciesze słodkiej nimfomanki. Jednak nie było wyboru, zacisnąłem zęby, starając się trafić płomieniem we właściwe miejsce. Napiąłem mięśnie. Niespodziewanie nadpalone supły puściły i po sekundzie rozcierałem poparzoną skórę. Z nogami poszło już łatwo.

Zdawałem sobie sprawę, że droga do wolności jeszcze daleka – ciągle nie wiedziałem, gdzie się znajduję i czy uda mi się stąd wydostać. Rozejrzałem się, próbując wyłowić z ciemności jakieś kształty. Wydawało mi się, że słyszę głosy i spojrzałem w tamtym kierunku. Mały prostokąt uchylonego lekko okienka pod sufitem wpuszczał odrobinę światła. Poszedłem w jego stronę i potknąłem się o jakiś worek. Okazał się moim plecakiem, którego chyba nawet nie sprawdzali, zwyczajnie wrzucili tu razem ze mną. W błysku zapalniczki dostrzegłem jakąś szafkę, podsunąłem ją pod ścianę i wspiąłem się po niej do okna.

Na podwórzu stała terenówka. Wsiadali do niej moi oprawcy, razem z czarnym bydlakiem. Z pojedynczych uwag, które wymieniali nerwowymi głosami, zorientowałem się, że jadą po Muchę. Czyżby gliny go zwolniły?! Tak w środku nocy, nie śpią tam, czy co? Nieważne! Widać miałem więcej szczęścia niż rozumu – Jacek na pewno zorganizowałby jakiś ratunek, ale mogło już być za późno.

Terenówka wyjechała za bramę. Odemknąłem do końca okno i szarpnąłem za siatkę z grubego drutu. Siedziała mocno.

Niespodziewanie w polu widzenia ujrzałem Jolę. Szła szybko przez podwórze, ubrana oczywiście w swój czerwony szlafrok, i po chwili znikła w garażu. Czekałem, aż wróci i da mi szansę ucieczki. Ukazała się znowu, trzymając metalową łapkę do wyciągania gwoździ i wielkie szczypce, jakich używa się do cięcia grubego drutu. Zdecydowanym krokiem pomaszerowała w kierunku domu, a mnie przeszły ciarki po całym ciele, bo natychmiast domyśliłem się, iż bynajmniej nie zamierzała zabierać się za majsterkowanie. Chciała osobiście pobawić się ze mną, zanim Mucha dostanie mnie w swoje łapy! Uważała pewnie, że Muńkowi nie zrobi różnicy, jeśli będę miał połamane kości i obcięte palce. Ale mnie robiło cholerną różnicę!

Strach i adrenalina dały mi niezłego kopa. Zapomniałem o bolącej czaszce i innych kontuzjach, zeskoczyłem ze skrzyni i odnalazłem plecak, modląc się, by rzeczywiście niczego w nim nie brakowało. Gdzie to cholerstwo?! Jest! Chwyliłem paralizator i trochę na wyczucie poszedłem w stronę drzwi. Wymacałem futrynę i stanąłem obok. Słyszałem już ciche kroki na zewnątrz. Zgrzyt klucza, jęk zawiasów. Snop światła z korytarza prawie mnie oślepił, ale dostrzegłem rękę szukającą kontaktu. Zatakowałem. Równocześnie rozblęśla żarówka pod sufitem. Chwyliłem wijące się niczym w ataku epilepsji ciało i zaciągnąłem do niskiego stołu w rogu piwnicy. Zmiotłem z niego jakies szpargały i ułożyłem na brzuchu niezdolną do oporu kukłę. W oko wpadła mi rolka szerokiej taśmy klejącej. Niewiele myśląc, okręciłem kilka razy blat stołu i nogi mej niedoszłej oprawczyni, następnie unieruchomiłem w ten sam sposób górną połowę ciała wraz z rękami. Usiłowała coś bełkotać, klepnałem ją lekko po twarzy, by zobaczyć, czy dochodzi do siebie. Nie mogła jeszcze dobyć głosu, za to natychmiast spróbowała mnie ugryźć, więc zakleiliśmy jej usta. Zapaliłem papierosa. Oprzytomniała już wyraźnie i wyprężyła się, pragnąc zerwać taśmę. Nie wiedziałem, ile mam czasu do powrotu jej kompanów, jednak nie zamierzałem przebywać tu nawet minuty dłużej niż to konieczne. Jednak przedtem musiałem dowiedzieć się jednej rzeczy.

– Powiesz mi teraz, co Mucha zamierza zrobić po zabiciu Ziomala! –

Odczekałem moment, żeby dobrze mnie zrozumiała. – Nie obchodzą mnie jego plany... zawodowe. Chcę wiedzieć, czy polowanie na mnie i moją rodzinę trwa nadal. Jakie wydał rozkazy?!

Zerwałem taśmę z jej ust.

– Ty cholerny idioto!!! Ja cię... – zważywszy na okoliczności, wydawała się w zadziwiająco dobrej formie.

Zakryłem jej twarz dłonią, żeby krzykiem nie zaalarmowała całej okolicy. Natychmiast spróbowała odgryźć mi palce, ale byłem czujny. Wepchnąłem jej szybko w otwarte usta brudną szmatę i okręciłem taśmą. W trakcie tej operacji mierzyła mnie nienawistnym spojrzeniem, które jasno mówiło, że nie mam co liczyć na dobrowolną współpracę – skłamię, jeśli jej nie przekonam, że to nie żarty.

Nie było czasu na półśrodki. Wahałem się jeszcze przez moment, jednak widok przytaszczonych przez nią narzędzi tortur pozbawił mnie resztek skrupułów. Wziąłem najdłuższy kawałek nylonowej linki, której użyli, żeby mnie związać, i przystąpiłem do działań perswazyjnych. Nabrałem już niejakiej wprawy. Nie podwinąłem szlafroka, żeby przypadkiem nie pomyślała, że robię to dla widoku jej zgrabnego tyłka. Ponadto musiałbym zerwać część taśmy, a widząc, jak się szarpie, wolałem nie ryzykować. Ostre chłaśnięcia nie robiły prawdziwej krzywdy, ale na pewno dobrze je czuła.

Operacja nie trwała długo. Jola wiła się rozpaczliwie i rozdierająco jęczała. Nie miała makijażu, łzy płynęły po zaczerwienionych policzkach jak wielkie krople deszczu. Nie czułem szczególnej satysfakcji, pragnienie zemsty gdzieś się ulotniło. Gdy uznałem, że wystarczająco wyraźnie, choć nie bezpośrednio, przemówiłem jej do rozumu, zapytałem:

– Powiesz mi wreszcie prawdę czy chcesz więcej? Pokiwała energicznie głową, wyjąłem więc knebel i uniosłem ostrzegawczo narzędzie perswazji.

– Przyszłam tu, żeby cię uwolnić! Jestem z policji. Rozumiesz, kretynie, jestem gliną!

Jej absurdalne wyznanie sprawiło, że opadły mi ręce. Miałem dość tej

porąbanej dziwki i jej porąbanych zagrywek. Odwróciłem się i poszedłem po swój plecak.

– Rozwiąż to, nie zostawiaj mnie tak!

– Bo co, Mucha dołoży od siebie za samowolkę? – Nie byłem w nastroju do oddawania jej przysług.

– O Boże, zrozum, nie może mnie tak zastać... – Widząc, że zamierzam wyjść, szarpnęła się dziko, o mało nie przewracając na bok całego stołu. – Tu chodzi o nasze życie! Nie wiesz, co się dzieje, udawałam tylko... Daj mi minutę, posłuchaj mnie!

– Minutę? – Znow coś kombinowała, a wiedziałem, że jest w tym dobra.

Nie dam się więcej wykiwać! Pamiętałem, iż to ona wystawiła mnie Muńkowi – żeby wyrównać nasze rachunki, musiałbym ją chyba zabić. Tyle że nie umiałem. I było już za późno, by usunięcie tej harpii ze świata cokolwiek mi dało. Zresztą, ona też była w jakimś sensie ofiarą Muchy. Uzależnił ją od siebie, okaleczył psychicznie, sprawiając, że nie potrafiła już przejawiać typowo kobiecych uczuć. Stała się dobrze wytresowanym, absolutnie posłusznym niewolnikiem. Nie chłoszcze się poddanych za zbrodnie ich panów. No, może czasami, gdy sytuacja tego wymaga...

Podszedłem i sięgnąłem po linkę. Jola naprężyła się odruchowo, nie wiedząc, co ją czeka. Niepotrzebnie, nie miałem już ochoty na zemstę. Jedyne, czego pragnąłem w tym momencie, to znaleźć się jak najdalej stąd. Ale nie musiała o tym wiedzieć.

– Zaryzykujesz? Jeśli przez minutę nie dowiem się niczego ważnego, będzie cię to słono kosztować.

Przez moment oddychała głęboko, podejmując decyzję. Nagle drgnęła i zerknęła na mnie przez ramię, jakby chciała sprawdzić, czy przypadkiem nie odmierzam tych sześćdziesięciu sekund.

– Słuchaj... i postaraj się zrozumieć. – Zająknęła się raz czy dwa. Zamknęła oczy i oparła czoło o stół. Jej monotony głos brzmiał, jak gdyby mówiła sama do siebie. – Wtedy, jak przyszedłeś pierwszy raz... nie, nie tak. Policja obserwuje środowisko: Muchę, Ziomala i wielu



innych. Wiemy praktycznie wszystko, ale trzeba mocnych dowodów, żeby nie zgarniać samych płótek. Prawie niemożliwe jest umieszczenie wśród nich swojego człowieka, to są cholernie hermetyczne grupy. Każdy nowy musi być wprowadzony przez zaufańca, a do tego wykazać się natychmiast jakimś draństwem dużego kalibru, często zabójstwem. Doszło do nas, że Mucha jest pedofilem, a także, że ma problemy z osiągnięciem satysfakcji... no, nie staje mu przy kobietach. Może to dziwne, jednak to pierwsze nie przynosi ujmy w ich światku – w każdym razie, póki nie trafi się za kratki. Ale ze swoją impotencją krył się, jak tylko potrafił. Cholernie chciał uchodzić za macho, któremu niczego nie brakuje. Co jakiś czas sprowadzał sobie na kilka tygodni luksusową panienkę z zaprzyjaźnionej agencji – amatorki z ulicy są tańsze, ale mogą chlapać językiem – pokazywał się z nimi oficjalnie, bywał w paru miejscach... Nie były wtajemniczane w jego interesy. Jego ludzie mieli zakaz korzystania z ich wdzięków, dzięki czemu, gdy mijał termin, rozliczał się szybko, panienka lądowała w Niemczech albo w Holandii i nie było potem komplikacji. Ale wiadomo: komuś wymknęło się parę słów za dużo, zaczęły krążyć plotki. Jedną z panienek skłoniliśmy do szczerości... nieważne jak. Tym sposobem zostałam podstawiona... mniejsza o szczegóły.

Dobra była! Wręcz niesamowita! Jej zdolności aktorskie wołały o angaż w najlepszych teatrach Europy. Słuchałem z osłupieniem i mimowolnym podziwem coraz skłádniejszej relacji, ale ciągle nie wierzyłem, nie próbowałem nawet dopuścić do siebie myśli, że to może być prawda. Może i dałbym się znów omamić, ale jednego byłem pewien – nasza policja nie działa w taki sposób! Chociaż... gdyby jednak czasem działała, to przecież nikt by o tym nie wiedział, a już na pewno nie ja.

Sześćdziesiąt sekund dawno minęło.

– Jak przyszedłeś pierwszy raz do Muchy, nie miałam pojęcia, kim jesteś. Chciałam cię wy badać, skłonić do chlapania czegoś, pamiętasz... Chociaż nie wyglądałeś na faceta z branży.

– Co ty mi tu wciskasz?! Pozwalał obcej babie szwendać się po domu,

zostawiał jej taką swobodę?

– Jaką swobodę?! Były ściśle rozkazy, co wolno, a co nie. Gdzie można przebywać, a gdzie wstęp wzbroniony. Myślisz, że któraś pozwoliłaby sobie na olewanie jego rozkazów?

– Ale wpuściłaś mnie.

– Miałam za zadanie poznać jego kontakty, zebrać jak najwięcej informacji. Mogłeś być kurierem.

– Nagrałem się na sekretarce.

– Ale Muniek nie odsłuchał wcześniej, pewnie by mnie uprzedził. A potem oni niespodziewanie przyjechali i zobaczyłeś za dużo...

– No właśnie, przecież nie zabijałby tamtego gościa przy tobie! Mówiłaś, że dziewczyny nie były wtajemniczone...

– Miało mnie nie być w domu! Rano pojechał gdzieś ze swoimi ludźmi, a mnie dał wolne, miałam wrócić po południu.

– Jednak byłaś.

– Trochę już ich poznałam. Zawsze w takich wypadkach wracali w nocy albo rano. Chciałam poszperać w jego gabinecie i w innych miejscach.

– Przeszukiwałaś w szlafroku chałupę gangstera?! Gdyby cię nakrył...

– Nie mógł, Busior by mnie ostrzegł. Nikogo nie obchodziło, że snuję się w negliżu po domu. Wróciłam wcześniej i już.

– Czyli jesteś z policji, tak?

– Tak!

– I mam uwierzyć, że policjantka paraduje na golasa przed obcym facetem, żeby zdobyć informacje? Ślicznie by to wyglądało w protokóle śledztwa. Może jeszcze wskakuje...

– Och, zamknij się! Gównu wiesz! – Obróciła głowę i przewierciła mnie nienawistnym wzrokiem, jakby pragnęła dokładnie zapamiętać moje rysy. Bardzo nie podobało mi się to spojrzenie. – Nikt nie wydaje takich rozkazów, nie pisze się szczegółowych raportów ze wszystkich działań. Liczą się efekty. Jak się udaje dziwkę, to trzeba się tak zachowywać!

– A dzisiaj, tam na górze, nie musiałaś świecić...

– Ratowałam ci życie idioto! Musiałam za wszelką cenę zatrzymać cię w salonie. Udawali, że uciekają, potem wrócili po cichu, żeby zastawić pułapkę. Jakbyś wyszedł z domu, miałbyś w bebeczach pięć kilo ołowiu, zanim by sprawdzili, co za sukinsyn straszysz ich Ziomałem.

– Coś tu się nie zgadza: panience z agencji dali pistolet i kazali...

– Nic mi nie kazali. Miałam siedzieć zamknięta w sypialni, ale przypuszczałam, że to ty robisz im znów jakiś numer. Myślisz, że gliniarze to dzieci i nie zorientowali się, kto sieje smród wokół Muchy? A pistolet gazowy może mieć byle dziwka. Mogli załatwić cię z miejsca, ale bardziej byli zainteresowani moim widokiem. Chroniłam twoją dupę!

Ale nie uchroniłaś swojej – pomyślałem. Nagle dotarło do mnie, że jeśli mówi prawdę, to sytuacja potwornie się skomplikowała. W najbliższym czasie moim największym problemem wcale może nie być Muniek.

Rozpaczliwie próbowałem znaleźć jakąś lukę w jej opowieści.

– A cała chryja z teczką? Czemu po prostu mi jej nie zwróciłaś? Przecież słyszałem, jak mówisz, żeby chłopaki ubrali się normalnie i że najpierw mają załatwić moją żonę i córkę, a ty tymczasem bez problemu poradzisz sobie z palantem...

– Kurwa, ale ci się wszystko popierdoliło – podsumowała dobitnie moje wnioski. Słowa te jakoś dziwnie nie razily w jej ustach. – Jak zobaczyłam, co się dzieje, schowałam się w szafie w sypialni. Muniek musiałby mnie zabić, gdyby wiedział, że widziałam morderstwo. Na szczęście pojechali za tobą i nie mieli czasu rozejrzeć się po domu. Znalazłam teczkę i skontaktowałam się z tobą, żeby ci ją oddać. Skąd miałam wiedzieć, że nagrałeś się na sekretarce? Nie mam wstępu do gabinetu. A tam na tej twojej działce nie dzwoniłam do ludzi Muchy, tylko do swoich. Chłopaki, czyli policjanci, mieli być po prostu w cywilnych ciuchach. I cholera, nie mieli załatwić twoich bliskich, tylko ich znaleźć i przesłuchać, może przetrzymać trochę.

– Uciszyć...

– Tak się u nas mówi. To znaczy nie dopuścić do przecieków o naszej

akcji. Trzeba było znaleźć twoją żonę i córkę dla ich dobra, żeby nie wygadały się z czymś, nie spłoszyły Muchy. A przede wszystkim, żeby on nie dopadł ich wcześniej!

– Czemu zwyczajnie nie dałaś teczek swoim kumplom? Łatwo by mnie znaleźli.

– A w międzyczasie pobiegłbyś na policję! Sądziliśmy, że Mucha ma tam informatora, nikogo wysoko postawionego, ale wystarczyło słowo, żebym skończyła z podejrzanym gardłem. Nigdy by nie znaleźli mojego ciała. Jak syna Ziomała.

– O Boże, to nie ma sensu! Widziałaś morderstwo: jeden telefon i go mają! Po diabła takie manewry?

– Jakie morderstwo?! Wrzucili gościa do bagażnika, zanim pojechali za tobą. Wrócili terenówką, a samochód ze zwłokami jest na dnie jakiegoś jeziora. Nawet nie przypuszczają, że poza tobą ktoś jeszcze był w domu.

– Mogłaś powiedzieć, że jesteś z policji.

– A ty, oczywiście, natychmiast byś uwierzył?

– Legitymacja...

– Stuknij się w czaszkę, nie mogłam mieć przy sobie żadnych dokumentów, miałam udawać luksusową dziwkę! Może mi powiesz, gdzie powinnam schować legitymację...?

– Długo tu jesteś? – spytałem dla zyskania na czasie. – Dziwne, że jeszcze cię trzyma po ostatnich wydarzeniach.

– Nie powiązał mnie z tobą, ostatnio prawie nie było go w domu. Ufa mi, bo... nie musisz wszystkiego wiedzieć, tajemnica służbowa. A siedzę tu za długo! Mieliliśmy kończyć akcję w ciągu paru dni. Była nagrana prowokacja, kiedy ty się wmieszałeś ze swoimi pomysłami z komiksów. Wokół Muńka zrobił się szum i wszystko trafił szlag! Dla swoich jest trefny jak gówno na patelni, więc przywarował i rozgląda się dookoła, jak głuchy w filharmonii, bo nie wie dokładnie, co jest grane. Nie było praktycznie warunków do żadnej prowokacji czy znalezienia nowych dowodów. Ze cztery razy chcieli mnie odwołać, ale uparłam się, że skończę zadanie. Za wiele mnie kosztowało... – Milczała przez parę sekund, a potem szarpnęła się nagle. – Rozwiąż mnie wreszcie!

– A to? – wskazałem narzędzia, które upuściła na podłogę. Jak tonący brzytwy, chwyciłem się ostatniej możliwości znalezienia luk w jej wersji wydarzeń. – Do czego miało służyć?

– Nożyce do drutu mogły tu gdzieś leżeć, uwolniłeś jakoś rękę, znalazłeś je przypadkiem i przeciąłeś resztę więzów. Improvizowałam, ale nikt by specjalnie nie wnikał. A łomem miałeś wyłamać drzwi. Nie mogło być śladów mojej pomocy.

– A Ziomał? Rzeczywiście go załatwili?

– Tak.

– Policja pozwoliła...?

– Nie jestem jasnowidzem, a oni nie omawiali ze mną szczegółów. Zresztą nawet, gdybym wiedziała... – lekkim wzruszeniem ramion dała do zrozumienia, że nie zamierzała przeszkadzać bandytom w samodzielnym czyszczeniu swego podwórka.

To, co mówiła, miało ręce i nogi, choć podejrzewałem, że korzystając z okazji, nie odmówiłaby sobie przyjemności wypróbowania na mnie niekonwencjonalnych zastosowań przytaszczonych gadżetów. Czułem, że gdy tylko przetnę taśmę, role się odwróca i to ona zapagnie wymierzyć mi sprawiedliwość. Zdaje się, że skutecznie wybiłem jej z głowy, a raczej z innej części ciała, związany z wykonywanym zawodem nakaz niesienia pomocy obywatelom w każdej sytuacji. Jednak czas uciekał i musiałem w końcu coś zrobić.

Znalazłem jakiś gwóźdź i przerwałem nim taśmę obok prawej ręki, nieco wątpliwej obecnie, sojuszniczki. Uznałem, że teraz uwolni się dość łatwo, gdyż jej nieudane próby usunięcia się spod spadających razów mocno nadszarpnęły moje dzieło. Z nieprzyjemnym trzaskiem zaczęła zrywać więzy, a szybkość jej ruchów kazała mi natychmiast chwycić plecak i czym prędzej się ewakuować. Ścigały mnie jej wściekłe okrzyki:

– Czekaj... stój, palancie! Muszę ci coś powiedzieć!

W drzwiach obejrzałem się jeszcze, taśma dobrze trzymała się śliskiego materiału szlafroka, więc po prostu wyslizgnęła się z niego i już tylko nogi miała przymocowane do stołu. Widok ten, niewątpliwie fascynujący w innych okolicznościach, dał mi takiego kopa, że w paru

susach przemknąłem po schodach i popędzany jej przekleństwami wypadłem na dwór. Będąc już na murze, zerknąłem za siebie, ale podwórze było puste – widać chęć odwetu nie odebrała pechowej policjantce umiejętności właściwej oceny sytuacji i doszła do całkiem rozsądnego wniosku, iż gonienie mnie na golasa raczej nie rokuje powodzenia. Szybko dotarłem do malucha i odjechałem z miejsca kolejnego przestępstwa.

Był środek nocy, na szosie z rzadka pojawiały się jakieś światła. Jechałem wolno, pogrążony w niewesołych rozmyślaniach. Ale się narobiło... a raczej to ja narobiłem bigosu! Niech to wszystko szlag trafi! Zdaje się, że spieprzyłem koncertowo całą sprawę. Nie wyszłoby lepiej, gdybym celowo zamierzał utrudnić zadanie organom ścigania. Zamiast przekazać wszystko profesjonalistom i pozwolić im działać, zapragnąłem sam wymierzyć sprawiedliwość. Zdawało mi się, iż nie mam żadnego wyboru, bo Mucha może olać policję w błogim poczuciu bezkarności. A okazało się, że oni wcale nie spali! Mieli go prawie w garści, szykowali jakąś pułapkę, na co wmieszałem się ja ze swoimi kretyńskimi pomysłami. Narobiłem takiego burdelu, że Muniak nie mógł nawet pomyśleć o ładowaniu się w podejrzaną sytuację. Mało tego, dwa razy złożyłem porządnie tyłek policjantce na służbie i teraz mam na karku nie tylko bandytów, ale i gliny. Jola, czy jak tam się naprawdę nazywa, dodała oczywiście dwa do dwóch i wie doskonale, kto tak narozrabiał. Do tego jeszcze ten alarm bombowy w pubie – czegoś takiego nie puszczą płazem, szczególnie w obecnych czasach.

Cholera, chyba trochę za ostro zagrywałem! Tylko że co niby miałem robić?! Skąd miałem wiedzieć, że mają bandziora na widelcu i za kilka dni mogłem być zupełnie bezpieczny? Walczyłem o życie! Swoje, swoich bliskich i... tej cholernej Wandy. Każdy ma prawo się bać, gdy ktoś chce go zabić, i bronić się jak tylko potrafi. I wcale nie chciałem strugać bohatera! Pragnąłem tylko wrócić do tych, których kocham, znów cieszyć się drobiazgami i narzekać na swoją parszywą robotę. Chciałem zwyczajnie napić się czasem z kumplami, żeby w przypiływie animuszu dzielić się pomysłami na naprawienie świata i naszej parszywej doli.

\*\*\*

Jacek otworzył drzwi po pierwszym dzwonku i spytał bez wstępów:

– Jak poszło?

– Daj mi piwa i usiądź.

Wyczuł, że coś jest nie tak, bez słowa przyniósł z kuchni zapas uspokajacza.

– Sytuacja porąbała się diametralnie, leżę i kwiczę.

– Szybko opróżniłem puszkę i nerwowo zaciągnąłem się papierosem. – Ziomal nie żyje, a Jola jest glina!

– Co?! – Zakrztusił się browarem, aż nosem poszła mu piana. – Chcesz powiedzieć, że znów byłeś świadkiem morderstwa?! Jakim cudem wróciłeś w jednym kawałku...?

– Nie! Cholera, czekaj. To trzeba opowiedzieć po kolei: dopadli mnie, a konkretnie, to Jola mnie dorwała. Dwa dni temu załatwili Ziomala w jakiejś zasadzce i nie dali się nabrać. Udawali, że uciekają w popłochu, a tymczasem zaczęli się w ukryciu, żeby zwinąć i odpowiednio przycisnąć kawalarza.

– Zatem, kto cię złapał? – spytał rzeczowo. Doszedł już do siebie i swoim zwyczajem rozpatrywał sprawę jak czysto akademicki problem. – I jakim prawem jeszcze żyjesz?

Mnie samemu wydawało się to niewiarygodne. Po niesamowitych zwrotach akcji, jakich doświadczyłem, powinienem był wykitować ze cztery razy – jeśli nie od kuli, to na pewno na zawał serca. Jak tak dalej pójdzie, to w najlepszym razie skończę u czubków w stanie wykluczającym powrót do społeczeństwa. Co, nawiasem mówiąc, wydawało mi się całkiem sympatycznym rozwiązaniem moich kłopotów.

Może należało walczyć z otwartą przyłbicą? Kupić pod stadionem granat albo kałasza i załatwić gnoja. Stanąć odważnie naprzeciw niego i niech wygra lepszy! Jednak natychmiast przypomniało mi się rosyjskie porzekadło: wszyscy odważni już dawno nie żyją. A ja jakoś ciągle żyłem...

Jacek popatrzył na mnie uważnie. Nie przypuszczałem, by uważał mnie za ducha, jednak w jego wzroku dostrzegłem cię nieufności. Streściłem mu trochę nieskładnie najnowsze wydarzenia. Przemilczałem w pierwszej chwili swoje wychowawcze zabiegi względem Joli, ale cała historia stała się przez to nieco dziurawa i niewiarygodna.

– Czekał, to się nie trzyma kupy! – Mój kumpel natychmiast dostrzegł luki. – Ona jest wywiadowcą, tak? Więc czemu nie mamy na karku dziesięciu gliniarzy, którzy maglują nas do usranej śmierci?

– Musiałem spieprzać nie tylko przed bandziorami. Prawdę mówiąc, ona albo jej kumple chętnie połamają mi wszystkie gnaty. I nawet trudno mieć o to pretensję. Nie wiesz wszystkiego o nimfo... o Joli. – Zacerpnąłem powietrza i ciągnąłem z determinacją: – Wtedy, na mojej działce, rzeczywiście zostawiłem ją związaną, tylko że wcześniej...

Nie było rady, uzupełniłem z niejakim zażenowaniem luki dotyczące raczej nietypowych kontaktów z pewną częścią ciała mej dzisiejszej wybawicielki. Jacek po raz kolejny dał wyraz emocjom: złapał się za dredy i wyszeptał: O kurwa! Tym jednym, pełnym treści słowem określił swój stosunek do zaistniałej sytuacji, następnie zacisnął usta i popadł w zadumę. Nie mając akurat lepszego pomysłu, zająłem się dokładaniem usilnych starań, by zastąpić krążące w żyłach resztki adrenaliny alkoholem.

Nie wiem, czy sprawiło to wypite piwo, późna pora, czy może zbyt wiele rzeczy zważyło mi się nagle na głowę, gdyż dopadło mnie nagle znajome poczucie nierealności. Znow zacząłem podejrzewać, iż to wszystko, co przeszedłem, nie może dziać się naprawdę. Ktoś tak złośliwie inscenizuje kolejne sekwencje zdarzeń, żeby zapędzić mnie do domu wariatów. Tylko kto? Moja żona i... Jacek? Wyobrażenie ich sobie jako pary przychodziło mi z niejakim trudem, ale jednak przyjęcie takiego absurdałnego założenia sprawiło, że przyszłość rysowała się w zdecydowanie jaśniejszych barwach. Oczywiście wcale nie chcą mojej śmierci, w zupełności wystarczy im poprzestawianie paru klepek w mej skołatanej łepetynie, abym w rezultacie wylądował na resztkę życia u czubków. Nie ma sprawy – perspektywa wydała mi się całkiem błoga,



szczególnie wobec alternatywy, jaką szykowała mi nimfomanka do spółki z Muńkiem. A właśnie, ciekawe, czy są w zмовie z Muchą, czy tylko wykorzystali nadarzącą się okazję? Nie, udział Joli w całej imprezie był chyba zbyt bolesny, by przyjąć, iż wszystko było ukartowane. Chociaż... ona wygląda na całkiem dokładnie pomyloną. Może i jest policjantką, ale gdzie jest powiedziane, że nie pracują tam nimfomanki z masochistycznymi skłonnościami? Badają ich przed przyjęciem do służby, ktoś by zauważył... Akurat! Seksualne dewiacje wymagają odpowiednich okoliczności, by się w pełni ujawnić. Jasne! Zresztą nie miała pojęcia, jakie atrakcje jej zgotuję. Dzisiaj, gdy ją w końcu uwolniłem, wcale nie zamierzała połamać mi kości... gdybym tylko nie uciekł tak szybko...

Niepostrzeżenie zapadłem w półsen pełen obrazów wywołujących początkowo całkiem błogie doznania.

Znalazłem się w jasno oświetlonej pałacowej komnacie otoczony kamiennymi figurami zastygłymi w subtelnych pozach. Jola w swym zwiewnym, czerwonym szlafroku prowadziła mnie na środek sali do ogromnego łoża przykrytego złotą, atlasową narzutą. Dostrzegłem łańcuchy zwisające z filarów, na których umieszczony był baldachim. Moja towarzyszka z wielce obiecującym uśmiechem wskazała rozmaite narzędzia służące dostarczaniu perwersyjnych rozkoszy: skórzane bicze, kolczaste kule na długich rzemieniach, leżące na rozżarzonych węglach przyrządy do piętnowania i misternie wykończone, wysadzone szlachetnymi kamieniami szczypczyki do precyzyjnego wrywania kawałków ciała. Rozwiązała pasek, potrząsnęła ramionami i czerwony materiał zaczął spływać na ziemię tak powoli, jakby był utkany z pajęczyny. Z głębi komnaty nadpłynęły subtelne dźwięki barokowych instrumentów wygrywających Requiem Mozarta, kamienne postacie poruszyły się, zwracając oblicza w naszym kierunku. Niczym syrena wabiąca żeglarzy w morskie otchłanie, Jola wyszeptwała zmysłowym, pełnym uwodzicielskiego czaru głosem:

– Poldek... – mówiła dziwnie niskim głosem, skądś znajomym. – No, obudź się, kurwa! Nie zostawiłeś tam niczego? – Poczulem szturchnięcie

i zorientowałem się, że Jacek coś do mnie nawija. – Gdzie twój telefon?

Niezupełnie jeszcze przytomny, sięgnąłem do paska i wymacałem pusty pokrowiec.

– Nie wiem, pewnie to ona mi zabrała – stwierdziłem niefrasobliwie, aparat był przecież lewy i miał nową kartę. Myślni błądziłem jeszcze wśród swoich fantazji, zadając sobie w duchu pytanie, czy nie kryje się w nich odrobina prawdy o tej stukniętej policjantce. Albo o moich ukrytych pragnieniach. Podobno sny rodzą się w podświadomości, która potrafi dostrzec umykające jaźni sygnały. Napilem się piwa i coś przyszło mi do głowy. – Dawaj tamten numer i włóż nową kartę. Zadzwoń do Joli!

– Pijany jesteś?!

– Nie bój żaby. – Na pewno nie byłem całkiem trzeźwy. – Wyjaśnimy parę spraw... zorientujemy się w sytuacji.

– A jak odbierze Mucha?

– To co? Nie muszę się odzywać, ale coś mi mówi, że to ona wzięła mój telefon. Miała powody... Posłuchasz sobie, jak się rozmawia z policjantkami.

– Może lepiej ja zadzwonię?

– Nie! Spodziewa się mojego głosu, byłaby rozczarowana.

Spojrzał na mnie, jakby przymierzał mi w myślach kaftan bezpieczeństwa, ale w końcu wzruszył ramionami i sięgnął po nieużywany jeszcze aparat, który nabyłem kilka dni temu.

– Tylko nie wychlap, gdzie jesteś.

Starannie wybrałem numer utraconej komórki.

– Halo? – Nie była całkiem pewna, kto dzwoni, więc jej głos nie ujawniał żadnych emocji.

– To ja, Apoloniusz, wszystko w porządku?

– Ty stuknięty sukinsynu! – rąbnęła, chyba tylko dla rozgrzewki, bo natychmiast obrzuciła mnie stekiem tak obrazowych epitetów, że musiałem odsunąć telefon od ucha. Ze słuchawki płynęły kolejne, niezwykle treściwe epitety, odczuwałem je jak wbijanie gwoździ w czaszkę. Bezwiednie pomogła mi wrócić do rzeczywistości, choć

otrzeźwienie nie było przyjemne. Jacek słuchał z zamkniętymi oczami, kiwając głową, jakby przytakiwał mojej interlokutorce.

– Uspokój się, przecież mamy ten sam cel, jedziemy na jednym wózku... – spróbowałem przemówić jej do rozsądku.

– Nigdzie z tobą nie jade! Znowu spieprzyłeś nam akcję! – Usłyszałem, jak nabiera powietrza, szykując się do szczegółowego wyjaśnienia, co o mnie myśli. – Ty durny, popier...

– Zamknij się na chwilę! – jęknąłem rozpaczliwie, bo czułem, że umyka mi jedyna bezpieczna szansa dogadania się z nią. – Co mam zrobić, strzelić sobie w łeb?! Skąd miałem wiedzieć, że jakaś zboczona ninfomanka jest gliną? Pieprzony mafioso chciał zarębać mnie i moją rodzinę, a ty zachowywałaś się jakbyś zamierzała zrobić mi sekcję bez znieczulenia. Miałem usiąść i czekać, aż mnie załatwie?

Nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Już sądziłem, iż udało mi się trafić do jej sumienia, gdy wycedziła pełnym jadowitej słodyczy głosem:

– Wiesz, palancie, co z tobą zrobię, jak cię dopadnę?

– Rozkopiesz mój grób, żeby pastwić się nad zwłokami?

– Co ty znowu chrzanisz, jaki grób?

– Nie mogę iść na policję, bo moje zeznania go nie załatwią. Sama mówiłaś: nie ma ciała, nie ma dowodów. Więc jak ci się zdaje, ile czasu zdołam się ukrywać? Myślisz, że dopadniesz mnie pierwsza? Ja już mam dosyć, nie wiem, czy jutro nie skoczę z mostu. Może to go zadowolili i zostawi w spokoju moją żonę i córkę...

– No ty, nie dramatyzuj.

– Mówię, co myślę. Jedyna moja szansa w tym, że go zamknięcie na dobre albo że po zabiciu Ziomała przestało mu zależeć na mojej osobie.

– Pieprzysz! Posłuchaj mnie teraz uważnie: powiem ci, do kogo i gdzie masz się zgłosić... Jesteś tam?

Nic nie mówiłem. Od dłuższej chwili coś mnie niepokoiło, jakieś wrażenie na skraju świadomości rozpraszało uwagę i właśnie w tym momencie zdałem sobie sprawę, o co chodzi: słyszałem szum przechodzący momentami w warkot i jakieś przerywane rozmowy w tle. Jola jechała samochodem i do tego nie była w nim sama! Nie rozłączając

się, wsadziłem telefon pod poduszkę i szepnąłem do kumpla:

– Ona jedzie z kimś samochodem. Jeśli to wóz policyjny, mogą namierzyć telefon?

– Nie, musieliby włączyć się na linię, a i wtedy mogą określić tylko obszar, który obejmuje antena... ale lepiej nie gadaj za długo.

Sięgnąłem po aparat.

– ...zwij się, kurwa! – Jola najwyraźniej nie traciła nadziei na moją współpracę. – Zrozumiałeś, co masz zrobić?! Słyszysz mnie?

– Słyszę... że jedziesz samochodem. Co się dzieje?

– To się dzieje, że definitywnie rozpieprzyłeś nam akcję! Masz natychmiast zgłosić się...

– Przestań! Nigdzie nie pójde, dopóki mi nie wyjaśnisz, o co chodzi. Jaką akcję wam znowu rozpieprzyłem? Przecież uciekłem, zanim Mucha wrócił.

– Ty głąbie! Myślisz, że czemu zwolniliśmy go nagle w środku nocy? Z twojego powodu! Jak byłeś nieprzytomny, zadzwoniłam i kazałam go puścić, żeby jego ludzie musieli po niego jechać i nie dobierali się do ciebie. On sam miał odnieść wrażenie, że przestał nas obchodzić. I tak miał być niedługo zwolniony, bo mieliśmy naszykowaną prowokację, żeby go ostatecznie zhaltować. Wszystko zapięte na ostatni guzik, powinien wpaść w gówno po uszy. Zgadnij, co się stało, gdy wrócił do domu?

– Skąd mam wiedzieć?

– Po pięciu minutach znalazł jakieś gówno wyglądające na urządzenie podsłuchowe i dostał szału. Kazał przeszukać całą chałupę i mogłam tylko czekać, aż znajdzie... nie mogę ci zdradzać szczegółów działań operacyjnych. Góra uznała, że mój udział w operacji stał się zbyt niebezpieczny. To kwestia czasu, żeby zaczął mnie podejrzewać i kazał sprzątnąć, choćby na wszelki wypadek.

No tak, cholera, musiała mnie dostać – teraz miała ochotę nie tylko powyrywać mi nogi – chciała oficjalnie obarczyć mnie winą za niepowodzenie misji. Najgorsze, że miała całkowitą rację. Oto, czym się kończą amatorskie próby wymierzania sprawiedliwości. Na scenie

zaczynało robić się ciasno od postaci chcących mi dołożyć – spektakl był w rozkwicie i nie miałem szansy przeczekać go za kulisami.

Telefon zaczął parzyć mnie w rękę. Wdusiłem przycisk z czerwoną słuchawką, wyjąłem kartę i przełamałem. Cichy trzask zabrzmiał jak strzał z pistoletu z tłumikiem.

Jacek słyszał wszystko. Nie komentował. W milczeniu sączyliśmy piwo. Obaj wiedzieliśmy, że teraz nie ma już odwrotu. Trzeba działać zgodnie z planem, kontynuować akcję, aż do skutku. Jakikolwiek miałby nie być.

\*\*\*

Zaparkowałem na Targowej, pierwszy raz zadowolony z posiadania malucha, ponieważ i tak ledwie wcisnąłem go w lukę między samochodami o ludzkich gabarytach. Dalej postępowałem zgodnie ze wskazówkami Jacka, który swoimi kanałami zdobył niezbędne wiadomości. W przejściu podziemnym znalazłem automat do zdjęć i trzasnąłem cztery fotki. Po udałem się na Bazar Różyckiego i zacząłem krążyć między straganami, ignorując nagabywania handlarzy.

– Coś potrzeba? – chrapliwy głos z charakterystyczną cwaniacką manierą dobiegał gdzieś z boku.

Zrobiłem jeszcze parę kroków nim pojąłem, że pytanie skierowane było pod moim adresem. W małym zaułku między budami tkwił starszawy, nieogolony jegomość, który zerkał bezosobowo w moją stronę. Zbliżyłem się, wyjąłem papierosy i rzuciłem cicho:

– Szukam Staśka Lewego. – Nawet nie wiedziałem, czy było to nazwisko czy ksywka. – Jestem od Leszka z Bródna.

– Leszka...? – Kaprawe oczko prześwietliło mnie dokładnie, potem gostek utkwiał nieruchomy wzrok w głębi alejki. Nie zauważyłem tam niczego szczególnego, anonimowy tłumek kotłował się pozornie bez celu. Po chwili tubylec wycedził, nie patrząc w moim kierunku: – Przyjdź pan za pół godziny...

Odwróciłem się bez słowa, automatycznie dostosowując zachowanie do mało kontaktowego sposobu bycia pośrednika. Dagonił mnie

chropowatym szeptem:

– I daj pan na piwo.

Gdy wróciłem po wyznaczonym czasie, gość zawołał jakiegoś wyrostka, który poprowadził mnie w głąb bazaru do spróchniałej, odrapanej budy wyglądającej na opuszczoną parę lat temu. Wskazał drzwi i już go nie było. Zajrzałem niepewnie. W środku na jakiejś skrzyni siedział potwornie gruby facet. Nie był wysoki, ale jego tusza zdawała się wypełniać wnętrze tak dokładnie, że nawet nie próbowałem tam wchodzić.

– Co u Leszka? – zagaіło monstrum.

– Kazał powiedzieć, że Bardacha siedzi. – Nie miałem pojęcia, czy przekazana informacja była hasłem, czy tylko sprawdzianem, że istotnie znam kolesia z Bródna, lecz grubas kiwnął głową i gestem zaprosił mnie do środka.

Jednak zmieściłem się w budzie. Facet nie był pierwszej młodości, ale jego nalane rysy twarzy nie pozwalały określić dokładnie wieku. Sapał głośno, co i rusz wycierając czoło chustką. Zapach kazał podejrzewać, iż miejsce to służy bywalcom bazaru za bezpłatną toaletę lub też grubas cierpi na niepowstrzymane wiatry. Brak efektów dźwiękowych sugerował to pierwsze.

– Mały interesik? – Jak gdyby unikając kontaktu wzrokowego, zerknął gdzieś nisko w okolice mojej pachwiny. Z największym trudem zdusiłem podejrzenie, iż pytanie dotyczyło mojej anatomii.

– Tak, potrzebuję...

– Masz ochotę na kielicha? – przerwał mi, patrząc ciągle w tym samym kierunku. Poczułem, jak dziwnie kurczy mi się... to i owo.

– Jestem samochodem. Może następnym razem. Pokiwał w milczeniu głową, jakbym zdał kolejny egzamin. Albo po prostu lubił kiwać głową. Wyjął piersiówkę, pociągnął i natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Lewe białko?

– Dowód osobisty.

– Jak dobry ma być?

– Dobry? To znaczy...?

Grubas jednak lubił kiwać głową. I wyraźnie nienawidził kontaktu wzrokowego.

– Za pięćset masz zwykły, co go jakiś neptek zgubił po pijaku albo mu ukradli. Znajdzie się jakiś z podobnym do ciebie zdjęciem i wiekiem. Przez granicę nie przejdiesz, ale rower wodny ci wypożyczą i do biblioteki zapiszą. Gitara?

– Niezupełnie...

– Tak myślałem. Jeśli chcesz granicę przekroczyć szybko, skołuję ci ekspresowe białko, ale data ważności dwa dni maksymalnie. Chłopaki znajdują gościa twojej mniej więcej aparycji – wreszcie uniósł wzrok i przesunął po mojej twarzy, pewnie, żeby sprawdzić, na jakie trudności napotka ewentualne zlecenie. Albo chciał sprawdzić, czy słowo „aparycja” coś mi mówi. – Ich głowa, żeby przez dwa dni nie zgłaszała utraty dowodu. Ale to musi kosztować. A jeśli chcesz prawdziwy, z twoim zdjęciem, hologramem i resztą...

– Potrzebny mi taki za pięćset, możliwie dobry. Ile by kosztował oryginał z moim zdjęciem, namiarami, które podam, autentycznym hologramem i nietrefnym numerem? – Grubas zmrużył oczy. Zamówienie nie było typowe, taksa skoczyła w górę. – Wiem, że nie można będzie fikcyjnych danych umieścić w ewidencji, ale ma wystarczyć na pierwszą wizytę w... Zresztą, nie musisz wiedzieć.

– Dwanaście. U nas nie robią, czeka się cztery dni.

– Dam dziesięć za obydwu.

– Nie umiesz liczyć. W sumie będzie dwanaście i pół.

– Ale w hurcie... – Uznałem, że odrobina targów zrobi dobre wrażenie. – Mogę dać jedenaście.

Grubas tylko pokręcił przecząco głową. Wiedział, że i tak zapłacę, gdyż usługa jest raczej mało dostępna na rynku. Podałem mu swoje fotografie i podyktowałem z pamięci dane Muchy.

– Kasa. – Wyciągnął rękę.

– I więcej nie zobaczę ciebie i pieniędzy? – Zrobiłem ruch, jakbym zamierzał wyjść.

– Przynajmniej spróbowałem, nie? – Roześmiał się jak ropucha. –

Dwójka zaliczki.

Jednak cierpiał na wiatry, przymrużywszy oczy głośno wyrównał ciśnienie w jelitach, jakby pieczętował interes. Albo próbował zniechęcić mnie do dalszych negocjacji. Wręczyłem mu kasę.

– Za cztery dni tutaj o tej samej porze. I nie pałętaj się po terenie, przyjdź od razu tutaj.

Atmosfera zgęstniała do tego stopnia, że mimowolnie zastanawiałem się, gdzie skołować maskę gazową przed następnym spotkaniem. Moim jedynym pragnieniem było znaleźć się na zewnątrz.

\*\*\*

Zatrzymałem się przed kwiaciarnią i rzuciłem okiem na sztyld: wiązanki, kwiaty, wieńce, szarfy. Zawahałem się, zapaliłem papierosa.

Pomny ostatnich wydarzeń, żywiłem poważne wątpliwości, czy ta zabawa w kotka i myszkę z gangsterami zakończy się szczęśliwym finałem. Wczoraj, po zakończeniu mało budującej rozmowy z Jolą – ciągle ją tak nazywałem – początkowo zapadliśmy w jakiś rodzaj letargu wywołanego szokiem, jednak godzenie się z losem nie leżało w naturze mojego kumpla. Szybko otrząsnął się i zaczął analizować sytuację, by znaleźć jakieś wyjście z tego cholernego labiryntu, w który zabrnąłem na własną zgubę. Zwrócił mi uwagę, że sytuacja tylko pozornie jest patowa, wynik partii na pewno nie będzie remisowy. Efekt synergii działa, niezależnie od skutków ubocznych. Przekonywał mnie uparcie do kontynuowania przyjętej taktyki – osłabiać Muchę wszelkimi sposobami, a ponadto skierować przeciw niemu innych gangsterów. Śmierć Ziomala niewiele zmienia, bo mój wróg, jeśli nawet odpuści, to tylko pozornie. Nie będę znał dnia ni godziny. Może za miesiąc, może za rok dopadnie mnie, gdyż nie pozwoli, żeby taka bomba z opóźnionym zapłonem chodziła sobie spokojnie po ulicach. Moje zeznania, bezwartościowe w tej chwili, zawsze mogą nabrać wagi w świetle jakichś nowych okoliczności i stać się gwoździem do trumny. Jego trumny. Policja mnie ochroni? Jak długo? Do końca życia będą mnie pilnować? Zresztą jeśli do nich pójde, grozi mi dłuższe



odosobnienie za utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości i celowe wprowadzanie w błąd tudzież spowodowanie wywołanego fałszywym alarmem bombowym zamieszania w centrum stolicy. Niby nie mają konkretnych dowodów na mój udział w tym całym bajzlu, ale Jola już się postara, łatwo odnajdzie moje tropy i wysmaży odpowiednie zarzuty. Musiałem zgodzić się niechętnie, że siedzenie jak mysz pod miotłą nic mi nie da. Ziomal nie załatwi już za mnie sprawy, ale pozostawali inni. Trzeba tylko odpowiednio ich zmotywować.

Wyrzuciłem peta przez okno i wysiadłem z samochodu.

W kwiaciarni zamówiłem gustowny wieniec z odpowiednią dedykacją w imieniu Muchy. Jacek zdobył w internecie adresy kilku bosów przestępczego podziemia – nie musiał się nawet włamywać do policyjnych komputerów – wystarczyło odszukać strony poświęcone zagadnieniom zorganizowanej przestępczości. Wprawdzie rezultat mych poprzednich działań był nieco inny od zamierzonego, ale nie do końca z mojej winy, więc uznaliśmy, że można powtórzyć numer „kondolencyjny” wycelowany tym razem w konkurencję. Powinni odczytać to jako otwarte wypowiedzenie wojny przez Muńka i odpowiednio zareagować.

Klamka zapadła, skoro grałem dalej, to musiałem być konsekwentny. Wstąpiłem do paru zakładów pogrzebowych, uważając, by nie trafić do żadnego z odwiedzanych poprzednim razem, i już po południu zestawy w postaci wieńców z szarfami oraz najtańszych trumien szykowano do wysyłki. Następnie nadałem kilka listów z identyczną zawartością: białe wizytowe muchy z wyraźnymi plamami krwi. Początkowo chciałem użyć do produkcji tych niecodziennych laurek czerwonej farby, jednak Jacek stwierdził, że największy idiota wyczuje w tym głupi dowcip, a oni akurat wiedzą, jak wygląda i pachnie krew. Niechętnie przyznałem mu rację. Znow byłem zmuszony nabyć nieoskubaną kurę. Ciekawe, czy stary dredziarz potrafi gotować rosół?

Kolejne posunięcie było może mało finezyjne, jednak mój kumpel twierdził, że okaże się najskuteczniejsze z całego pakietu działań – by użyć nomenklatury militarnej – zaczepnych i nękających.

Następnego dnia z samego rana rozpocząłem objazd miasta, wypatrując uważnie typków z marginesu. Zadanie okazało się dość proste. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, ilu ich roi się w naszym pięknym mieście. Byli dosłownie wszędzie: snuli się pod sklepami, poszukiwali surowców wtórnych w śmietnikach, pilnowali parkingów, a ci, którym akurat się poszczęściło, sączyli najtańsze wynalazki w zacisznych parkowych alejkach. Brudne ciuchy, zniszczone oblicza i zafajdane życiorysy sprawiały, że omijano ich szerokim łukiem, jak gdyby mogli zarazić współobywateli czymś paskudnym. Niektórzy pewnie mogli.

Podchodziłem do nich i rzucałem zaaferowanym tonem:

– Powiedzcie chłopakom, że Mucha sypie! Gliny cheszą miasto! – Strzelałem wokół czujnym spojrzeniem, jakbym sam właśnie umknął z policyjnej obławy. Następnie dla podkreślenia powagi informacji dorzucałem uwagę w stylu: – Gienek już siedzi! Zhaltowali Kusego!

Delikwenci zwykle wywalali gały i otwierali szeroko zionące gorzelnia gęby, angażując resztki szarych komórek w dopasowanie swojsko brzmiących ksywek do znanych sobie osób. Dawałem im wtedy parę złotych na wino, pewien, że teraz łatwiej zapamiętają i puszczą w obieg ważne nowiny. Nawet jeśli nie kumali w czym rzecz, to przekaz był jasny – jakiś drań zwany Muchą sprzedaje psom ludzi z ferajny!

W międzyczasie odwiedzałem knajpy. Wypatrywałem stolików z szemranym towarzystwem, zaczynałem kelnera i prosiłem o przekazanie informacji w rodzaju:

– Mucha stuknął Ziomała, dogadał się z Padliną i koszą wszystkich równo z trawą! – Wsuwałem mu w rękę banknot i już mnie nie było. Dość szybko nabrałem wprawę w udawaniu swojaka, grobowym tonem głosu i posepnym spojrzeniem dając znać, że sprawa jest poważna jak ostatni sakrament.

Nawiedzając lepsze lokale, zmieniałem taktykę. Jeśli w środku byli goście określonego rodzaju – a łatwo takich poznać po ciuchach, których cena jest odwrotnie proporcjonalna do gustu, oraz po towarzystwie młodych ludzi markujących picie i rozglądających się z

wystudiowaną obojętnością – zahaczałem kogoś z obsługi. Wyciągałem z portfela złożoną karteczkę z nagryzmołonym komunikatem i banknotem. Ktoś, nie wiem kto, kazał mi przekazać informację panu przy tamtym stoliku... Personel zawsze usłużnie doręczał wiadomość.

Dzień był diabelnie pracowity, jednak nie ustawałem w sianiu plotek, bo coraz bardziej wciągało mnie udawanie tajemniczego Jamesa. Ponadto reakcje na moje kasandryczne teksty sugerowały, że w tym środowisku podobne rewelacje traktuje się wyjątkowo poważnie – ani razu nie dostrzegłem wzruszenia ramion czy pukania się w czoło. Czułem, że mój kumpel i tym razem miał rację – wiadomości dotrą właściwymi kanałami tam, gdzie trzeba, i wywołają niezły bajzel.

Na koniec zostawiłem bardziej ekskluzywne miejsca, potencjalnie stwarzające największą szansę trafienia, i tam już byłem ostrożniejszy. Improwizacja była dobra dla menelstwa.

Na Dworcu Centralnym kupiłem w kiosku z mydłem i powidłem zapalniczkę w kształcie pistoletu o naturalnych wymiarach i umieściłem zwyczajnie w bocznej kieszeni spodni. Wprawdzie ostatnimi czasy nie ruszałem się nigdzie bez paralizatora, jednak potrzebowałem czegoś bardziej wymownego. Następnie odwiedziłem kilka najlepszych i najdroższych salonów gier w Warszawie. Gdzie jak gdzie, ale tam zbierała się prawdziwa śmietanka – oprócz artystów, polityków z drugiego szeregu, biznesmenów i bogatych nierobów, bywały tam elitarne szumowiny półświatka, których spora część zasłużyła sobie na dożywocie w przytulnych apartamentach z kratami w oknach. Nawet nie próbowałem wchodzić do środka. Ochroniarze na widok mego, raczej pospolitego, ubioru przybierali postawę mającą zniechęcić do zakłócania spokoju sekty czcicieli mamony. Kilka kroków przed ich wyniosłymi sylwetkami zatrzymywałem się nagle, macałem telefon, jakby sprawdzając, czy alarm wibracyjny faktycznie sygnalizuje połączenie. Rzut oka na wyświetlacz, przez moment udawałem, że słucham w skupieniu hiobowych wieści. Po chwili odzywałem się scenicznym, pełnym niedowierzania szeptem:

– Co, zabił Ziomala?! – Ręką odruchowo sięgałem do kieszeni z atrapą

pistoletu, niby przypadkowo uwypuklając jego zarys. – Nie, nas Mucha nie ruszy... Co...?! Brejdaka Też?! Dobra, zwijam się! Nie, kurwa, ja mu nie powiem... po cholerę ma mnie z tym kojarzyć? Jeszcze mi życie miłe!

Ochroniarze zwykle zastygali jak trafieni strzałą Amora, chłonąc każde słowo. Trybiki w głowach powoli miały zasłyszane „przypadkiem” informacje. Oprócz mięśni mieli jeszcze wystarczająco dużo szarych komórek, by stwierdzić, że wiadomość może mieć całkiem wymierną wartość. Żeby dodatkowo ich zmotywować, brałem głęboki oddech i cedziłem ponurym tonem:

– Mucha zaczął wojnę i kosi konkurencję. Powiedzcie komu trzeba, za taką informację zapłacą złotem...

– Zanim mogli paść jakieś pytania, już mnie nie było.

Zmachany już byłem potwornie, zatem pojechałem na Starówkę uzupełnić kalorie. W Bazyliszku zafundowałem sobie spóźniony obiad na koszt Muńka. Na moje nieprofesjonalne oko nie było wśród gości nikogo z interesującej branży, jednak niewątpliwie bossowie zażywali rozkoszy podniebienia w poobnych lokalach. Wychodząc, rutynowo już odegrałem numer z telefonem i pokrzepiony wykwintnym posiłkiem ruszyłem w miasto, żeby dalej oczerniać swojego faworyta.

Jacek dopadł swoimi kanałami adres pewnej agencji towarzyskiej, której anonsów próżno by szukać w prasie czy na ulotkach z panienkami wkładanych za wycieraczki samochodów. Cóż, elity uwielbiają rozgłos, ale niekoniecznie związane z ich wyszukanyymi sposobami zaspokajania chuci. Udałem się tam na wszelki wypadek, aczkolwiek bez zbytniego entuzjazmu, gdyż nie widziałem możliwości dyskretnego przekazania gościom, zajęтым praktycznymi lekcjami anatomii tudzież poznawaniem zaawansowanych technik trwonienia swojego cennego materiału genetycznego, bombowych wieści. Solidna krata zagrządzająca wejście na podwórko przedwojennej kamienicy nie posiadała nawet domofonu – istnieje zbyt wiele sposobów ominięcia tego urządzenia – lokatorzy dysponowali kluczami, a klienci przybytku, który z biblioteką miał tyle wspólnego, że również bywał określany jako publiczny, wpuszczani byli przez indywiduum tkwiące po drugiej stronie kutej żelaznej bramy. Nie

próbowałem nawet zahaczać odźwiernego, gdyż moją uwagę przykuła zaparkowana nieopodal bryka przypominająca sylwetką przedwojennego mercedesa z wielkimi reflektorami i wysuniętymi progami, na których zwykli stawać osobnicy w prochowcach zaopatrzeni w plujące ogniem automaty. Oczywiście skojarzenie stylowej limuzyny z gangsterami miało swe źródło w amerykańskich filmach o mafii, a samochód mógł należeć do biznesmena, polityka lub zblazowanego serialową popularnością aktora, ale co z tego? Istniała spora szansa, że właściciel kosztownej zabawki ocierał się o interesujące mnie środowisko – czciciele mamony obracają się w podobnych kręgach – przy odrobinie szczęścia mógł nawet znać Muńka osobiście.

Zostawienie wiadomości za wycieraczką nie stanowiło problemu, zostało mi jeszcze kilka kartek z odpowiednim tekstem. Kierowca – jakże by inaczej, prowadzenie samochodu w stanie rozkojarzenia wywołanego erotycznymi wrażeniami i alkoholem należy powierzyć szoferowi – oparł głowę na kierownicy. Jednostajne ruchy pleców świadczyły, że uciął sobie drzemkę. Zbliżyłem się cicho z ręką w kieszeni, jednak widok leżącego na desce rozdzielczej telefonu podsunął mi nowy pomysł. Szybka od strony kierowcy była opuszczona, w środku nie zauważyłem innych pasażerów. Do przejścia miałem jeszcze dwa kroki, rozejrzałem się prędko, wyjąłem paralizator i przystawiłem gościowi do szyi. Zapewne przyśniło mu się, że trafił go piorun, bo szarpnął całym ciałem, następnie kurczowo chwycił za kierownicę i wbił w nią zęby, jakby chciał sprawdzić wytrzymałość kleju do protez. Po kilku sekundach oddalałem się z miejsca przestępstwa z ukradzionym telefonem w kieszeni.

Przy odrobinie szczęścia facet uzna incydent za pospolity rabunek i nawet nie przyzna się szefowi do straty.

W maluchu wyświetliłem menu i mozolnie wstukałem treść wiadomości: MUCHA SKREŚLIŁ ZIOMALĄ I PRZEJĄŁ TEREN. TERAZ SZUKA, WIESZ KOGO. PRZEKAŻ, ALE NIE MÓW, KTO CI TO NADAŁ! NIE ODDZWANIAJ!!!

Następnie przejrzałem pamięć numerów. Przeważnie wyskakiwały

same imiona, czasem opatrzone cyfrą. Podejrzywałem, że są to w większości podwładni znajomych pryncypała pechowego szofera, z którymi miał jakieś kontakty natury służbowej. Nie szkodzi – wiadomość była na tyle enigmatyczna, a równocześnie ważna, że odbiorca powinien potraktować ją poważnie. O ile, oczywiście, kierowca nie pracował dla jakiegoś przystojnego nieroba, który w tajemnicy przed przekwitłą już z lekka, ale za to nieprzyzwoicie bogatą małżonką, trwonił zaskórniaki w przybytku rozkoszy. Jednak i tak nie miałem jak tego sprawdzić, więc powysyłałem SMS-y na wszystkie wyświetlane numery. Aparat wyrzuciłem przez okno.

Było już po północy. Ciągłe szwendałem się po różnych, mniej lub bardziej obiecujących miejscach, podkładając świnie draniowi, który uważał, że nic ani nikt nie może go ruszyć. Nie ustawałem w wysiłkach, gdyż wiedziałem, że nie będę mógł powtórzyć tego numeru. Gdy plotka o krwiożerczym amoku Muńka, potwierdzona łatwym do sprawdzenia faktem udanego zamachu na Ziomała, rozleje się po mieście, spowoduje nerwowe ruchy i wzmożoną czujność środowiska. Gość roznoszący dalej te hiobowe wieści naraziłby się na niezdrową, aczkolwiek zupełnie naturalną ciekawość, czego zdecydowanie pragnąłem uniknąć.

Na ostatnich nogach zajrzałem jeszcze na dworce kolejowe. Nie zawiodłem się; narkomani w różnych stadiach odlotu byli łatwo odróżnialni od podróżnych oczekujących na jakieś nocne połączenia. Nie wiem, ile kosztuje działka – dawałem im po parę złotych, żywiąc nadzieję, że nie wystarczy to na złoty strzał, i z naciskiem kazałem przekazać wiadomość komu trzeba. Do rana kilku handlarzy oferujących bilety do wieczności dowie się o planach przetrzebienia konkurencji i przejęcia rynku przez Muchę. Już oni zaalarmują odpowiednich ludzi z branży.

Podczas gdy ja biegałem po mieście, kłapiąc dziobem wszędzie, gdzie tylko dostrzegałem obiecujących odbiorców moich rewelacji, Jacek także nie próżnował, jednak jego działania wycelowane były w bardziej konkretnych adresatów. Kiedy wreszcie dotarłem do chałupy, zaprezentował mi garść materiałów będących zbiorem co bardziej

soczystych fragmentów życiorysu Muchy – całkiem prawdziwych, lekko podkolorowanych oraz zupełnie wyspanych z palca. Wszystko sownie przyprawione wydarzeniami, które miały dopiero w życiu Muńka nastąpić, o czym on sam nie miał bladego pojęcia. Mój kumpel uznał, iż kilka samospełniających się przepowiedni ułatwi bandziorem z konkurencji podjęcie właściwych, z naszego punktu widzenia, decyzji. Wystarczyło teraz parę kliknięć myszą, aby redakcje zainteresowane tematyką zorganizowanej przestępczości otrzymały wyjątkowo smakowite kąski. Szczególnie liczyliśmy na szybką reakcję tabloidów lubujących się w sensacyjnej tematyce. Żeby nasze rewelacje były wiarygodne i łatwe do sprawdzenia, zamierzałem w kilku starannie wybranych miejscach posłużyć się sfabrykowanymi dokumentami Muchy. Lewe papiery z jego nazwiskiem miały się przydać wcześniej, niż przypuszczałem.

\*\*\*

Na bazarze panowało zwykłe zamieszanie. Ludzie pałętali się leniwie między straganami z badiwkiem, jakby przyszli tu jedynie dla relaksu. Na pierwszy rzut oka wszyscy zachowywali się podobnie: przebierali wśród tanich bubli z importu, świadomi, iż to tylko iluzja markowego towaru. Jednak gdy przyjrzeć się bliżej, dało się wyłowić z anonimowej cizby osoby, które raczej nie pojawiły się tam gnane potrzebą nabycia dóbr doczesnych. Dramatyczne przeżycia wyostrzyły widać mój instynkt, ponieważ dość łatwo odróżniałem ich od zwyczajnych obywateli – przeciętnie ubrani osobnicy snuli się bez celu, ich senne spojrzenia zdawały się ignorować otoczenie. Czasem przystanął taki, zapalił papierosa, rzucił parę słów do kolesia, który nawet nie odwracał głowy w jego kierunku. Zdradzała ich właśnie ta wystudiowana obojętność, mająca tylko jeden cel – nie rzucać się w oczy. Prawdopodobnie byli to wszelkiej maści obiboki, wypatrujący okazji do drobnego przekrętu. Wątpiłem, czy elita kieszonkowców i doliniarzy dorabia sobie w takim miejscu. Możliwe, że byli wśród nich tajniacy, nie potrafiłem jednak odfiltrować ich z grona błękitnych ptaków.

Dostrzegłem gościa, który skierował mnie poprzednio we właściwe miejsce, ale pomny wskazówek grubasa, nie dokonywałem tym razem żadnej gry wstępnej, by zaanonsować swoje przybycie. Udałem się niespiesznie, mając oczy z tyłu głowy, do budy, w której urzędował Stasiak Lewy. Przystanąłem jeszcze na moment i zapaliłem papierosa. Nie zauważyłem niczego podejrzanego, zapukałem z wahaniem w brudne deski, niepewny, czy to właściwy sposób powiadamiania o przybyciu. Ze środka doszedł niski pomruk. Uznając to za zaproszenie, obejrzałem się ostatni raz i pchnąłem drzwi. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o panującej w środku atmosferze i czym prędzej wyrzuciłem szluga, żeby przypadkiem nie wywołać eksplozji.

Grubas znów unikał patrzenia w moim kierunku.

– Kasa – wysapał bez żadnych wstępów.

– A mój towar?

– Będzie towar. Płacisz i masz.

Jego zachowanie wydało mi się cokolwiek podejrzanym. Nie miałem doświadczenia w załatwianiu szemranych interesów, więc po prostu wyjąłem pieniądze. Uznałem, że nic innego mi nie pozostało. Jeśli tłuścioch próbował mnie przekręcić, to pewnie jakoś się zabezpieczył. Przecież nie ukręcę mu łba. Najwyżej odejdę z niczym, ale przynajmniej w jednym kawałku.

– Czekaj tu... – Podniósł się ociężałe, niczym hipopotam udający się na żer. Przesunął się ku wyjściu, przyplaszczając mnie do ściany. – Nie wyłaż, ktoś ci zaraz przyniesie białko.

– Co jest grane?! – Grubas doskonale wiedział, że trafił leszcza, i nawet specjalnie się z tym nie krył. W żaden sposób nie mogłem mu zagrozić, ale nie chciałem wyjść na ostatniego frajera. – Chłopaki na Bródnie mówili, że nie robisz przewalów...

Obrócił się powoli i przez moment obserwował mnie jak psychiatra mający przed sobą kliniczne objawy rzadkiej umysłowej aberracji.

– Młody, jak ja bym tak załatwiał interesy, to bym już dawno mchem obrósł. Znam cię? Może jesteś tajniak? Albo jaki pismak, co próbuje zdobyć ochłapy dla swojego szmatławca. No powiedz, znam cię?



– Ja ciebie też nie...

– Nie znam! – przerwał mi z naciskiem. – Nie noszę niczego przy sobie. Jak masz ogona albo jesteś trefny, to mi możesz na kant naskoczyć i zjeżdżać jak po zjeżdżalni!

Trudno było odmówić logiki jego życiowej mądrości. Wątpliwości pozostały, lecz czułem, że niczego więcej nie wskóram – on był z branży i stawiał warunki.

Zapałilem papierosa. Buda na szczęście nie wyleciała w powietrze, widać siarkowodor nie osiągnął krytycznego stężenia. Zerknąłem na zegarek. Zdecydowałem, że zaczekam piętnaście minut i damę stąd dyla. Zdążyłem dwa razy się zaciągnąć, gdy drzwi odemknęły się z cichym zgrzytem. Stanął w nich jakiś wyrostek. Nie był to ten, który przyprowadził mnie tu poprzednio.

– Od Staśka jestem – rzucił sepleniącym głosem drobnego cwaniaczka i otaksował mnie bystrym spojrzeniem. Widać lustracja przebiegła pomyślnie, kiwnął głową i powiedział: – Mam cię zaprowadzić po towar.

– Gdzie? – Uspokoilem się trochę. Gdyby chcieli mnie wyrolować, to po prostu nikt by się tu nie pojawił i mógłbym tak siedzieć, aż korniki zeżrą tę spróchniałą budę.

– Tu, zaraz... – wykonał nieokreślony gest dłonią. Małolat powiodł mnie krętą drogą między straganami. Odniosłem wrażenie, jakby specjalnie kluczył, żebym stracił orientację. Nawet nie przypuszczałem, że można zabłądzić na terenie wielkości małego boiska piłkarskiego, który odwiedzałem przecież wcześniej dziesiątki razy. Szczeniak jednak przemieszczał się błyskawicznie, zniknął w jakichś prześwitach między budami, by wyłonić się w następnej alejce. Po paru minutach nie zwracałem już uwagi na otoczenie, tylko pilnowałem jego sylwetki. Gnojek niespodziewanie zanurkował pod jakieś wiszące na wieszakach ciuchy i... tyle go widziałem. Spróbowałem podążyć jego śladem, precyzyjnie się wśród kołyszących się jeszcze ubrań i ujrzałem wąskie przejście. Choć nie sądziłem, by coś mi to dało, wlałem tam. Zrobiłem może dwa kroki, gdy wyczułem czyjąś obecność za plecami. Nie

zdążyłem się odwrócić, ktoś chwycił mnie mocno z tyłu, przyciskając ręce do tułowia, równocześnie głowę spowiła mi gruba tkanina. Ogromna łapa zacisnęła mi się na ustach, tłumiąc wszelkie próby wzywania pomocy. Ledwie mogłem oddychać. Bezceremonialnie popychany przebierałem nogami, usiłując nie przewrócić się na nierównej drodze. Po chwili mocne szarpnięcie osadziło mnie na miejscu i poczułem, że jestem krępowany jakimś sznurem. Wszystko przebiegło sprawnie, nie miałem szansy na jakikolwiek opór i nawet nie zdążyłem się na dobre przestraszyć. Ktoś złapał mnie za kark, przygiął i popchnął mocno do przodu. Wylądowałem twardo w ciasnym wnętrzu, jakby skrzyni. Silne ręce brutalnie przekreśliły mnie na bok, upychając do środka podkurczone nogi. Nad głową coś trzasnęło niczym opadające wieko trumny.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i wreszcie zacząłem się bać. Tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Sparaliżowany trwogą, niezdolny do myślenia czekałem, aż coś się stanie... usłyszę szczęk przeładowywanego karabinu albo spadające z góry grudy ziemi...

Nagle zawarczał głucho silnik, zapiszczały opony startującej ostro bryki, małe więzienie zatrzęsło się całe. Byłem w bagażniku samochodu! Wystarczyła sekunda, by moja skołowana głowa dodała dwa do dwóch i wszystko stało się jasne.

Mucha mnie wreszcie namierzył.

Nie traciłem czasu na rozważania, co takiego spieprzyłem tym razem. Byłem zbyt przerażony, by myśleć racjonalnie. Wiedziałem tylko, że jadę w jedną stronę i nie mam najmniejszej szansy wyjść z tego cało. Ktoś mi pomoże? Jacek nie wie, co się dzieje. Jola...? Nie zdąży, nawet gdyby jakimś cudem dowiedziała się o moim położeniu. I nawet gdyby chciała mi pomóc. Może to nie Mucha? A kto, kurwa?! Harcerze?

Zaczęło brakować mi powietrza. Szarpnąłem się panicznie, zaciśnięte fachowo więzy nie puściły ani odrobinę. Rozpaczliwie chciałem przekreślić się w taki sposób, by spróbować wypchnąć plecami kłapę bagażnika, ale było zbyt ciasno. Klaustrofobiczne wrażenia pogłębiły tylko lęk. Omotany jak mumia, czując coraz szybsze kołatanie serca,

wiełem się w bezradnych wysiłkach rozwalenia ciasnej trumny, aż wreszcie zacząłem naprawdę się dusić. Ciężki mrok otulił litościwie zmysły niczym opaska oczy skazańca. Straciłem przytomność.

\*\*\*

Nic nie czułem oprócz błędnego wrażenia unoszenia się w przestrzeni. Czas przestał płynąć, wszystko było nieskończone i bezcielesne. Pamięć przeszłości zastąpiło przekonanie o absolutnym porządku, którego jestem częścią. Świadomość ogarniała nieskończony wszechświat i w jakimś swoim mikroskopijnym zakamarku dziwiła się, czemu tamta istotka, której życie nie było nawet mgnieniem w beczasowym trwaniu Wszecrzeczy, tak bardzo bała się śmierci będącej tylko przejściem na drugą stronę. Tu był spokój...

Ktoś coś mówił podniesionym głosem, ale nic mnie to nie obchodziło... Przynajmniej dopóki nie poczułem lodowatego strumienia wody, który chlusnął mi nagle na głowę. Odemknąłem powieki i na tle szarej betonowej ściany ujrzałem nogi w ciężkich buciorach.

– Dobra, obudził się! Wołaj starego.

Dudniący głos dochodził jakby z głębi studni. W jednym błysku wróciła pamięć, a wraz z nią strach. Rozległy się ciężkie kroki. Silne ręce chwyciły mnie za fraki i oparły o ścianę. Oddychałem płytko, ściśnięte łękiem płuca ledwie pobierały powietrze przesycone zapachem smarów i benzyny. Znajdowałem się w jakimś garażu, tak zawałonym częściami samochodowymi, że nie było mowy, by mogło wjechać tu jeszcze auto. Typ o ostrych, trochę wschodnich rysach twarzy spacerował po pomieszczeniu, paląc papierosa i nie zwracając na mnie szczególnej uwagi. Bo i po co? – profesjonalści nie zaprzatają sobie głowy takimi drobiazgami, jak jeszcze jedna egzekucja. Mucha wyda rozkaz, on go wykona dokładnie i beznamytnie. Potem zapali papierosa.

– Daj zapalić... – wychrypiałem z trudem ostatnią prośbę skazańca.

Typ bez słowa podsunął mi szluga. Próbowałem potraktować to jako dobry znak, ale jakoś nie bardzo się udawało. Wyświechtany motyw, skojarzenie okazało się zbyt oczywiste.

Wchłaniałem łapczywie dym, niczym narkozę mającą pogрузić mnie w niebycie. Przechucie tego, co mnie czeka, sprawiło, że odliczyłem każdą upływającą sekundę. Ważna była tylko terażniejszość. Wszystkie problemy świata stały się błahe i odległe o lata świetlne.

Zza uchylonych drzwi dobiegały coraz głośniejsze kroki. Starłem się nie patrzeć w tamtą stronę, w beznadziejnej ułudzie, że zyskam tym strusim wybiegiem parę dodatkowych chwil życia. Do pomieszczenia wmaszerowało kilka osób. Zaciągnąłem się głęboko.

– No dobra, Żabol, gadaj, kto ty jesteś?! – Szorstki, lekko skrzeczący głos nie należał do Muchy! Niski facet w ciemnej marynarce podszedł blisko, świdrując mnie świńskimi oczkami. – No już!

– Ja... – przez sekundę zastanowiłem się nad sensem pytania, spoglądając jednocześnie w kierunku wejścia. Muniek nadal się nie pojawiał. Jakaś cząstka świadomości przyswajała ten fakt, ale nie wiedziała jeszcze, co to dla mnie oznacza. – No... Apoloniusz...

– Żabol, nie gadaj mi tu pierdół! Czego chcesz od Muchy? Po co ci jego lewe papiery? – Wsadził kosmate łapska do kieszeni i przekrzywił głowę. Ochrzcilem go w myślach mianem Psiej Gęby, bo twarz miał dziwnie podobną do płaskiej mordy pekińczyka. Słyszałem, że to dość wredne stworzenia. – Coś mi się zdaje, że dużo o nim wiesz? Co to, kurwa, za zamieszanie z tym popaprańcem?!

Jego wypowiedź sugerowała, iż mój stary i aktualny prześladowca raczej nie byli przyjaciółmi. Budziło to niejaką nadzieję, toteż nie próbowałem żadnych łgarstw. Zresztą miejsce i okoliczności nie skłaniały umysłu do twórczej konfabulacji.

– On... no, kiedyś poszedłem do niego. Jestem... byłem agentem... – Widząc niebezpieczny błysk w jego oczkach, uściśliłem pośpiesznie: – agentem ubezpieczeniowym. Nie było go w domu, przyjęła mnie jego przyjaciółka. Potem on przyjechał i zobaczyłem przypadkiem...

Ani słowem nie przerywał mojej nieskładnej opowieści. Resztki instynktu samozachowawczego ostrzegały mnie słabo przed absolutną szczerością, jednak z drugiej strony coś mi szeptało, iż mój słuchacz nie utrzymuje zbyt zażyłych stosunków z Muchą. Trudno było rozpoznać

uczucia pojawiające się na tej jego psiej twarzyczce, ale w miarę przyswajania całej tragikomicznej historii facjata gościa wyraźnie pogodziła. Gdy opisywałem przeróżne świństwa wyczyniane w imieniu i na konto Muchy, facet coraz szerzej otwierał chytre ślepka i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Pieprzysz, Żabol... Trumny i wieńce to twoja robota?! Darmowa stypa? Co to miało być, kabaret?

– Nie, nie kabaret... Efekt synergii.

Jego towarzysze przerwali rozmowy i wszyscy otoczyli mnie ciasnym kręgiem. Resztki zdrowego rozsądku kazały mi przemilczeć wątek Joli – wystarczająco sknociłem jej sprawę, by dodatkowo informować bandziorów o roli pokręconej policjantki w całej aferze. O Jacku też udało mi się nie wspomnieć. Czuję już, że opuszczę to piękne miejsce w jednym kawałku. Ośmielony wyraźną aprobatą ze strony słuchaczy zrelacjonowałem dość szczegółowo ostatnie wydarzenia, mające ustawić Muchę w roli tarczy strzelniczej. Mężczyźni w milczeniu chłonęli rewelacje, Psia Gęba kiwał głową, jakby dziwiąc się, że sam nie wpadł na taki prosty numer.

– Skądś ty się urwał, Żabol?! Takimi figlami to ty go nie załatwisz... – pokręcił głową, ale jakoś bez przekonania. – Chociaż, kto wie? Podobno boi się pokazać na mieście. Skitrał dupę i nikt nie wie, co kombinuje. Gdybyś wiedział, jakiego narobiłeś mu smrodu...

– Muchy lubią gówno! – zauważył któryś z mężczyzn i cała bandycka ferajna ryknęła śmiechem.

Atmosfera zrobiła się prawie sielankowa. Faceci rechotali, z wyraźną satysfakcją komentując tarapaty, w jakie wpędziłem Muńka. Nikt nie zwracał uwagi na moją skromną osobę. Psia Gęba nie uczestniczył w ogólnej wesołości, wyraźnie nad czymś się zastanawiał. Uciszył swoich ludzi jednym ruchem ręki i rzucił:

– Na górę wszyscy! Kajtek, przyniesiesz papiery, ręcznik i... – zerknął na mnie – coś do picia.

Zostaliśmy sami. Po chwili goryłowaty koleś o twarzy boksera z wyraźnie ujemnym bilansem zwycięstw postawił na jakiejś skrzynce

ciemną butelkę ze szklankami, rzucił mi ręcznik, wręczył szefowi szarą kopertę i zniknął. Wytarłem włosy i twarz, na szczęście ubranie miałem prawie suche.

Mój towarzysz szczerze napełnił szkło.

– Chciałeś mieć lewe dokumenty, kumam, tylko powiedz jeszcze, Żabol, po kiego wała potrzebne ci jego papiery z twoim zdjęciem?

– No, pomyśleli... pomyślałem, że pójdę w parę miejsc i posłużę się nimi... że niby to on. – Z pewnym trudem podniosłem się na nogi i trochę obolały pokuśtykałem w jego stronę.

– Jakich miejsc?

Dla zyskania na czasie sięgnąłem po szklankę i pociągnąłem nieostrożnie kilka łyków. Przez dłuższą chwilę łapałem powietrze jak ryba. Ciemny płyn okazał się koniakiem.

– Gadaj!

Uznałem, iż niczym mi to nie grozi, więc mu powiedziałem. Wyrzeczył gały, jakbym zaproponował mu sesję w „Playboyu”. Łyknął zdrowo i teraz on wyglądał, jakby napił się denaturatu.

– Kurwa! – nuta uznania w jego głosie sprawiła mi niejaką satysfakcję. Nie obawiałem się już o życie i nawet przemknęła mi myśl, że być może zyskałem nieoczekiwanego sprzymierzeńca.

– Może i nie załatwię go własnymi rękami, za słaby jestem, ale może kogoś sprowokuję? – Alkohol dodał mi odwagi, czyhałem uważnie na jego reakcję.

– He, he... jest ugotowany. – Znów spojrział z namysłem, który wcale mi się nie podobał. – Wszystkiego nie wypucowałeś... Sam nie dałbyś rady narobić tyle burdelu. Kto ci pomaga, gliny...? Nie, doszłoby do mnie, zresztą nie te metody.

– A widziałeś kogoś na bazarze? – Łyknąłem, tym razem ostrożniej, żeby znów zyskać trochę czasu. – Nie dałbym się tak zgarnąć jak byle neptek. Nie mam obstawy, nie mam do kogo się zwrócić.

– Nie pierdol mi tu, Żabol, głodnych kawałków, bo za cienki jesteś! Potrzebowałeś szmalu, bezpiecznej meliny i dojścia do informacji. Kto za tobą stoi?

– Nie powiem! Co cię to, kurwa, obchodzi? Wszyscy, łącznie z glinami, chętnie by mi zrobili kuku, a Jola... – na dźwięk tego imienia źrenice Psiej Gęby zabłyśły czujnie. Przyhamowałem instynktownie i spróbowałem zagrać na inną nutę: – Mam kapować kogoś, kto wyciąga mnie z szamba, ryzykując, że sam się w nim utopi?

– Dobra – zgodził się niespodziewanie. – Mam to w dupie. Trzymaj i wracaj do roboty.

Podał mi szarą kopertę, w której były dokumenty stworzone przez Staśka Lewego. Przyjrzałem się im pobieżnie. Jak na moje niefachowe oko podróba była idealna. Niewiele myśląc, skierowałem się do drzwi, którymi wyszła reszta towarzystwa.

– Gdzie leziesz, pozwoliłem ci?! – osadził mnie na miejscu. – Jeszcze ze sobą nie skończyliśmy... – Zmrużył swoje małe psie oczka, które momentalnie zmieniły wyraz. Już nie wydawały się wredne. To było spojrzenie kata. Uświadomiłem sobie, że pod nikczemną fizjonomią kryje się dusza bezwzględego bandziora. W tej branży nie osiąga się sukcesu, przeprowadzając staruszki przez jezdnię czy też zdejmując zmarznięte wróbelki z gałęzi. Lepiej nasikać z bliska na przewody wysokiego napięcia, niż olewać takiego gościa. – Żaból, jeśli nie chcesz mieć więcej kłopotów, niż masz, to zapomnij, że w ogóle mnie spotkałeś! Nie wiesz, kto ja jestem i gdzie mieszkam. Tak ma zostać, nawet nie próbuj za mną węszyć.

Przyglądał mi się przez chwilę wzrokiem wymowniejszym od nekrologu w gazecie.

– Chłopaki cię odwiozą.

Zawołał swoich ludzi. Znów założyli mi na głowę worek i wsadzili do bagażnika. Nie opierałem się i nie dyskutowałem, wychodząc z założenia, że wykorzystałem już na dziś limit szczęścia przewidziany przez wariata, który tasuje karty z wypisanym przeznaczeniem. Tym razem nie uznali za stosowne wiązać mi kończyn. Podróż w ciemnym i ciasnym wnętrzu miała posmak tortury, jaką może być zamknięcie żywcem w trumnie, tym bardziej że trwała – jak mi się zdawało – koszmarnie długo. Nie musieli zamykać mnie w bagażniku – zrobili to

specjalnie, żebym łatwiej zapomniał o przyjemniaczku z twarzą pekińczyka. Oddychałem płytko i starałem się nie poruszać, jednak coraz bardziej brakowało mi powietrza i powoli zapadałem w letarg.

W pewnym momencie wydało mi się, że trumna się zatrzymała. Usłyszałem przytłumione głosy, trzaśnięcie drzwiczek, ale zaczynałem już odlatywać. Z ulgą poczułem, że ktoś wywleka mnie z bagażnika i zdejmuje worek z głowy. Wysadzili mnie w jakiejś ciemnej bramie na Starej Pradze. Zachłannie chwyciłem powietrze przesycone zapachem moczu, zagrzybionych murów i spalin, niczym topielec w ostatniej chwili wyciągnięty z wody. Gdy chciałem odejść bez słowa, jedna z postaci przytrzymała mnie brutalnie za fraki.

– Trzymaj. – Włożył mi do ręki jakiś świstek. – To numer telefonu. Wiesz kogo... Ale lepiej dla ciebie, żebyś nigdy go nie użył!

W pełni podzielałem tę opinię. Spojrzałem tępo na kartkę, a gdy podniosłem wzrok, w bramie nie było już nikogo. Wyszedłem na ulicę i stwierdziłem, że jestem niedaleko Targowej. W kilka minut dotarłem do bazaru, gdzie zostawiłem swój skromny środek lokomocji.

Podniesiony na duchu, głównie dzięki krążącemu w żyłach koniakowi, a także poczuciu, że to, co robię, przynosi efekty – najlepszy dowód, iż wyszedłem cało ze spotkania z Psią Gębą – postanowiłem kuć żelazo póki gorące i niezwłocznie przystąpić do realizacji pomysłu mającego ostatecznie pograć Muchę. Niezbędne gadżety miałem przygotowane. Pojechałem pod jeden z adresów, które Jacek wyszukał w internecie. Gdyby po drodze zatrzymała mnie policja, poziom alkoholu we krwi gwarantował, że nie dane mi będzie wrócić dziś do domu, ale jakoś o tym nie myślałem. Beztrąsko wykorzystywałem rozmiary malucha do lawirowania po zakorkowanych ulicach, ignorując zawistne spojrzenia posiadaczy pełnogabarytowych samochodów. Zapewne jedynym przepisem, którego nie złamałem, było ograniczenie prędkości. Dopadło mnie znajome poczucie, iż nie jestem panem swego losu. Ktoś przydzielił już role w tej farsie, zapomniał tylko dać mi scenariusz. I dobrze, czasem tylko nieznajomość przyszłych wydarzeń pozwala brnąć do przodu.



Zaparkowałem pod przeszkloną fasadą niskiego budynku o nowoczesnej formie niesymetrycznych brył, którego projektant musiał być miłośnikiem kubizmu, w dostojnym sąsiedztwie eleganckiej limuzyny i mercedesa z przyciemnionymi szybami. Na tablicy rejestracyjnej limuzyny widniało jedno słowo: NIUNIA. Klienci przybytku wyraźnie śmierzdźli forszą. Po krótkim namyśle odjechałem kawałek dalej i stanąłem w cieniu drzew za rogiem. Założyłem na głowę ciemnobrązową perukę, wysiadłem ze swojej puszki szprotek i wciągnąłem szybko dwa swetry, obszerną koszulę mojego kumpla, a na wierzch jego marynarkę. Wielkie okulary przeciwsłoneczne dopełniły całości. Wyglądałem jak uciekinier z domu wariatów przebrany za dyrektora tegoż zakładu, ale o to właśnie mi chodziło - nieudolny kamuflaż mógł kryć dosłownie każdego. Najważniejsze, by nikt nie był w stanie podać rysopisu przebierańca i przysiąc, że nie był nim Mucha. Jednak spojrzenie na własne odbicie w szybie odebrało mi nieco animuszu – farsa zdawała się szyta zbyt grubymi nićmi i nie bardzo mogłem uwierzyć, że cokolwiek tym razem osiągnę. Nieważne, akurat nic nie ryzykowałem, więc co ma być, to będzie – najwyżej odejdę z kwitkiem.

Nastawiony na wielką improwizację i gotów do nagłego odwrotu pchnąłem szklane drzwi. Całkiem udana podróbka Barbie siedziała za ogromną ladą ze sztucznego marmuru, przypominającą raczej recepcję pięciogwiazdkowego hotelu niż rejestrację w klinice chirurgii plastycznej. Wrażenia dopełniały fotele ze skóry w jakimś mdławo-zielonym odcieniu ustawione wśród rozłożystych palm. Oczywiście plastikowych.

Rząd wpuszczonych w sufit lampek rzucał błękitne i różowe refleksy, dzięki którym cukierkowa blondynka wyglądała jeszcze bardziej lalkowato. W poczekalni nie było nikogo. Podszedłem do panienki, rozglądając się ukradkiem, jakbym miał obsesję na punkcie dyskrecji, i zalogowałem się półszepsem:

- Chciałbym się zobaczyć z lekarzem... w sprawie operacji.
- Oczywiście. – Ucieleśniona afirmacja walki z tyranią natury w żaden

sposób nie zareagowała na mój idiotyczny wygląd, najwyraźniej przyzwyczajona do fanaberii gości próbujących nieudolnie ukrywać prawdziwe, a częściej wyimaginowane wady fizjonomii. Wzrok miała dyskretnie utkwiony w klawiaturze. – To pana pierwsza wizyta?

– Tak. I nie chciałbym, żeby ktoś mnie tu...

– Oczywiście – powtórzyła. Nabrała głęboko powietrza, napompowane silikonem implanty groziły rozsądzeniem bluzki. Gdyby zatrudnił ją jakiś dentysta, mógłby sporo zaoszczędzić na znieczuleniu. Faceci sami rozdziawialiby gęby na taki widok. – Poproszę najpierw o pańskie dane personalne.

– No właśnie... tego chciałbym uniknąć. Chodzi mi tylko o konsultację. Rzecz jasna zapłacę...

– Proszę pana... – Uniosła spojrzenie. Natychmiast zasłoniłem dłonią część twarzy, niby trzeciorzędny polityk, który odwiedza incognito dom publiczny. Babka taktownie przysłoniła rzęsami oczy. – Gwarantujemy naszym klientom całkowitą anonimowość, ale potrzebne nam dane pacjenta. Przy wykonywaniu zabiegów medycznych jest to absolutny wymóg prawny, którego nie wolno nam zignorować ani obejść. Personalna pacjentów, a także przebieg... leczenia objęte są ścisłą tajemnicą.

– A czy później... po operacji można będzie usunąć moje dane? To dla mnie bardzo ważne!

– Może pan być spokojny. – Właściwie nie odpowiedziała na pytanie, jednak nie naciskałem dalej. Nie zależało mi wcale na ochronie „moich” danych. Wręcz przeciwnie.

– Nazywam się...

– Bardzo pana przepraszam, ale potrzebny jest jakiś dokument. Jak już mówiłam, personalia pacjentów nas nie interesują, jednak zabiegi muszą być udokumentowane. – Podziwiałem ją w duchu, gdyż ani na moment nie straciła cierpliwości. Musieli jej nieźle płacić.

Rozejrzałem się nieco spłoszony i z wahaniem sięgnąłem do kieszeni. Podsunąłem jej dowód z danymi Muchy, kciukiem zasłaniając zdjęcie. Trzymałem go w taki sposób, by wiedziała, że nie wypuszczę z ręki

bezcennego dokumentu. Szybko przebiegła palcami po klawiaturze.

– Proszę chwilę zaczekać. Doktor Lewandowski zaraz pana przyjmie. – Wskazała mi fotel w przestronnej poczekalni. Poczekala, aż oddalę się nieco, i sięgnęła po słuchawkę. Mówiła bardzo cicho, zapewne uprzedzając lekarza o nietypowych fochach pacjenta. Zresztą, może nie takich znów nietypowych?

Zapadłem się w miękkim, skórzanym siedzisku i dyskretnie nastawiłem budzik w telefonie. Miał zadzwonić za dziesięć minut. Po chwili panienska odłożyła słuchawkę i poprowadziła mnie korytarzem do obitych skórą drzwi. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem.

Gabinet sprawiał wrażenie pokoju w kancelarii adwokackiej. Na ścianach wisiały oprawione w złote ramki dyplomy i certyfikaty. Za wielkim mahoniowym biurkiem siedział wymuskany jegomość w średnim wieku ubrany w kosztowny garnitur. Promieniał zdrowiem i życzliwością. Odniosłem nieodparte wrażenie, że znów spoglądam na żywą reklamę możliwości chirurgii plastycznej.

– Witam pana, proszę usiąść. – Poprawił jakąś broszurę na biurku. Pomyślałem, że zaraz zaprezentuje mi swoje zdjęcie sprzed operacji: łysawy garbus z monsturalną brodawką na nosie, którego zwyrodniałe oblicze pozwalało statystować w horrorach bez dodatkowej charakteryzacji.

– Dzień dobry. – Czujęm spływające spod peruki słone krople. Wyjąłem chusteczkę i wytarłem czoło. – Panie doktorze, chodzi mi o poważny zabieg. Pieniądze naprawdę nie grają roli, najważniejsza jest absolutna dyskrecja!

– To zupełnie naturalne, może pan być spokojny. Ze względu na rodzaj naszej pracy chronimy dane pacjentów szczególnie starannie. Na początek proszę mi powiedzieć, czego pan oczekuje.

– No... muszę całkowicie zmienić wygląd. Nos, uszy, kształt twarzy.

– Rozumiem, chciałby pan dokonać pewnej korekty elementów powierzchowności. Chodzi o poprawienie prezencji. Każdy ma jakieś większe lub mniejsze zastrzeżenia co do swojej urody... – gość wyraźnie pragnął dodać mi otuchy. Zaprezentował w uśmiechu rząd idealnie

równych zębów i kontynuował tonem telewizyjnego kaznodziei: – Nasz wygląd nie jest rzeczą daną raz na zawsze w nieziennej formie, a jego ocena bywa wybitnie subiektywna. Dla jakości życia najważniejszy jest komfort psychiczny, możliwy do osiągnięcia jedynie w wyniku akceptacji własnej osoby, na którą to akceptację składa się w dużym stopniu to, co widzimy w lustrze. Większość naszych klientów ma sprecyzowane oczekiwania odnośnie do zakresu oczekiwanych zmian i my chętnie spełniamy ich wymagania. Dzisiejsza medycyna potrafi naprawić błędy natury w stopniu wręcz nieprawdopodobnym. Oferujemy naszym pacjentom możliwości, których sami często nawet nie brali pod uwagę...

– Moment, panie doktorze – przerwałem, zanim spróbował zaproponować mi przeistoczenie w Roberta Redforda. – Nie mam problemu ze swoim wyglądem. Chcę tak się zmienić, żeby być nie do rozpoznania. Własna żona ma minąć mnie na ulicy bez najmniejszych podejrzeń, rozumie pan?! Potrzebuję nowej twarzy! Pieniądze nie grają roli. Tylko... pani w recepcji wyciągnęła ze mnie dane personalne. One muszą pozostać tajemnicą. Absolutną! Obawiam się, że zrezygnuję z państwa usług, jeśli jakoś nie da się tego załatwić.

– Proszę pana... – żywa reklama swojej profesji zmrużyła z namysłem oczy, mnożąc w pamięci stawki zawodowego honorarium przez jakąś sympatyczną liczbę ściągniętą z sufitu. – Jesteśmy skłonni respektować wszelkie wymagania naszych klientów...

W tym momencie zapiszczał mój telefon. Spojrzałem ze zmarszczonymi brwiami na wyświetlacz, wyłączyłem budzik i podsunąłem aparat do ucha.

– Co jest?! – Udawałem, że słucham w skupieniu.

– Nie! Żadnych wyjątków, ma zapłacić i koniec! Normalne metody... Nie, na początek perswazja... połamać... Zrozumie, zrozumie... a jak nie, to wiesz, co robić!

Schowałem aparat i odetchnąłem głęboko, niby zbierając myśli. Ukradkiem obserwowałem, czy przedstawiciel medycznej elity właściwie odbiera przekaz zawarty w tym amatorskim przedstawieniu. Nie miałem

złudzeń co do swoich zdolności aktorskich, jednak albo zdążyłem już nabrać wprawy w sztuce nabierania bliźnich, albo gość nie był koneserem teatru, bo wyglądał, jakby dostał w łeb łopatą. Byłem co najmniej tak samo zdenerwowany jak on, chociaż z zupełnie innych powodów. Bałem się, że facet roześmieje mi się nagle w nos lub zacznie wrzeszczeć po ochronę.

– Czy całkowita zmiana wyglądu jest możliwa i wykonalna? – Pochyliłem się w jego stronę. Kolba atrapy pistoletu wysunęła się odrobinę zza marynarki.

– Oczywiście... w uzasadnionych przypadkach... – Zobaczył, co trzeba, i teraz kombinował, jak wykaraskać się z opresji, nie drażniąc nerwowego pacjenta. – Niezbędne są dłuższe, szczegółowe badania. Także wskazania psychologiczne odgrywają niebagatelną rolę...

Wyjąłem przygotowaną zawnazdu kartkę z adresem  
Muchy.

– Dobrze! Proszę przyjechać do mnie, dam panu adres. Rozumiem, że sama operacja musi odbyć się w klinice, ale nie chcę się tu pojawiać częściej niż to konieczne. Wstępne badania i rozliczenia finansowe możemy przeprowadzić w moim domu.

– Nie praktykujemy takiego sposobu załatwiania spraw... – Tym razem on się wyraźnie spocił. Popatrzył na aparat telefoniczny w rogu biurka, zaopatrzony w liczne przyciski i światelka. Zdaje się, że facet zarabiał legalnie wystarczająco dużo, by moja propozycja – w połączeniu z widokiem broni – wydała mu się mało zachęcająca, co zresztą całkowicie odpowiadało moim zamierzeniom.

Uznałem, że warto dokręcić śrubę.

– Proszę to dokładnie przemyśleć. Zadzwonię i przyślę swojego człowieka. Liczę, że pan lub ktoś, kogo mi pan poleci, spełni moje wymagania. Zapewniam, że się opłaci. – Wstałem i skierowałem się do wyjścia. W progu odwróciłem się i zastygłem. Lekarz nie wytrzymał przeciągającego się milczenia, chrząknął i otworzył usta, ale nie dałem mu dojść do głosu. – Potrafię się odwdzieczyć, ale ten, kto zdecyduje się na współpracę, musi zapomnieć, że kiedykolwiek miał ze mną do

czynienia... Bo inaczej ja pomogę mu zapomnieć!

– Nie mogę...

Nie dowiedziałem się, czego nie może, bo byłem już na korytarzu i oddalałem się szybkim krokiem. Minałem recepcję, panienka podniosła głowę i spróbowała mnie zatrzymać:

– Proszę pana! Należność za wizytę...

– Nie noszę drobnych! – warknąłem.

Byłem już prawie na zewnątrz. Nie widziałem żadnego ochroniarza, więc zatrzymałem się na moment i wykorzystałem resztki adrenaliny:

– Prześlijcie rachunek. I niech pani przypomni doktorowi, że coś mi obiecał!

Po minucie siedziałem już w pomarańczowej konserwie i jechałem przed siebie. Ze zdenerwowania zapomniałem o swoim przebraniu, dopiero szczypiący w oczy pot kazał mi się zatrzymać i pozbyć niewygodnych akcesoriów. Zapaliłem papierosa i spróbowałem podsumować dzień.

Zdaje się, że w roli gangstera pragnącego przerobić sobie facjatę wypadłem zupełnie niezłe. Niebawem Jacek roześle nowe informacje o Muńku pragnącym skorygować sobie urodę. Doktor dobrze mnie zapamięta i łatwo da się namówić dziennikarzom lub policji na zwierzenia. Nikt już nie będzie miał wątpliwości, iż Mucha szykuje sobie nowe wcielenie i to bynajmniej nie z powodów romansowych. Przyczyny sami sobie dośpiewają.

Alkohol wyparował wraz z potem, a aktorskie popisy kosztowały mnie więcej, niż przypuszczałem. Miałem ochotę zakopać się w jakiejś mysiej dziurze, żeby za parę tygodni wychylić ostrożnie głowę i sprawdzić, czy mogę już swobodnie chodzić po ulicach. Ale czekało mnie jeszcze nieco pracy.

Gdybym był zupełnie sam, to pewnie kupiłbym parę litrów gorzały, żarcie i namiot, pojechał gdzieś przed siebie i zaszył się w najbliższych ostępach, żeby przeczekać bajzel, którego narobiłem. Niech tymczasem świat się zawali, gangsterzy wystrzelają wzajemnie, policja powsadza, kogo tylko zdoła, ale już bez mojego udziału. Jednak był jeszcze Jacek,

moja rodzina i... ta cholerna Wanda. Zapaliłem silnik.

Ambasada Izraela nie sprawiała wrażenia obiektu szczególnie silnie chronionego. Nie próbowałem w żaden znaczący sposób zmieniać wyglądu, gdyż uznałem, że nikt nie zapamięta jednego z wielu interesantów przewijających się tu każdego dnia. Nałożyłem jedynie czapkę z daszkiem. Urzędniczka podała mi przez okienko komplet dokumentów potrzebnych do uzyskania wizy. Wypełniłem je szybko, wstawiając w odpowiednie rubryki dane Muchy. Brakowało mi oczywiście paru załączników oraz zdjęć, ale uparłem się, że zostawię to, co mam, a resztę dostarczę później. Zaprotestowała uprzejmie, acz z wyniosłą miną właściwą powadze pełnionego urzędu. Wrzuciłem jej papiery przez okienko i warknąłem:

– Ambasador będzie bardzo zdziwiony takim traktowaniem jego znajomych! – Kamera w rogu pomieszczenia nie powinna zarejestrować zbyt wiele. Pilnowałem, by daszek czapki bez przerwy zasłaniał mi twarz.

Opuściłem prędko placówkę i pojechałem do śródmieścia. W siedzibie zagranicznych linii lotniczych zarezerwowałem bilet do Tel Awiwu, oczywiście na nazwisko Muńka. Poprosiłem o klasę biznes, bo w końcu i tak nie zamierzałem za niego płacić.

Gdy w agencji nieruchomości oznajmiłem, że pragnę sprzedać willę w Halinowie, natychmiast zaprowadzono mnie do gabinetu i usadzono w miękkim fotelu. Na niskim szklanym stoliku pojawiła się kawa i paluszki.

Sympatyczna brunetka usiadła naprzeciwko i niezwłocznie zaczęła zarabiać na swoją prowizję. Wstukwała dane do laptopa i zauważyła, że moja posiadłość znajduje się już w ich bazie danych. Wyjaśniłem, że dałem niedawno ogłoszenie o sprzedaży, ale bardzo zależy mi na czasie, ponieważ niedługo znajdzie się w Izraelu.

Szybko ustaliliśmy sposób działania. Nie mam czasu na prezentację i wycenę nieruchomości, jestem w najbliższych dniach zajęty upłynnianiem mebli i pakowaniem się, zatem przyniosę jej za tydzień klucze od posesji, podpiszę pełnomocnictwa i niech bierze sprawę w

swoje ręce. Będę już za granicą, więc poinformuje mnie telefonicznie o wycenie nieruchomości. Kiedy znajdzie poważnie zainteresowanego klienta, da mi znać i wtedy wskażę prawnika, który w moim imieniu załatwi resztę formalności niezbędnych do sfinalizowania transakcji. Nie okazała szczególnego zdziwienia moimi fanaberiami, wysokość spodziewanej prowizji skutecznie tłumiała wszelkie wątpliwości. Podpisałem formularz zgłoszeniowy z zamiarami Muchy.

Wprawdzie w najmniejszym stopniu nie przypominałem Muńka, liczyłem jednak, że dziennikarze i przedstawiciele władz zadowolą się w pierwszej chwili informacją o jego zamiarach, nie żądając opisu klienta. Mógł zresztą – a nawet powinien – działać przez podstawione osoby. Już Jacek da znać komu trzeba, gdzie należy szukać wiadomości o najnowszych poczynaniach naszego faworyta.

Pozostała mi jeszcze wizyta w banku. Mój kumpel wyjątkowo przyłożył się, by zapewnić mi tutaj pole do popisu. Jakimś cudem dobrał się do komputera w ich kadrach i ściągnął harmonogram dni wolnych. Wyszukał urzędniczkę jednego z oddziałów biorącą urlop od następnego tygodnia. Dostałem się do niej nad podziw łatwo: wyjaśniłem w okienku, iż zamierzam otworzyć rachunek i dokonać poważnych operacji finansowych, ale zależy mi na kontakcie z osobą, która została mi polecona przez prezesa – wymieniłem pierwsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy. Po chwili siedziałem w zacisznym pomieszczeniu, filiżanka kawy parowała zachęcająco, a po drugiej stronie lśniącego biurka panienka bardziej podobna do hostessy niż rekina finansjery rozkładała tajemnicze formularze.

– Czym mogę służyć? – zagała z neutralnym uśmiechem.

– Chciałbym założyć u państwa konto, przez które będę mógł przelewać znaczne kwoty na rachunki w zagranicznych bankach. Proszę zorganizować to w taki sposób, bym mógł przekazywać dyspozycje bez konieczności osobistych wizyt u państwa. Szczególnie interesuje mnie obracanie kapitałem z zagranicy.

– Oczywiście. Istnieje kilka możliwości zarządzania swoimi lokatami i rachunkami nawet z miejsc, gdzie nie posiadamy swoich filii.



Najprościej jest otworzyć konto internetowe. Jego dodatkową zaletą jest...

Właściwie nie słuchałem jej paplaniny, a gdy w powietrzu zaczęły latać procenty, salda i przeliczniki transferowe, wyłączyłem się zupełnie. Wszystko odbywało się tak, jak przewidywał Jacek. Starłem się jedynie zachować uważny wyraz twarzy i kiwać głową we właściwych momentach. Ogarnęło mnie miłe poczucie końca misji. Niedługo, choćbym chciał, nie będę już miał wpływu na wydarzenia. To, co rozkręciliśmy, zacznie żyć własnym życiem i najlepsze, co będę mógł zrobić, to usunąć się z drogi lawiny sypiącej się na głowę Muchy. Żeby przypadkiem nie trafił mnie żaden okruch...

Zauważyłem, że moja uroczą rozmówczyni zamilkła, patrząc na mnie pytająco. – Przepraszam... zamyśliłem się.

Opacznie zrozumiała moje rozkojarzenie – zaczerwieniła się leciutko i machinalnie poprawiła cienką, prześwitującą wyraźnie bluzkę. Nie wyglądała na kogoś, komu sprawia przyjemność publiczne eksponowanie wdzięków, raczej dostosowywała się do panujących tu zasad. Na końcu języka miałem pytanie, czy obserwują klientów przez fenickie lustro, żeby podesłać im „odpowiednio” ubranego przedstawiciela. Specjalnie bym się nie zdziwił. Prawdę mówiąc, wcale.

– Pytałam, jakie kwoty wchodzi w grę?

– Czy to ma znaczenie? Są jakieś ograniczenia?

– Nie, nie ma ograniczeń. Chodzi o to, że prawo skarbowe wymaga udokumentowania źródeł pochodzenia środków, których saldo w jednorazowej operacji przekracza...

– To żaden problem, prowadzę legalne interesy. – Machnąłem lekceważąco ręką i wyjąłem podrobiony dowód Muchy. – Proszę otworzyć mi rachunek.

– Na jaką kwotę?

– Pieniądze zacznę przelewać za parę dni. Teraz chcę tylko dostać numer swojego konta.

– Minimalna wpłata konieczna do otwarcia rachunku wynosi pięćset złotych.

Odruchowo sięgnąłem do kieszeni, ale powstrzymałem się. Choć pieniądze Muńka stopniały już poważnie, stać mnie jeszcze było na ten wydatek. Pomyślałem jednak, że dobrze się stanie, jeśli nie wszystko pójdzie tak gładko – małe awantura sprawi niechybnie, że panienka puści w obieg informacje o upierdliwym kliencie.

– Proszę pani, nie zwykłem płacić za kota w worku i gruszki na wierzbie! Macie mnie za fajansiarza, który przynosi w zębach zaskórniaki?! Nie otwieram konta dla jakichś pięciuset złotych!

– Takie są przepisy... – wyjąkała spłoszona mym niespodziewanym wybuchem. – Wymaga tego...

– Nie noszę ze sobą drobnych! – Pochyliłem się, jakbym usiłował zajrzeć jej w dekolt. – Chce mi pani powiedzieć, że taki drobiazg uniemożliwi założenie konta, na którym znajdują się tysiące euro?! I to tylko na początek.

– Chwileczkę, proszę zaczekać. Jestem pewna... Podniosła się i opuściła pomieszczenie, nie informując, czego jest taka pewna. Miałem nadzieję, że nie sprowadzi mi jakiegoś prezesa, który zacznie zadawać zbyt wiele pytań i zapamięta mój wygląd. Po kilku minutach wróciła. Sama.

– Wszystko w porządku. Otworzymy panu konto. Jego status, a co za tym idzie możliwości dokonywania transferów będą uzależnione od wysokości salda pierwszej wpłaty.

Reklamy jednak kłamią: otwieranie rachunku w banku, zamiast pogawędki w sielankowej atmosferze przy muzyce i ciasteczkach, przypomina raczej przesłuchanie przez wyjątkowo drobiazgowego prokuratora. Oprócz danych z dowodu osobistego musiałem podać daty urodzenia moje i rodziców, imiona, nazwisko panięskie matki i sporo innych drobiazgów. Brałem wszystko z sufitu, modląc się tylko, by nie kazała mi powtórzyć jakichś szczegółów. Wreszcie drukarka wypluła kilka świstków, które parafowałem, nie czytając, zerkałem tylko ukradkiem w fałszywy dowód na widniejący w nim – na szczęście łatwy – podpis Muchy.

– Dziękuję, to wszystko – uśmiechnęła się służbowo i dodała

idiotyczną formułkę bezmyślnie narzucaną przez zapatrzonych w Zachód speców od marketingu:

– Życzę miłego dnia.

– Do widzenia. – W progu odwróciłem się jeszcze.

– Spotkamy się niedługo. Czy mogłaby pani tymczasem przygotować wszystko do przelewów dużych sum na konta w Tel Awiwie i zaproponować mi jakiś tamtejszy bank? Moi doradcy finansowi oczywiście dali mi konkretne zalecenia, ale ciekaw jestem państwa sugestii.

– Tel Awiw, banki z korzystną ofertą transferową... zanotowałam, zajmujemy się tym. Niestety, jadę na urlop, więc pańskie sprawy przekażę...

– Daleko pani jedzie?

– Tylko nad morze... Śródziemne.

– Szkoda – rzuciłem nieszczerze. Jacek nie pomylił się, historia zakładania konta i związane z tym hece szybko rozejdą się wśród pracowników banku, lecz prawdziwy wygląd petenta rozplynie się wśród szumu fal. Kamery? Stary dredziarz zapewniał, że monitorowane są jedynie sale obsługi klientów – rekiny finansjery obsługiwano z zachowaniem należytej dyskrecji. Nawet udało mi się otworzyć konto z zerowym saldem, więc całkiem możliwie, że do czasu pierwszej transakcji nie pofatygują się sprawdzać szczegółowych danych klienta. A żadnych transakcji nie będzie. Kiedy Jacek puści w obieg plotkę, że Mucha założył konto z myślą o dużych przelewach gotówki za granicę, odpowiednie władze natychmiast to sprawdzą. I ze zdumieniem odkrywają, że tylko nazwisko i adres właściciela są prawdziwe. Nawet złotówka nie mogłaby przepłynąć taką drogą. Pomyślą, że Muniek zwariował albo z jakichś powodów chce sprawiać takie wrażenie. Ale to już nie nasz problem.

\*\*\*

Jacek w milczeniu wysłuchał mego sprawozdania, pociągając od czasu do czasu łyk piwa. Kazał mi szczegółowo opisać bandziora z mordą

pekińczyka, wypytywał, jak długo jechałem w bagażniku oraz czy któryś z oprychów nie użył przypadkiem jakiejś ksywki. Wiwisekcja mojej pamięci, choć dokładna, nic nam jednak nie dała. Wiedzieliśmy tylko, że konkurencja Muchy zauważyła jego poczynania i jest wyraźnie zaniepokojona. Znaczyło to, iż moje groteskowe wybryki faktycznie narobiły smrodu jak się patrzy.

Mój kumpel zastygł na długą chwilę, wpatrzony nieobecny wzrokiem w widniejącą na monitorze tapetę, wreszcie odetchnął głęboko i skierował się do kuchni. Po chwili na stoliku stanęła butelka koniaku i dwie szklanki. Spojrzałem pytająco.

– Finito, Poldek. Za chwilę uzupełnię kilka szczegółów w naszych rozkosznych opowiastkach i... klik, klik, klik. Świat Muchy rozleci się na kawałki.

– Myślisz, że aż tak mu dołożyliśmy?

– Jeszcze nie, teraz mógłby się przyczać, poskładać wszystko do kupy. Jednak jutro nagonka ruszy na całego. Ze wszystkich stron naraz i z użyciem ciężkiej amunicji. To będzie jak tornado! On się jeszcze rusza, ale już zalatuje padliną. Dziennikarze spadną na niego z góry jak sępy na ścierwo, hieny i szakale z branży uderzą z boków. Nie będą czekać, aż przestanie oddychać, bo wbrew obiegowym poglądom padlinożercy bywają zajadłymi myśliwymi. Jeśli są głodni. A ci będą cholernie głodni!

Przeszły mnie ciarki. Obrazowe porównania sprawiły, że wnętrzości zareagowały nagłym skurczem. Sięgnąłem po szklankę i napełniłem ją szczerze lekarstwem, uznając, że dawka homeopatyczna zalecana dla szlachetnego trunku nie będzie tym razem skuteczna. Jacek nie protestował, stuknęliśmy się szkłem i po dłuższej chwili kontynuował wielce sympatyczne wizje.

– Policji pozostanie tylko pozamiatać do przytulnych cel resztki pozostałe na pobojuwisku. Gliniarze, wbrew obiegowym opiniom, nie są ani głupi, ani leniwi. Dobrze wiedzą, co w trawie piszczy, tyle że wiążą ich procedury. Muszą stosować przepisy, które w praktyce prowadzą się do nietykalności każdego ścierwa, póki nie udowodni mu się winy. A gdy jeszcze stać takiego na papugę... – Zasiadł przed

monitorem. – Dobra, teraz dorzucimy wzmiankę o szykowaniu się do operacji plastycznej, chęci ucieczki do Izraela i nagłej potrzebie przetrwania ogromnych pieniędzy za granicę...

Przez kilka minut słychać było tylko stukot klawiatury. Zapaliłem papierosa i sięgnąłem po szklanę.

Nie bardzo mogłem uwierzyć, że cała afera zbliża się do finału. Ciągłe wydawało mi się, iż nasze amatorskie działania zaczepne, choć dokuczliwe, nie są w stanie przynieść definitywnego rozwiązania. Czy w grze, której stawką jest ludzkie życie, można wygrać, nie używając ostatecznego argumentu – pistoletu, bomby czy choćby noża? A jeśli obudziliśmy siły, których nie da się kontrolować? Rykoszety bywają zabójcze... Niby zdawaliśmy sobie sprawę, że nie obejdziesz się bez grubszej rozróby, ale co innego snuć akademickie rozważania, a co innego uwierzyć w ich realność. Do tej pory przewidywania Jacka traktowałem raczej jak wynurzenia podchmielonych koleś, którym po trzecim piwie rosną skrzydła u ramion, po piątym wiedzą, jak zaprowadzić porządek w kraju, a po siódmym szykują się do rozprawy ze światowym terroryzmem. Uświadomiłem sobie, że każdy kolejny ruch przeciw Muńkowi wykonywałem bez prawdziwej wiary, ot tak, żeby coś zrobić, nie pogрузić się w beznadziejnej rozpacz, udawać przed samym sobą, że walczę, gdy tymczasem podświadomie oczekiwałem chwili, w której nasz misterny plan runie, niczym pałac z kart zdmuchnięty celną kulą z pistoletu. A jednak jakimś cudem żyłem, płątałem się wokół Muchy, wrzucając coraz większe kamyczki do jego ogródka, nurzając w szambie jego wizerunek, kąsając go wrednie w co wrażliwsze miejsca. Tyle że wreszcie przyszedł moment, gdy już nic więcej nie mogłem zrobić, i znów pozostał mi tylko strach. Od tej chwili miałem jedynie czekać. I cholernie uważnie rozglądać się dookoła.

Przyszłość znów była jedną wielką zagadką, a wiadomo, że najbardziej obawiamy się tego, czego nie znamy. Wiedziałem jedno: nie zasnę spokojnie, póki nie przeczytam w gazetach, iż zwłoki niejakiego Konrada Z. znaleziono... policja uważa... porachunki przestępcze...

Zauważyłem mimochodem, że moje sumienie ledwie ziewnęło na myśl o zgonie tego łajdaka. Pewnie nie umiałbym przyłożyć mu lufy do skroni i pociągnąć za spust. Chociaż kto wie...? Było już parę momentów, w których chciałem go utłuc jak psa, bez względu na cenę, jaką przyszłoby potem zapłacić.

On i tak nie dożyje późnej starości. Nasze działania były tylko katalizatorem, przyspieszaczem procesów nieuchronnie wpisanych w przestępcze życiorysy. Tacy ludzie żyją z piętnem skazańca. Prowadzą grę, której finał może być tylko jeden. Ich sukcesy są chwilową iluzją. Stado wilków dookoła tylko czeka na okazję. A jeśli tym razem to on wygra, jeszcze raz oszuka przeznaczenie, wyjdzie z tego czyściutki jak niemowlę i silniejszy niż dotąd? Może go nie doceniamy... Co wtedy? Obwieszę się ładunkami wybuchowymi, wejdę w nocy do jego chałupy i rozpieprzę wszystko jak samobójca męczennik, którego już wyczekują w raju powabne hurysy?

Odstawiłem na stół pustą szklankę. Zdaje się, że alkohol zamiast podnieść mnie na duchu, wyzwolił przyczajone w podświadomości upiory.

Spojrzałem na Jacka. Siedział pochylony nad monitorem, jego dłoń spoczywająca na myszy wykonywała ledwie dostrzegalne ruchy. Ciche kliknięcia brzmiały, jakby ktoś łamał zapałki albo strzelał z pistoletu z tłumikiem. Bezduszne elektrony mknęły ku serwerom, całkowicie obojętne na zakodowane w binarnym szyku treści. Jacek zgasił monitor.

– Już?

– Ano już. Teraz się zacznie.

– Ile to może potrwać?

– Diabli wiedzą, tydzień, miesiąc może... – Wykonał nieokreślony gest dłonią i ziewnął rozdzierająco. – Ale nikt już tego nie zatrzyma.

– Jesteś pewien, że adresaci naszych donosików uwierzą i zareagują właściwie z naszego punktu widzenia?

– Pomożemy im. Jutro pójdziesz...

Okazało się, że mój kumpel ma dla mnie ostatnie zadanie. Na szczęście w porównaniu z poprzednimi wyczynami wydało mi się proste

i bezpieczne niczym zabawa w piaskownicy.

Została jeszcze Wanda.

Nie pytałem o nią wcześniej, jak gdyby lękając się zdmuchnąć ostatnią iskierkę nadziei. A także dlatego, iż od pewnego czasu Jacek codziennie wybywał na kilka godzin z mieszkania. Było to u niego czymś niezwykłym, gdyż normalnie jedynie brak papierosów, chleba i piwa (właśnie w tej kolejności) skłaniał go do wyjścia z wirtualnej rzeczywistości, by uzupełnić zapasy paliwa dla ciała i ducha. Nie chciałem pozbawiać się iluzji, że jego tajemnicze poczynania mogą być dobrym znakiem.

– Słuchaj Jacek, a co z Wandą?

– Nie bój się o nią, jest bezpieczna. Nie będzie się jej czepiał, ma ważniejsze sprawy na głowie.

– No tak, ale jak ona się czuje? – Uświadomiłem sobie, jak bardzo chciałbym zobaczyć jeszcze tę nierealną istotę. – Wyjdzie z tego?

– Wyjdzie... już wyszła. – Odsunął się od biurka i popatrzył na mnie z zafrasowanym wyrazem twarzy. Sięgnął po szklankę i szukał czegoś na jej dnie. – Muszę ci coś wyjaśnić... Sorry, stary, ale z nią cały czas było wszystko w porządku... No prawie. Postrzał był groźny, jednak dobrze zniosła operację i rekonwalescencja przebiega bez komplikacji.

– A tamto załamanie?

– Nie było żadnego załamania. Trochę ubarwiłem fakty, bo chciałem, żebyś miał jakiś bodziec.

– Kur...

– Nie wkurzaj się, tylko przypomnij sobie sytuację! Był moment, że miałeś wszystkiego dosyć, straciłeś wiarę i motywację, chciałeś się poddać, gdy właśnie należało atakować. Równie dobrze mogłeś pójść do Muchy z rękami w górze i poprosić o łagodne traktowanie. Byle tylko wykończył cię szybko i bez bólu. A potem, już bez pośpiechu i zbędnego stresu, mógłby sprzątnąć kilka bliskich ci osób, nikt by mu nie przeszkadzał...

– Co ty pieprzysz?! Musiałeś mieszać w to Wandę? Czułem się jak ostatnia łachudra. Trzeba było powiedzieć mi coś, potrząsnąć...

– I właśnie potrząsnąłem!

– A ona ciągle nie zna prawdy? Myśli, że jak wszystko się ułoży, to ja...

– zabrakło mi słów. Przypomniałem sobie, jak ledwie zipiąc, prosiła, żeby mi powtórzyli, że z nią wszystko dobrze. – Słuchaj, nie wolno tak igrać z uczuciami. Ona uroiła sobie, że istnieje jakaś szansa na... Mam teraz iść do niej i powiedzieć: spadaj mała, mam cię w dupie! A jak się rzuci pod pociąg albo podetnie sobie żyły? Skąd mam wiedzieć, co jej przyjdzie do głowy? Ona może być sobie istotą z innego wymiaru, ale nie zasłużyła na traktowanie jak przedmiot. Jeden, jedyny raz w moim gównie wartym życiu ktoś zasłonił mnie własnym ciałem. Nie skrzywdzę jej teraz, nawet choćbym musiał ukrywać jej istnienie przed Dorotą. I choćbym musiał prowadzić podwójne życie...

Zastopowało mnie, bo nagle zdałem sobie sprawę, że Jacek od dłuższej chwili przysłuchiwał się mojej tyradzie, nawet nie próbując jej przerywać. Wyraz jego twarzy przywodził na myśl psychiatrę szukającego nazwy dla nowej, niezwykle intrygującej przypadłości umysłowej.

– Nie przeceniasz przypadkiem swoich zdolności do łamania serc niewieścich? – Zagadkowe spojrzenie zadowolonego z siebie gнома sprawiło, iż poczułem się jak zakalec w ślubnym torcie. Zrozumiałem, że mój kumpel ukrywa jakiegoś asa w rękawie, ale czeka z jego wyciągnięciem, by zwiększyć satysfakcję. – Ona nie jest głupia, nie jest też taka tajemnicza, jak ci się wydaje. Trochę ją poznałem. To, że ktoś jest inny, jego myśli nie wędrują udeptanymi ścieżkami, nie znaczy jeszcze...

– Jacek, gadaj po ludzku! – Dziwaczne podejrzenie zakiełkowało mi pod sufitem. – Trochę ją poznałeś... Czyżby tajemnicza Wanda znalazła pokrewnego ducha? Co się z nią dzieje?

– Dzieje się tyle, że wyszła już ze szpitala, mieszka u siebie i wraca powolutku do zdrowia.

– A pewien niebywale przystojny miłośnik komputerów, ekspert w dziedzinie wirtualnej rzeczywistości i rozwiązywania nierozwiązywalnych problemów, zauważył niespodziewanie, że rola pielęgniarki jest jego



prawdziwym powołaniem?

– Nie zgrywaj się, nie masz talentu.

– Nie mam akurat zamiaru, tylko mów po ludzku. Zdążyłem ją trochę poznać, ale wiem tylko tyle, że jest wyjątkowa. I po prostu boję się o nią. I jej. Głupie, nie?

– Wyjątkowa? No owszem, ale pomyśl, ile różnych odcieni może mieć takie słowo zależnie od kontekstu. Oznacza coś rzadko spotykanego, ale jego znaczenie nie musi być pozytywne. Czy w stosunku do jednostki ludzkiej można w ogóle używać tego wyrażenia w jednoznacznym sensie? Dla wariata cała reszta tak zwanych normalnych ludzi jest wyjątkowa.

Sięgnąłem po szklankę, szykując się do wysłuchania dłuższej analizy problemu. Był to dobrze mi znany sposób, w jaki mój kumpel unikał drażliwych tematów. On jednak niespodziewanie wrócił do meritum.

– Przez pierwsze dni, gdy tylko przytomniała na chwilę, pytała o ciebie. Powtarzałem, że nie możesz przyjść, ale martwisz się... Więc ona swoje: powiedz mi, że ze mną wszystko dobrze. Potem przestała pytać, ale nie przestała o tobie myśleć. Widziałem to. Próbowiałem jakoś do niej dotrzeć, sprowadzić ją na ziemię. Opowiadałem jej o wszystkim, co przyszło mi do łba. O znajomych, o jakichś zmyślonych ludzkich perypetiach, nawet o komputerach i internecie. W którymś momencie zaczęła słuchać, przyswajając i reagować. Wyobraź sobie, ona w życiu nie dotknęła klawiatury, jednak rozumiała, co do niej mówię. Pytała o takie rzeczy... Potem... Zresztą czy muszę ci wszystko opowiadać? Ona jest ciekawym... zagadnieniem. Nadaje i odbiera w paśmie o zastrzeżonej dla siebie częstotliwości, powoli się dostrajam.

– Jesteście blisko? – Poczuję ukłucie irracjonalnej zazdrości, bo przecież Wanda niczego nie była mi winna. Jeśli już, to ja byłem jej coś winien. Ale jednak, żeby tak przeskakiwać z kwiatka na kwiatek? Właśnie ona?

– Nie wiem... to pojęcie względne. Znasz mnie. Czy ze mną można być blisko?

Z mieszanymi uczuciami popatrzyłem na kumpla, on jednak na

szczęście nie oczekiwał odpowiedzi.

– Wanda potrafi słuchać. I to tak słuchać, jakby to, co do niej mówisz, było akurat najważniejsze na świecie. To dziwne, ale wszystko, o czym z nią rozmawiam... nie, to nie jest rozmowa, wszystko, co do niej mówię, chłonie z fascynacją dziecka słuchającego nowej bajki. Dziecka, które zaczyna powoli podejrzewać, że bajki, choć zawierają okruchy prawdy, pochodzą z innej rzeczywistości. Nie umiem jej rozgryźć. Nie udaje przecież, bo po co?

– Zdaje się, że osiągnąłeś więcej, niż mnie się udało swego czasu – powiedziałem bardziej do siebie niż do niego. – Chociaż właściwie nie starałem się do niej zbliżyć. Samo wyszło, a potem nie bardzo wiedziałem, co mam z tym zrobić. Innej kobiecie można jakoś dać do zrozumienia, że było fajnie, ale niech nie liczy na nic więcej. Tylko że Wanda żyje w jakiejś bańce mydlanej zniekształcającej obraz świata. Jest niedzisiejsza...

– Niedzisiejsza...? – Jacek z namysłem smakował to słowo. – Owszem, jest niedzisiejsza zupełnie dosłownie. Przypomnij sobie jej nazwisko, to wiele wyjaśnia.

Nie musiałem wysilać pamięci. Przypadkowym zbiegiem okoliczności nazywała się tak samo, jak pewna postać obecna we wszystkich podręcznikach do historii.

– No nie, samo nazwisko nie kształtuje charakteru... – Zerknąłem na Jacka. Kiwał głową, jakby w zupełności się ze mną zgadzał. – Chcesz powiedzieć, że identyfikuje się z...

– Nie! Ona pochodzi w prostej linii z tego rodu. Pokazała mi dokumenty. Jest hrabiną. Prawdziwą, niepodrabianą arystokratką z książęcego rodu. Gdybyśmy żyli w innej epoce, musiałbyś być bardzo wysoko urodzony, żeby chociaż dotknąć rąbka jej sukni.

– Czekaj, nie żyjemy w średniowieczu. Wanda nie obnosi się ze swoją błękitną krwią. Nie istnieją geny szlachectwa. Nie wierzę, że dziedziczymy swój stosunek do otoczenia.

– Wychowanie, stary! To, kim jesteśmy, kształtuje się w dzieciństwie. Ona mało mówi o sobie. Nie wiem, co się stało z jej rodzicami.

Wspomniała, że wychowywały ją ciotki w jakimś rodzinnym majątku na Podlasiu. Miała opiekunkę czy guwernantkę, nie chodziła do zwykłej szkoły. Nie mam pojęcia, jak to możliwe w dzisiejszych czasach, ale widać możliwe – realny socjalizm nie przyjmował do wiadomości istnienia arystokracji, więc może tak było komuś wygodniej? – Wzruszył ramionami, uznając zagadnienie za mało istotne.

– Nie miała rówieśników do zabawy, na dobranoc nie oglądała bajek w telewizji, nie miała psa ani kota... Wyobrażasz to sobie? Ona nawet nie tęskniła do dziecięcych psot, bo nie wiedziała, że istnieją. Jakieś stare panny były źródłem jej wiedzy o świecie i o życiu. Ciekawe kiedy dowiedziała się o istnieniu mężczyzn...? I do czego służą. Może ciągle tego nie wie?

– Wie – rzuciłem machinalnie, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

– Ach, wie... – Zapatrzył się w grube dno szklanki jak w szklaną kulę. Jakaś zabłąkana mucha brzęczała na szybie, usiłując za wszelką cenę sforsować niewidzialną zaporę. – Nie widać tego po niej.

– Słuchaj, ona jest, jaka jest, i nie zmienimy tego. – Moja głęboka uwaga sprawiła zapewne, że ten i ów z wielkich filozofów obrócił się z zawiści w grobie, jednak na moim kumplu nie zrobiła wrażenia. – Wanda zwyczajnie trwa, pozwala unosić się przeznaczeniu, nie próbując zgłaszać pretensji.

– Ładnie powiedziane, ale zapominasz, że ta istota, która tylko trwa, zasłoniła cię swoim ciałem przed kulą i moim skromnym zdaniem, doskonale wiedziała, co robi.

– Nie zapominam! – Cholera, o czym my gadamy? Chciałem tylko dowiedzieć się, jak się czuje, a nie dokonywać psychoanalizy. – Powiedz jej, że gdyby trzeba było, to ja... Zresztą nic jej nie mów. Co ja mogę jej ofiarować? Swoje żalosne przeprosiny, zapewnienia, że zawsze będę o niej pamiętał? Boże, co za gówniana sytuacja!

– Uspokój się! Nie wiem, co będzie później, teraz masz co innego na głowie. Myśl raczej o swoim przyjemniaczku, a troskę o Wandę zostaw mnie.

– Nie wiem nawet, czym ona się zajmuje, z czego żyje, dlaczego

mieszka sama?

– Ja też nie wiem wszystkiego, ale zdaje się, że jest obrzydliwie bogata, tylko traktuje to z całkowitą obojętnością. Chyba nie zdaje sobie sprawy z wartości pieniędzy, po prostu je posiada i uważa to za naturalne. Jak posiadanie psa, mebli, domu.

– To po jasną cholerę wynajmowała mi mieszkanie?!

– A po cholerę ludzie zbierają znaczki, latają w kosmos czy połykają widelce? Motywy naszych działań bywają nieodgadnione nawet dla nas samych. Może się nudziła?

– Powiedz mi tylko jedno. Bez ściemy. – Wlałem do szklanek resztkę lekarstwa na depresję. Spełniliśmy toast i gdy znów byłem w stanie mówić, zadałem najważniejsze pytanie wieczoru: – Zwykle nie opuszczasz mieszkania częściej niż raz w tygodniu, a teraz chodzisz do niej codziennie. Pewnie nie z litości? Czy ty i Wanda... będzie coś z tego?

– Patrzcie państwo, jak to się można ululać odrobiną koniaku. – Jacek zabrał puste naczynia ze stołu i ruszył do kuchni. – Koniec gadania, idziemy w kimono! Jutro masz ostatnie zadanie do wykonania!

Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią.

\*\*\*

Nazajutrz wstałem bardzo późno, ale nie miało to większego znaczenia dla moich planów. Nie zawracałem sobie głowy goleniem, ochlapałem twarz, przegryzłem coś szybko i wyszedłem z chałupy. Kupiłem w osiedlowym sklepiku kilka mocnych piw i pieszo udałem się na poszukiwania odpowiedniego „obiektu”. Uważałem wprawdzie, że mogę osobiście wykonać ostatnie zadanie, jednak Jacek stwierdził stanowczo, iż nie warto ryzykować na tym etapie, a ponadto mój głos jest zbyt pospolity, aby wywołał odpowiednie wrażenie. Nie wdawałem się w polemiki, chciałem mieć już wszystko za sobą i wreszcie wycofać się na pozycję obserwatora.

Na murku pod samem spożywczym siedział samotny pijaczek. Ćmił papierosa i pociągał leniwie piwo z butelki. Zapaliłem, usiadłem

nieopodal, żeby ocenić sytuację. Wyglądało na to, że gość coraz wolniej spożywa swój trunek, celowo odsuwając moment, gdy skończy się utrwalacz, bo na dobijacz raczej nie było szans. Łypał niekiedy dookoła przekrwionymi oczkami, zapewne w nadziei, iż napatoczy się jakiś znajomek skłonny poratować go w biedzie, ale horyzont był czysty. Zbliżyłem się powoli, usiadłem obok i wyjąłem browara. Facet obserwował czujnie moje manipulacje.

– Napijesz się? Nie lubię gadać do siebie, jak piję...

– Podsunąłem mu puszkę. Nie przypuszczałem, by zbytnio się certolił, i nie przeliczyłem się.

– A ile to roboty? Piwo z rana jak śmietana – błyskotliwą sentencją określił swój stosunek do alkoholu. Nie omieszkał rzucić okiem na siatkę, w której kryło się jeszcze kilka puszek mocnego. Opróżnił bez zwłoki swoją butelkę, aby móc wystartować równo ze mną. – Zenek jestem. Najlepszego!

– Ja też jestem Zenek. Zdrówko!

Po wczorajszym koniaku, którego resztki czułem jeszcze w kubkach smakowych, nie miałem szczególnej ochoty na poprawkę, ale mężnie pociągnąłem kilka łyków.

– Co porabiasz? Znasz może Staśka Lewego? – Zagaiłem, pragnąc się przekonać się, czy mój nowy kumpel dysponuje odpowiednim organem głosowym.

– Staśka...? No, słyszałem... – odrzekł z namysłem. Niski, przepity głos nieco mu drżał, uznałem, iż następne piwo przywróci gościowi swobodę artykulacji.

Podtrzymałem obojętnie konwersację, wyraźnie zbyt wolno osuszając puszkę, jak na gust mego rozmówcy. Gdy oddalił się między drzewa do toalety pod chmurką, z ulgą wylałem na trawę resztkę złotego nektaru, otworzyłem następne piwo i większość jego zawartości również powędrowała w ziemię. Mój towarzysz pojawił się po chwili i z niejakim niepokojem zauważył, jak bardzo został w tyle. Natychmiast ukoilem jego stargane nerwy.

– Częstuj się. – Dałem mu chwilkę na nadrobienie zaległości i

przystąpiłem do rzeczy. – Zenek, widzę, że jesteś równy gość! Porąbały mi się trochę sprawy osobiste, potrzebuję pomocy...

– Co jest? – Jedno kaprawe oczko wymacało dwa ostatnie piwa w siatce, a drugie czujnie zlustrowało moją facjatę. Gość wyraźnie doszedł do siebie i poczuł, że ten dzień nie będzie stracony. Wiedziałem, o co zapyta i nie zawiodłem się. – Coś z kobitą?

– Kur... skąd wiesz? – Z udawanym uznaniem popatrzyłem w wymięte oblicze podwórkowego psychologa.

– Znam życie, Zenek! Moja też mnie wydymała bez mydła. Przedtem to i wino postawiła do kolacji, a jak człowiek był chory, to piwko rano dostał... – Stargane najpodlejszymi wynalazkami gardło ścisnęło się na wspomnienie sentymentalnych chwil. – A po ślubie tylko darła mordę, że roboty nie mam. Patrz, jak to ludzie się zmieniają... A co, ja mam tyrać jak psi kutas... na jakiegoś łacha? I po kiego wała?

Pokiwałem głową, zauważywszy mimochodem, że wielu ludzi zadaje sobie pytania podobnej treści, choć w nieco odmiennej formie.

– Zmieniają się, żebyś wiedział! Moja, nie uwierzysz, napisała do gazet, jaki to ze mnie drań!

– Coo...?! Do gazet? A kto ona jest?

– Ma znajomości. Pieprzy ją paru takich... – Pomyślałem, że gdy to wszystko się skończy, pod żadnym pozorem nie mogę pojawić się w okolicy z Dorotą. –

Teraz chce, żeby napisali o mnie... Zrobią ze mnie ostatniego śmiecia i łachudrę. Papuga jej to podsunął.

– A co, mam ją... w jakiejś bramie? – Zdaje się, że Zenek lubił najprostsze rozwiązania. Podsunąłem mu kolejną puszkę, mającą pozbawić go ewentualnych resztek zahamowań.

– Eee... zaraz by na mnie zwała! Nie, zadzwoń do tych ludzi, mam numery, i powiedz, że jak nie zostawią mnie w spokoju... Postrasż ich. – Wyciągnąłem banknot stułotowy. – A to będzie dla ciebie, żebyś nie myślał, że robię sobie na twoje konto jaja.

– Dobra, dawaj telefon! – Mój druh odczuwał już kategoryczny imperatyw robienia dobrych uczynków. – Tylko wybierz mi numer. Już

ja tym łachudrom wygarnę.

Numery właściwych redakcji wprowadziłem już wcześniej, wystarczyło je teraz odszukać w spisie.

– Trzymaj, wciśnij zieloną słuchawkę. – Podałem mu aparat i kartkę z nazwiskiem Muchy. – Gadaj z nimi po męsku! Że mają przestać grzebać w życiorysie tego człowieka, bo spotka ich coś wybitnie nieprzyjemnego!

Słyszałem cichutki przerywany sygnał, potem jakiś głos powiedział kilka słów. Mój towarzysz nie dał mu dokończyć:

– A rzesz, wy kurwa pierdolona wasza mać! Jak się nie odpierdolicie... od Konrada Z... to rozpierdolę tę waszą zajebaną budę, że sfajdata się w buty, będzieta żyć własne gówna! Chuj was obchodzi, pierdolone matoly, co ta kurwa naszczekała na porządnego człowieka. Kłapcie dalej ryjami, stare kutasy, to poupierdalam wam łby i nasram do szyi. – Zaczepnął tchu, usłyszałem ze słuchawki coś o policji. Jakaś babina z siatkami stanęła nieopodal i spoglądała na nas wstrząśnięta. Dawałem mu rozpaczliwe znaki, żeby już skończył, ale on chciał uczciwie zapracować na swoją stówkę. – Nie strasz mnie mendownią, bo jak ci naflekuję w dupę, to z głodu zdechniesz, zanim spadniesz na ziemię!

Odebrałem mu telefon, szybko wyjąłem kartę i przełamałem. Napilem się piwa, które teraz przełykałem jak wodę, i złapałem się obiema rękami za głowę.

– Co, dobrze było? Ma się bajerę, nie?

– No... niezupełnie o to chodziło. Ale generalnie nieźle, chyba zrozumieli. – Pomyślałem, że nie warto kontynuować operacji w stylu Zenka. Chociaż właściwie? Nazwisko Muchy padło, niezadowolenie klienta z grzebania w jego sprawach było wyraźnie podkreślone... Nawet bardzo wyraźnie. – Niezły byłeś, ale spróbuj spokojniej, nie tak nerwowo. Nie przeklinaj za dużo. Powiedz, że będą mieć bombę w redakcji, a nie, że urwiesz im i nasrasz. Oni nie kumają prostego języka.

– Że niby bardziej na seriożno?

– No! Ostro, ale spokojnie. Jakbyś był szefem! I koniecznie podkreśl, że masz wysoko postawionych znajomych, którzy wiele ci zawdzięczają. Rozumiesz?

Pobiegłem do sklepu po ćwiartkę, co okazało się niezwykle skutecznym posunięciem. Koleś nabrał animuszu, jego ukryte talenty aktorskie ujawniły się w całej pełni. Draka zakrapiana suto alkoholem wyjątkowo przypadła mu do gustu, zwłaszcza gdy wręczyłem mu przyrzeczony banknot i obiecałem następny. Musiałem tylko uważnie słuchać, co mówi do telefonu, i dosłownie wyrywać mu aparat w odpowiednim momencie. Zaczynał dobrze: ochryplym, niskim głosem rzucał groźby karalne, ponuro informował rozmówcę, co go czeka, jeśli Konrad Z. nie zostanie pozostawiony w spokoju. Łypiąc na mnie szelmowsko, dorzucał parę nazwisk prominentnych, acz nieco skrajnych polityków, którzy nie dadzą zrobić mu krzywdy. Szybko jednak wypadał z roli nieubłaganego gangstera i przestawiał się na menelski slang, w którym forma zdecydowanie górowała nad treścią. Jeśli nie zdążyłem wyszarpać mu aparatu, rozmówca zyskiwał sporo wiedzy o swoim nieczystym pochodzeniu i ekskrementach, w jakich niedługo będzie miał okazję się nurzać. W sumie mogłem być zadowolony: adresaci naszych donosów na Muńka zyskali dodatkowy materiał do przemyśleń. Musieli odnieść nieuchronne wrażenie, iż obiekt, o którym była mowa, posiada cholernie spaskudzony życiorys i sumienie ciemne jak cementarz o północy, skoro tak mu zależy na niedotykaniu jego osoby. Dla rasowego dziennikarza będzie to wystarczająca podnieta do działania.

\*\*\*

Jacek wyszedł rano i miał wrócić wieczorem. Wiedziałem, gdzie przebywa, i choć rozsądna część umysłu szeptała, że nic mi do tego, bo każdy ma prawo lokować uczucia tam, gdzie mu się podoba, czułem się opuszczony. W jakiś nieuchwytny sposób brakowało mi tej podświadomej wiary, iż jestem ważny dla kogoś takiego jak Wanda. Nie miało to nic wspólnego z banalnym zauroczeniem osobą odmienną płci. Chyba nie miało. Przecież nie podobała mi się, nie pociągała mnie fizycznie... Nie umiałem dokładnie sprecyzować swych odczuć, nawet nie próbowałem, jedynie gdzieś na skraju świadomości pętało się uczucie odrzucenia i żalu.



Ech, do dupy to wszystko! Ubrałem się szybko i poszedłem do kiosku po fajki i gazety. Gdy wróciłem, włączyłem telewizor i zerkając od czasu do czasu w ekran, przeglądałem prasę w poszukiwaniu interesujących mnie wiadomości.

Sądziłem, wbrew opinii mojego kumpla, że wypadki potoczą się wolno i nie znajdą szczególnie spektakularnego wyrazu w mediach. Jednak nie miałem racji. Lawina ruszyła niemal natychmiast. Z niedowierzaniem przechodzącym chwilami w panikę obserwowałem jej narastanie.

Pierwszy zareagował popularny dziennik, lubujący się w wieszczaniu nadciągających katastrof, mających za sprawą uwikłanych w międzynarodowe spiski polityków, sekt, masonów i diabli wiedzą kogo unicestwić populację planety – tylko, cholera wie, po co? Nie próbowali nawet weryfikować naszych informacji. Nazajutrz po telefonie Zenka na pierwszej stronie widniała skrzywiona ponuro facjata Muchy z czarnym paskiem na oczach. Tytuł grzmiał: „POLITYCY W SŁUŻBIE GANGSTERA!!! CZY KONRAD Z. ZREALIZUJE GROŹBY?!”. Sensacyjny tekst informował, iż w wyniku prowadzonego od dawna dziennikarskiego śledztwa redakcja wpadła na trop wstrząsającej afery. Jej bohaterem jest znany powszechnie mafioso, który za pomocą przekupstwa, szantażu i zbrodni zdołał stworzyć struktury zorganizowanej przestępczości, penetrujące swymi mackami najgłębsze dziedziny życia gospodarczego i politycznego kraju. Korzystając z wiarygodnych źródeł (czyli Jacka i mnie?), gazeta ustaliła, iż niejaki Konrad Z., pseudonim Mucha, planuje całkowite unicestwienie konkurencji. Jest do tego stopnia przebiegły i pewny siebie, że pokieruje całą akcją z Izraela, dokąd udaje się w najbliższym czasie. Wspomniany osobnik za pomocą niezwykle sprytnych operacji bankowych umieszcza swe przestępcze kapitały na bezpiecznych zagranicznych kontaktach, którymi może posługiwać się z dowolnego miejsca na Ziemi. Jego plany skupienia w swoim ręku władzy nad światem przestępczym wspierane są przez prominentnych przedstawicieli życia politycznego kraju, dzięki czemu Konrad Z. czuje się całkowicie bezkarny. Dłaczego więc zamierza

zadekować się w Tel Awiwie? Otóż, jak sądzą wspomniane wcześniej źródła, powiązania i zamierzenia Muchy nie ograniczają się do naszego kraju. Pomysł założenia bazy w państwie, w którym procedury ekstradycyjne są niezwykle skomplikowane i mało skuteczne, gwarantuje komfortowe warunki zarządzania podziemnym syndykatem. Gdy gangster dowiedział się, iż dziennikarze gazety zamierzają przerwać znowę milczenia wokół jego poczynań, zareagował natychmiast, grożąc redaktorom śmiercią. Ciekaw byłem, czy nagrali pogróżki Zenka – jeśli tak, to prokuratura będzie miała lepszy ubaw. Oczywiście natychmiast stwierdzą, że to nie Mucha bluzga z taśmy menelskim slangiem, ale redakcja, rzecz jasna, nie uzna za stosowne sprostować hiobowych wieści. Nakład przede wszystkim!

Artykuł wywołał u mnie dosyć ambiwalentne odczucia, jednak nie stłumiło to satysfakcji. Lawina ruszyła! Po południu w telewizji ukazały się wypowiedzi kilku posłów, znanych z podsycania swej popularności w dość groteskowy sposób, którzy zwietrzyli szansę zyskania paru punktów w rankingach. Oznajmili z powagą o wystąpieniu do prokuratury z żądaniem wyjaśnienia, czemu znany przestępca może bezkarnie, a wręcz za wiedzą organów ścigania, prowadzić swoją brudną działalność. Dlaczego, mimo wielokrotnych apeli ich ugrupowania, pragnącego bezskutecznie zaprowadzić ład i porządek w kraju, możliwe jest panoszenie się korupcji?! Kto stoi za Konradem Z.? Jakie ciemne interesy prowadzone są ze światem przestępczym? Napuszony bełkot „mężów stanu” sprawił, iż mimowolnie doszukiwałem się sensu w tych bzdetach. Czyżbyśmy przypadkowo wpadli z Jackiem na trop prawdziwej afery? Może Mucha rzeczywiście był gigantem zbrodni, któremu jedzą z ręki najważniejsze osobistości w państwie? Wątpliwości nie rozwiał rzecznik policji. Zasłaniając się dobrem prowadzonych intensywnie czynności dochodzeniowych, odmówił skomentowania afery, poprzestając na stwierdzeniu, że organa ścigania od dawna zajmują się osobą Konrada Z. Właśnie rozesłano za nim listy gończe.

Na szczęście nasi politycy nie pozwolili mi popaść w paranoję. Gdy jeden z nich oznajmił, iż jest w posiadaniu niezbitych dowodów

powiązań Muńka z planowanym zamachem stanu, jednak z obawy o swoje życie przedstawi je dopiero, gdy zostanie wybrany na prezydenta, natychmiast wróciłem do rzeczywistości. Sprawy toczyły się we właściwym kierunku i tylko to się liczyło. Mojemu wrogowi wszystko zaczęło się walić na głowę. Był na widelcu opinii publicznej i wątpiłem, czy może choćby puścić bąka tak dyskretnie, by nie nagrał tego jakiś schowany w krzakach reporter. Policja i prokuratura nie mogła pozwolić sobie na bezczynność. Musieli wykazać się działaniem, żeby ukrócić spekulacje na temat nietykalności Muńka. Jego otoczenie nie będzie zachwycone niezdrowym zainteresowaniem organów ścigania. Z pewnością nikt z branży nie zechce zbliżyć się do niego na odległość wzroku, a przy odrobinie szczęścia mogą nawet zechcieć wyeliminować na zawsze czarną owcę. A gdy z wielu źródeł dotrą do nich informacje, że postanowił z pomocą donosów i ostrej amunicji pozbyć się konkurencji, to lepiej, żeby nie stawiał sobie pasjansa z pytaniem o przyszłość.

Kolejne dni były podobne do siebie jak jednojajowe bliźniaki. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia obserwowałem coraz zajadlejszą nagonkę. Mucha popełnił kilka błędów, za które musi zapłacić. Nie powinien był grozić mojej żonie i córce, a przede wszystkim robić krzywdy Wandzie. Nie posiadając samemu głębszych uczuć, nie mógł wiedzieć, do czego zdolny może być zdesperowany mężczyzna.

Tymczasem, jeśli wierzyć mediom, Muniak zapadł się pod ziemię i wszelkie próby dotarcia do niego spełzły na niczym. Przypuszczalnie bardziej obawiał się dintojry niż prokuratora. Politycy zaprezentowali swoje zdecydowane opinie i przycichli, czekając na kolejną okazję do pojawienia się w świetle jupiterów. Popularne gazety spłodziły jeszcze kilka artykułów i obiecały informować na bieżąco czytelników o postępach dziennikarskiego śledztwa.

\*\*\*

Siedziałem znudzony przed telewizorem. W zapadającym powoli zmroku pokój skurczył się do rozmiarów pakamery rozświetlanej

nieregularnym migotaniem małego ekranu. Jak zwykle przyciszyłem fonię, obojętnie obserwując ukazujące się obrazy. Wzmianki o Muńku były coraz rzadsze, niewątpliwie dlatego, że rozwiął się jak duch. Nawet głodne sensacji hyeny dziennikarskie nie potrafiły go wytropić.

Jacek wziął malucha, mimo iż ledwie się do niego mieścił. Odwróciłem głowę w stronę okna, nasłuchując charakterystycznych dźwięków kaszłaka anonsujących powrót kumpla. Powinien pojawić się lada chwila i po raz kolejny zapewnić mnie, że koniec Muchy jest nieuchronny – to tylko kwestia czasu. Wiedziałem, a raczej wierzyłem, że to prawda, ale...

Minął prawie tydzień od chwili, gdy rzuciliśmy kamyki mające wywołać lawinę. I lawina ruszyła. Potężna i niszcząca w chwili powstania, teraz traciła impet, dając przeciwnikowi szansę okopania się i nabrania oddechu. A on nie był głupi. Bandzior tego formatu nie osiągnąłby swojej pozycji, gdyby nie umiał wykaraskać się z trudnych sytuacji. Miał szansę? Cholera wie, co taki wymyśli? Ile to już trwa... tygodnie... nie, raczej miesiące – straciłem rachubę czasu, który odmierzany dotąd prozaicznym rytmem: praca, dom, praca, zaczął nagle zwalniać i przyspieszać niczym samochód z początkującym kierowcą. Dorota z córką schowała się w mysiej dziurze i zgodnie z umową nie daje znaku życia. Staralem się nie myśleć o moich kobietach, skoncentrowany na terażniejszości zapominałem momentami, że mam rodzinę. Ale ona przecież czekała na wiadomość, oglądała telewizję, czytała gazety. Wie o nagonce na Muchę, domyśla się, kto za tym stoi. Gdyby nie obawa o dziecko, pewnie już dawno spróbowałaby skontaktować się ze mną. A Muniek dałby wiele, żeby dorwać ją w swoje przednie łapska – musiał się w końcu zorientować, kto uczynił z niego gwiazdę pierwszej wielkości. Miałby szansę zmusić mnie do kapitulacji i przeciąć wreszcie wrzód, jakim było moje istnienie. Tyle że ja nie pragnąłem jeszcze podróży na tamten, ponoć lepszy świat. Ten dostarczał wystarczająco wiele emocji.

Jakieś odgłosy na klatce schodowej zakłóciły moje pesymistyczne wizje. Korytarzem szło kilka osób, słyszałem wyraźnie ciężkie kroki.

Spięty niepokojem zerknąłem w stronę otwartego okna, jednak nie ruszyłem się z fotela – pamiętałem, jakiego durnia zrobiłem z siebie poprzednio, gdy listonosz sprowokował mnie do ucieczki. Ale wieczorem nie doręcza się listów...

Kroki umilkły pod naszymi drzwiami. Może sąsiad szuka kluczy? Cisza. W chwilach niepewności umysł potrafi czasem podjąć zaskakująco racjonalne działania: uniosłem się z fotela, rejestrując ciężar atrapy pistoletu przy pasku, jedną ręką sięgnąłem po leżący na stoliku telefon, drugą wymacałem w kieszeni resztki gotówki i kartę do bankomatu. Cichutki chrobot od strony korytarza i odgłos naciskanej ostrożnie klamki. Zdążyłem jeszcze chwycić paralizator leżący na stoliku. Byłem już na parapecie, gdy ostry dźwięk dzwonka do drzwi dosłownie wypchnął mnie na zewnątrz. Lecąc w mrok, w ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że nie dopadli Jacka, bo mieliby klucze od mieszkania.

Wylądowałem ciężko na trawie. Przez chwilę leżałem, opanowując ból i zbierając myśli. Uniosłem się z trudem i chciałem pobiec, ale nie zdążyłem. Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch, silne uderzenie w plecy powaliło mnie na ziemię. Brutalnie wgniatany w murawę, poczułem chłód metalu zaciskającego się z trzaskiem na wykręconych do tyłu rękach. Światło latarek wyluskało niewyraźne kontury kilku postaci. Ujrzałem dłoń trzymającą metalicznie połyskujący przedmiot skierowany w moim kierunku. Szarpnąłem się konwulsyjnie.

– Leżeć, kurwa! Nie ruszać się! – rozkaz został wydany beznamiętnym, władczym tonem.

Ktoś poderwał mnie na nogi i popchnął. Szedłem jak lunatyk. Nie bałem się, bo po prostu nie miałem na to czasu. W asyście czarnych cieni, potykając się, maszerowałem przed siebie. Dlaczego mnie nie zrewidowali? Wiedzieli, że jestem niegroźny? Więc czemu kajdanki? Zaraz wrzucą mnie do bagażnika... Nie, nie idziemy na parking... chcą mnie załatwić na miejscu?

Niemal biegiem poprowadzono mnie w stronę wejścia do budynku. Potknąłem się w progu, ale silne ręce trzymały mnie mocno. Nie

miałem szansy rozejrzeć się ani zorientować w sytuacji. Moi oprawcy byli zdecydowani i sprawni jak automaty. Przemknęliśmy szybko ciemnym korytarzem i znów byłem w mieszkaniu Jacka.

– Jak miło, że wpadłeś!

Jola obrzuciła mnie pogodnym spojrzeniem. Ubrana była raczej skąpo, niczym frywolna panienska ruszająca na łowy. Albo w policji zmieniły się regulaminy, albo ona miała specjalne prawa.

– Porozmawiamy – wycedziła drapieżnym tonem i niespodziewanie rzuciła gdzieś w przestrzeń za moimi plecami: – Rozkuć go i czekać na zewnątrz!

– Co... czemu? – Nie wiedziałem jeszcze, czy się cieszyć, czy martwić. Ulga, że żyję i nikt mnie nie zastrzeli w najbliższym czasie, sprawiła, iż dziwnie zmiękły mi nogi. Może zresztą nogi mi zmiękły także z innych powodów. W skołatany umyśle błąkało mi się coś o wpadaniu z deszczu pod rynnę.

– Utniemy sobie miłą pogawędkę, mamy dużo czasu... – W jej ruchach dostrzegłem dziwną ekscytację. Krążyła po pokoju, czekając, aż zostaniemy sami.

Padłem na fotel i przesunąłem wzrokiem po jej krótkiej spódniczce opinającej ciasno idealne wypukłości. Przed oczami przemknęły mi obrazy niedawnych wydarzeń z nią w roli głównej. Cholera! Zaczynałem na nią reagować jak pies Pawłowa.

– Misiu! – ostry ton sprowadził mnie na ziemię. Jednak nie całkiem. Mimowolnie zdziwiłem się, jak można w takich chwilach miewać erotyczne skojarzenia. Musiała mieć jakiś wzmacniacz feromonów, działający niezależnie od okoliczności. – Powiesz mi teraz wszystko jak na spowiedzi! Jasno, zwięźle i na temat.

– Wszystko... Przecież ty wiesz wszystko. – Pomasaowałem otarte nadgarstki i sięgnąłem po papierosy. – Jak mnie znaleźliście?

To ja zadaję pytania, gadaj!

Ale co, do diabła?! Ukrywam się u kumpla, wiesz dlaczego. Co jeszcze mogę ci powiedzieć, czego byś nie wiedziała?

– Nie udawaj głupszego niż jesteś! Rozwaliłeś nam akcję u Muchy, a

potem wsiąkłeś. Równocześnie zaczęły dziać się dziwne rzeczy: anonimowe donosy, wieści, jakoby planował wykoszenie konkurencji, jakieś idiotyczne manewry z bankiem i ambasadą Izraela, operacja plastyczna. A wszystko jawnie i po partacku, jakby Muniek sam wystawiał się na strzał. Tylko że my nie wierzymy w nagłe zdziecinienie przestępców. Ktoś go nieudolnie wrabiał – jakiś miłośnik amatorskiego wymierzania sprawiedliwości. Ktoś sprytnie wykorzystał internet, zacierając za sobą ślady. Jednak nie dość dokładnie... – Zerknęła na komputer Jacka. – To nie było proste, ale mamy trochę lepszy sprzęt i całkiem dobrych speców od tropienia piratów sieciowych.

– To po co pytasz? Zrobiłem to, co umiałem. Wiesz, co się czuje, kiedy bandyci chcą porządzić na kawałki ciebie i twoją rodzinę, a policja myśli tylko o postawieniu ci jakichś durnych zarzutów?

Wiatr wydmął lekko firankę, kątem oka spojrzałem w stronę okna.

– A czyja to wina, Misiu? Kto zabawiał się w Zorra zamiast zostawić sprawę fachowcom?

– Nic nie rozumiesz, prawda? Tylko przepisy się liczą? Jakby mnie zabili, mogłabyś aresztować Muchę i zaśluzyc na awans. A mnie to nie rajcuje. Nie uczą was odróżniać ofiar od...

– Nie jesteś ofiarą!

– No to mnie, kurwa, wypuść! Wrócę do swojego domu, do pracy. Przedtem złożę wyczerpujące zeznania. Jak długo pożyczę? Ile mi dajesz czasu, dzień, tydzień? Gównu cię to obchodzi! Będziesz wreszcie miała swoją ofiarę! Idealną, bo milczącą...

– Ejże, opanuj się! Teraz trochę za późno na refleksje. Narobiłeś bajzlu, siedzisz w gównie po uszy i jęczysz, że nie chcemy ci pomóc? Pomożemy... – Wlepiła we mnie głodne spojrzenie. – Mucha nie zbliży się do ciebie na kilometr. Mamy taki przytulny pokoik przesłuchań, dźwiękoszczelny. Nikt nas nie będzie niepokoił, pogadamy sobie. Mam paru kumpli, specjalistów od rozwiązywania języka, jestem ci coś winna...

– Policja nie może...

– To nie policja zrobi ci kuku, tylko ja!

Blefowała, czułem to. Chciała czegoś ode mnie i próbowała zrobić mi małeńkie pranie mózgu. Na wyrównanie rachunków miała jeszcze mnóstwo czasu. A i scenografia nie bardzo się nadawała.

Odetchnąłem głęboko i z udawaną rezygnacją spojrzałem jej w oczy.

– Dobra, rób swoje. Chcesz mi dołożyć, masz powody... – Podeszedłem do okna i położyłem ręce na grzejniku. Zastanawiałem się, czy zdołam jednym susem przesadzić parapet. Jola stała ciągle w tym samym miejscu i patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. – Przykuj mnie do kaloryfera, zrób swoje, a potem powiedz, o co ci naprawdę chodzi.

– Nawet nie próbuj, nie przejdiesz dwóch kroków!

– Zauważyła, że musnąłem dłonią parapet i spojrzałem kątem oka za okno. – Widzę, że coś do ciebie dociera. Prokurator faktycznie nie robi ci wiele. Działanie w stanie zagrożenia życia, ograniczona zdolność oceny spowodowana stresem. Media wykreują cię na bohatera. Opinia publiczna nie da ci zrobić krzywdy, wybronisz się. W ostateczności prezydent cię ułaskawi... – Jej wzrok stwardniał, zmrużyła oczy. – Twoje zeznania nie wniosą wiele, toteż kilka faktów można opuścić.

– O tym, jak cię...

– Zamknij się! – Podeszła nagle z zaciśniętymi pięściami, jakby chciała mnie rąbnąć. Jej zwinne ruchy kryły w sobie furję. – Kiedyś ci tak przerobię facjatę, że bez badania DNA nie pozna cię własna żona! Rozglądaj się dobrze i omijaj ciemne ulice. A teraz posłuchaj: potrzebuję twoich zeznań. Jasnych i na temat! Rozumiesz?!

– Chyba tak...

– Żadne chyba! Efektem twojego wpięprzania się w cudze sprawy są wątpliwości co do przyczyn niepowodzenia działań operacyjnych mojej grupy. Góra chce mieć winnych i będzie ich miała! Tak czy owak!

– Efekt synergii...

– Przestań pieprzyć! Nie potrzebuję pseudonaukowego bełkotu, muszę im dać precyzyjny raport.

– W porządku, rozumiem. – Odwróciłem szybko głowę, żeby jej nie prowokować. – Zeznam, co tylko chcesz. Zamknijcie mnie albo wypuście, tylko niech to się już skończy.



Ulicą przejechał wolno czarny kształt, mimo późnej pory miał wyłączone światła. Odprowadziłem go bezwiednie wzrokiem, myśląc o czymś innym. Jacek powinien już dawno wrócić. Czyżby został na noc u Wandy? Lepiej, żeby zabrali mnie na komendę, zanim się pojawi i też go zgarną. Może zauważy jakieś ślady albo sąsiedzi mu powiedzą o policji. Najlepiej gdyby zadzwonił. Jeśli nie odbiorę albo pozwolą mi gadać, jakoś dam mu znać. Skuma, że powinien zniknąć. Razem z naszą, a raczej już swoją, arystokratką.

– Dobra, teraz pojedziemy...

Coś jeszcze mówiła, ale nie słuchałem. Czarna bryła znów wypłynęła zza bloku, teraz jechała jeszcze wolniej. Wydało mi się, że rozpoznaję znajomy kształt. Przykucnąłem odruchowo i cofnąłem się za zasłonę. Jola zamilkła zaskoczona tymi manewrami.

– Widzisz ten wóz? – szepnąłem nerwowo. – Ludzie Muchy takiego używają!

– I co z tego, mało to czarnych samochodów?

– Przejeżdża tędy drugi raz. Bez świateł! Jeśli wy mnie znaleźliście...

Jednak była profesjonalistką, zastanowiła się sekundę i niczym iluzjonista wydobyła z zakamarków dyskotekowych fatalaszeków radiotelefon.

– Alarm! Podejrzany samochód: czarna terenówka bez świateł podjeżdża pod budynek. Dwóch ludzi do mnie, reszta wchodzi na schody i czeka piętro wyżej! Kto pilnuje okna?

– Michał – padła skrzekliwa odpowiedź.

– Michał, obstawiasz wejście. Schowaj się i melduj, jeśli się zbliżą. Uwaga, jeżeli to ludzie Muchy, będą uzbrojeni!

Przysiągłbym, że pod skąpym odzieniem przylegającym do naturalnych wypukłości mogła ukrywać co najwyżej tatuaż, a i to niezbyt okazały, jednak Jola popisała się kolejną sztuczką prestidigitatorską: wyciągnęła skądś pistolet i ulotniła się do przedpokoju. Usłyszałem skrzyknięcie zawiasów i przytłumione szepty, potem wszystko ucichło. Zajęli pozycje po obu stronach drzwi, a ja zająłem swoją przy oknie. Czułem się jak sprinter przyczajony w

blokach.

Wdawało mi się, iż oczekiwanie trwa potwornie długo, w rzeczywistości upłynęło raptem parę minut. Słyszałem jedynie przytłumione szepty, którymi Jola porozumiewała się ze swoimi ludźmi. Wyraźnie coś się działo... Zaciśnąłem dłonie na parapecie.

Nagle potężna detonacja wstrząsnęła ścianami. Nim przebrzmiał huk, ja już leciałem w ciemność. Chyba nabierałem wprawy, gdyż wylądowałem z klasyczną przewrotką i po sekundzie, goniony dochodzącymi gdzieś z góry odgłosami wymiany ognia, pędziłem w stronę parkingu. Zwolniłem po chwili, gdy uświadomiłem sobie, że bandyci i gliniarze mają inne problemy niż pościg za mną.

I nie bardzo już miałem dokąd uciekać. Niespokojne myśli kotłowały mi się pod czaszką, niczym stado przerażonych myszy szukających wyjścia z labiryntu. Co się stało? Policja mnie namierzyła poprzez ślady w internecie, mógł i Mucha. Nie, on chyba nie miał takich speców od komputerów. Czemu Jacek jeszcze nie wrócił? Jego stosunki z Wandą weszły na nowy poziom? Ale wiedział, że będę się niepokoił. Na pewno by zadzwonił! Wyjąłem telefon i wystukałem numer. Znudzony głos z taśmy poinformował uprzejmie, że abonent jest czasowo niedostępny, i zasugerował z wyraźną ironią, żebym spróbował później.

Blok Jacka jest typowym wieloklatkowym mrówkowcem. Obszedłem go i wychyliłem się ostrożnie zza rogu. Od frontu było pusto, tylko na balkonach zaczęli pojawiać się ludzie wywabieni odgłosami strzelaniny. Kilkadziesiąt metrów przede mną, w mroku pod zepsutą latarnią, stała czarna terenówka. Jeśli nie wyjęli kluczyków... Mała szansa, ale jednak. Znalazłem na ziemi kamień i rzuciłem w stronę czarnego kształtu, uświadamiając sobie jednocześnie, jak idiotycznie się zachowuję – jeśli zostawili kogoś w środku, to wystawiam się na strzał niczym zając na śniegu. Kamień stuknął głośno o karoserię i... Nic się nie stało. Odczekałem jeszcze trochę i podszedłem wolno, spięty do odwrotu. Gdzieś z oddali dobiegło wycie policyjnej syreny. Zajrzałem przez przyciemniane szyby i nacisnąłem klamkę, drzwi uchyliły się bezszelestnie. Kluczyki w stacyjce kołysały się lekko.

Silnik pomrukiwał cichutko przez sen,jechałem siedemdziesiątką, a on zapewne budził się gdzieś koło setki. Spoglądałem uważnie w lusterka. Liczyłem, że policja jeszcze nie zarządziła obławy. Zresztą nie zamierzałem ryzykować – przesiądę się do maluszka, gdy tylko do niego dotrę. Jacek wciąż nie odbierał telefonu. Łudziłem się, że nie chciał, by mu przeszkadzano, cokolwiek robił, ale resztki nadziei wyciekały ze mnie, niczym krew z zarzynanego prosiaka. Krew! Połała się już dzisiaj. Nacisnąłem pedał gazu, ale natychmiast zdjąłem nogę. Nie było gdzie się spieszyć. Jeśli u Wandy coś się stało, to i tak jest już za późno. Modliłbym się, gdybym wierzył, iż to coś pomoże, jednak oznaczało to pogodzenie się z losem. Resztki nadziei kazały mi jeszcze wstrzymać się z odwołaniem do ostatecznej instancji, bo potem nie zostanie mi już nic prócz rozpaczy.

Może wcale nie trafili do niej. Przecież Jacek by im nie powiedział, gdzie mnie znajdują. Tylko co z tego? Nie musiał, miał przy sobie prawo jazdy z adresem. Czemu nie pomyśleliśmy, że Mucha może tam węszyć? Wydawał się tak osaczony, pozbawiony możliwości manewru, że nie powinien zajmować się niczym innym niż ratowanie skóry. A Wanda tylko wynajmowała mi kiedyś pokój. Nie miałem – z jego punktu widzenia – najmniejszego powodu, by się tam pojawiać. Więcej, powinienem jak ognia unikać tego miejsca! Tyle że on po prostu musiał mnie dopaść, jednym pociągnięciem spustu pozbyć się świadka zbrodni, potem przyschnąć i przeczekać zamieszanie. Po mojej niefortunnej wizycie wreszcie skapował, kto mu tak zafajdał opinię. Mógł nawet sądzić, że jestem w zмовie z Jolą. Sprawdzał wszystkie możliwości i wreszcie u Wandy trafił na mój trop.

Zwolniłem, wjeżdżając w uliczkę, przy której powinien stać mój maluch. Stoi... nie, to jakiś inny. Minałem kamienicę i zaparkowałem w pustym miejscu za śmietnikiem. Wysiadłem i rozejrzałem się. Pomyślałem, że może niepotrzebnie panikuję – jeśli nie było tu mojego samochodu...

Był, stał nieco dalej, wciśnięty między dwie osobówki normalnych rozmiarów. Czyli powinni być w domu. Jeszcze raz wyjąłem telefon,

wystukiwałem świecące cyferki z taką uwagą, jakbym wprowadzał kod rozbijający głowicę atomową, która – jeśli się pomyśl – rozpylił mnie na cząstki elementarne. Nie musiałem zbliżać aparatu do ucha, w nocnej ciszy głos brzmiał jak memento: „...bonent chwilowo niedostępny, prosimy spróbować później...”. Wdusiłem czerwoną słuchawkę, jakbym rozgniatał pluskwę.

Wdrapywałem się w ciemnościach na czwarte piętro, truchlejąc przy najmniejszym szeleście. Minąłem drzwi Wandy, wymacałem dwa przyciski i wcisnąłem ten od światła. Wszystko wyglądało normalnie, panowała cisza. Cholera, czemu, u diabła, nie spojrziałem na dole w jej okna?

Gdy zastanawiałem się, czy warto złączyć, żeby sprawdzić światła w mieszkaniu, zadziałał automatyczny wyłącznik. W ciemnościach poczułem się jakby pewniej, więc nacisnąłem delikatnie klamkę. Równocześnie dotarło do mnie, iż przesadnie ostrożne zachowanie nie ma właściwie sensu – nie jestem komandosem. Jeśli czają się tu bandyci, to rozwalą mnie, zanim pomyślę o ucieczce. Powinienem był wezwać po drodze gliny, pogotowie i straż pożarną, zamiast samemu ładować się do środka. Może zadzwonić na policję i spieprzać gdzie pieprz rośnie? A potem w towarzystwie skrzynki gorzały czekać, aż problemy same się rozwiążą, bo przecież rozwiążą się tak czy inaczej. Nikt nie będzie nic wiedział, nikt nie osądzi mojego postępowania. Tylko ten gość spoglądający każdego ranka z lustra. Zauważyłem jeszcze mimochodem, jak wiele rzeczy można przemyśleć w ciągu paru sekund, i pchnąłem lekko drzwi. Włączyłem światło.

Wanda leżała na podłodze w kącie pokoju, miała związane ręce i nogi. Nie miała nic na sobie. Obok wałały się strzępy materiału, w których rozpoznałem jedną z jej sukienek. Nie poruszała się, rozległe sińce na bladej skórze sprawiały, że wydawała się jeszcze bardziej krucha. Ślady krwi na twarzy wyglądały, jakby płakała czerwonymi łzami. Ale ona nie płakała, patrzyła na mnie swym niewidzącym wzrokiem, dumnie ignorując swój żałosny stan. Czerwone krople i rozmazane smugi na podłodze wskazywały, że czołgała się w stronę Jacka. Teraz

skrępowanymi dłońmi trzymała jego ręce. Mój przyjaciel wyglądał okropnie, zmasakrowana twarz i bezwładna pozycja ciała sprawiły, iż poczułem lodowaty oddech śmierci krążącej w pokoju. Przeraziła obawa i poczucie winy sparaliżowały mój umysł. Jedyne, co jeszcze potrafiłem uczynić, to wyjąć telefon i w jakimś rozpaczliwym przebłysku racjonalności wykręcić numer pogotowia. Telefonistka musiała mieć doświadczenie w rozpoznawaniu wiarygodności wezwań, bo nie rozpytywała o żadne idiotyczne szczegóły, prócz adresu. Padłem na kolana i niezdarnie próbowałem pomóc Jackowi. Zdawało mi się, że poruszył ustami, czując mój dotyk. Pobiegłem do kuchni i złapałem nóż do chleba. Przeciąłem więzy ostrożnie, żeby nie pokaleczyć dodatkowo zmaltretowanych ciał. Mój przyjaciel rozchylił powieki i chyba mnie poznał, bo spróbował coś powiedzieć.

– Nic nie mów, już wszystko dobrze.

– Oni... pojechali... – Bardziej domyśliłem się, niż zrozumiałem, co chciał powiedzieć. Każde słowo oddzielał chrapliwy oddech. – ...ciebie.

– Wiem. Spojrzeli w twoje prawo jazdy i zobaczyli adres – powiedziałem łagodnie, żeby go uspokoić.

Wanda, kulejąc, poszła gdzieś i po chwili pojawiła się cicho jak zjawa, trzymając w ręku mokry gałgan, który przytknęła mu do twarzy. Nie pomyślała nawet, żeby się czymś okryć. Normy i obyczaje nic teraz nie znaczyły. O ile w ogóle coś znaczyły.

– Nie... ja... nie mam prawa jazdy... – Jacek jakby odzyskiwał nieco siły. – Powiedziałem im, musiałem...

– Ja też bym powiedział! – mówiłem prawdę i chciałem, żeby o tym wiedział. Popatrzyłem na leżące obok strzępy materiału i na próbującą pomóc mu jakoś Wandę. Z wyraźnym wysiłkiem przezwyciężała ból. – Czy oni ja...?

– Nie... – Oczy miał tak opuchnięte, że ledwie mógł rozchylić powieki. – Powiedziałem im zanim... spieszli się...

– Znają numery samochodu? – Nie chciałem go męczyć, ale musiałem wiedzieć, czy moja pomarańczowa bryczka jest trefna.

– Nie... sam nie pamiętam. I nie pytali... Usłyszałem daleki sygnał

pogotowia. Wyjąłem Jackowi z kieszeni kluczyki od malucha. Z sypialni wzięłem szlafrok i narzuciłem Wandzie na plecy. W progu pokoju doszedł mnie jego przerywany kaszlem, chrapliwy szept:

– Poldek, skończ to... już wystarczy. Nie można tego dalej... dalej...  
Idź na policję.

– Właśnie idę! Nie jestem żadnym bohaterem, boję się jak diabli. Powiem im wszystko i niech załatwią sprawę do końca. – Spojrzałem na klęczącą niby w modlitwie kruchą postać. Wanda kołysała się niczym w transie, po swojemu ignorując wredną rzeczywistość. Sygnał karetki był coraz głośniejszy. – Koniec z amatorszczyzną. Nie myśl już o tym.

Jack zaczął oddychać spokojniej. Uwierzył mi. A nie powinien.

Nie bałem się niczego. Już nie.

Na dworze skierowałem się w stronę czarnej bryki. Przydałaby mi się jak cholera, ale ona akurat była trefna – wszystkie patrole policyjne musiały już mieć jej numery. Uchyliłem tylną klapę. Karetka pogotowia minęła mnie i stanęła pod klatką. Wibrujący przenikliwie sygnał umilkł nagle, trzasnęły drzwiczki.

W głębi bagażnika leżało tylko koło zapasowe, narzędzia i kanister. Wzięłem baniak, przeszedłem do przodu i usiadłem za kierownicą. Otworzyłem kanister i umieściłem go płasko na fotelu obok, benzyna wylewała się z cichym chlupotem. Zajrzałem do schowka. Czarny kształt błysnął metalicznie. Wyjąłem pistolet, po krótkich manipulacjach znalazłem bezpiecznik, sprawdziłem magazynek i na próbę wprowadziłem nabój do lufy – nigdy nie strzelałem z czegoś takiego, ale byłem przecież w wojsku. Dotknąłem ostrożnie spustu. Ciekawe, czy lekko chodzi...

Zablokowałem gnata i wsadziłem za pasek pod bluzą. W pobliskim śmietniku znalazłem jakąś gazetę, podpaliłem ją i wrzuciłem do środka czarnej bryki. Nic się nie stało. Nie oglądając się, wsiadłem do malucha i zapaliłem silnik. Z tyłu huknęło głucho, pomarańczowa poświata rozlała się ciepłym blaskiem po okolicy. Odjechałem, nie czekając, aż zjawi się policja.

\*\*\*

Dziwne, jednak udało mi się zasnąć. Skulony w ciasnym wnętrzu, odpłynąłem na kilka godzin. O świcie, zmarznięty i zdrętwiały, udałem się w jedyne miejsce, które oferowało toaletę i posiłek, gwarantując jednocześnie całkowitą anonimowość: dworzec kolejowy. Wspomnienie menu z ubiegłego tygodnia w postaci gulaszu firmowego popite kawą po turecku nie poprawiło mojego samopoczucia, musiałem jednak coś jeść, żeby funkcjonować. W bankomacie wybrałem resztę gotówki. Było tego parę tysięcy, schowałem forszę, nie licząc dokładnie. Ciągle nosiłem przy sobie karteczkę z numerem, którego miałem nadzieję nigdy już nie używać. Wystukałem go powoli, wcisnąłem klawisz połączenia. Patrzyłem na mały ekranik – właściwie byłem przekonany, że Mucha pozbył się tego telefonu, ale chciałem się upewnić.

– Halo, słucham? – kobiecy głos brzmiał bezosobowo i sztucznie.

Pomyłka, cholera! A może gliny przejęły aparat? Albo... Muniak mógł zachować telefon, o ile numer był znany tylko wtajemniczonym. Tyle że sam nie odbiera.

– Apoloniusz. Chcę rozmawiać z Muńkiem. Będzie wiedział, o kogo chodzi!

– To chyba jakaś...

– Zadzwoń za pół godziny. – Wyłączyłem się. Wciąż nie byłem pewny, czy można namierzyć telefon, z którego akurat nikt nie dzwoni, ale dla pewności wyjąłem baterię. Jeżeli to gliny, nie dopadną mnie w ten sposób.

Kupiłem gazetę i papierosy, zamówiłem kolejną kawę w dworcowym barku. Na stoliku nie było cukru, popijałem gorzką lurę i trwałem w bezmyślnym oczekiwaniu.

Nie snułem żadnych planów. Czułem się jak w tunelu, którego wyjście ginie w mroku, choć nie można w nim zabłądzić. Można iść tylko do przodu lub do tyłu. Wiedziałem, co zrobię za parę minut, i tylko to było istotne.

Uzbroiłem aparat, znalazłem wybierane numery i wcisnąłem zieloną słuchawkę.

– No?! – To był on. Nawet się nie zdziwiłem. Jakąś częstką umysłu rejestrowałem pospolitą dworcową krzątanicę, jakby zdziwiony nieco, że otoczenie nie zastygło w bezruchu, ludzie nie odwracają głów w moim kierunku, nie milknie szum rozmów. – To ty, kurwa?!

– Słuchaj, ja już nie mogę... czego żeś się przypier... ja cię... – bełkotałem w słuchawkę, machinalnie wykonując niezborne ruchy i strojąc miny, jakbym rzeczywiście był pijany. – Jak cię... cię dorwę, to ci nogi z dupy powyrywam... ty gównojadzie... ty mucho...

– O! Leczymy się? – Milczał przez chwilę, niezdecydowany, w co powinien teraz zagrać. – Nie bój się, koleś, nic już do ciebie nie mam. Sprawy się wyprostowały. Słyszałeś o Zimalu? Gdzie jesteś? Napijemy się... pogadamy.

– Ja się z tobą...? Gdzie jestem... nie wiem... Heniek!... Kur... gdzie ja właściwie...

Upuściłem telefon na stolik – miało zabrznieć, jakby wypadł mi z ręki – i wyłączyłem go. Prędko wyjąłem baterię.

W toalecie dworcowej długo patrzyłem w lustro. Mokra blond trwała, jaką obdarzył mnie swego czasu mistrz grzebienia, przeistoczyła się w nieokreślonego bliżej koloru strzechę. Dwudniowy zarost i przespanie się w maluchu nadawały mi wygląd menela, który akurat na chwilę wytrzeźwiał. Spojrzenie podkrążonych oczu nie należało do mnie – było obce i beznadziejnie wyprane z uczuć, jak fotografia do policyjnej kartoteki. Obojętnie przyjąłem do wiadomości swoją prezencję, uznając, że nie wymaga poprawek. Wyszedłem na zewnątrz i bez pośpiechu zacząłem przechadzać się po hali.

Chłopak kiwał się jak w letargu. Rozbieganym wzrokiem próbował wyłuskać z otoczenia jakąś okazję – znajomego gotowego poratować go działką, może dziewczynę, która nocą zarobiła parę złotych. Stałem obok i odezwałem się cicho, żeby go nie przestraszyć:

– Cześć, nie widziałeś Krzyśka?

Spojrzał na mnie jak na plakat wyborczy i bez słowa odwrócił wzrok.

– Nie? Miał mi załatwić towar... Cholera, ledwie skołowałem trochę hajsu.



– Co...? – Patrzył na rękę, którą nerwowo macałem się po kieszeni. Słowa „towar” i „hajs”, poruszyły trybiki w dryfującym po narkotycznych prądach umyśle.

– Miał mi skołować prochy. Kazał przynieść stówę... – Kwota nie była może wstrząsająca, ale dla niego zapewne niebotyczna.

– Daj... – zaszczękał zębami. – Daj parę złotych. Załatwię...

– Krzysiek mówił, żeby nie kupować od pierwszego lepszego.

– Daj, nie pierdol... – Wreszcie udało mu się skupić na mnie wzrok – ...ja wiem, gdzie...

– Tylko prochy! Nie chcę dawać w żyłę. – Włożyłem rękę do kieszeni, pokiwał głową, śledząc moje manipulacje. Podałem mu kilka przygotowanych wcześniej banknotów o niskich nominałach i nowiutką stówę.

Nie oglądając się ani razu, chwiejnie podążył w głąb dworca. Widać, było mu wszystko jedno, czy nie jestem przypadkiem tajniakiem. Miał pieniądze – klucz do bram raj. Poszedłem za nim.

W przejściu, gdzie krzyżowały się drogi na perony, kłębił się spory tłumek podążających w różnych kierunkach ludzi. Sylwetka chłopaka zniknęła co chwila, by pojawić się parę metrów dalej. Zdawało mi się, że zamienił z kimś parę słów, przystanął na moment, potem znów wypłynął w innym miejscu. Nie zachowywał się jak ktoś, kto zmierza w określonym kierunku. Po paru minutach zagłębił się w mniej uczęszczanym przejściu podziemnym i zniknął w toalecie. Przez jakiś czas studiowałem rozkład jazdy, jednak chłopak ciągle nie wychodził. Wszedłem za nim. Rzuciłem pięć złotych na talerzyk i nie czekając, aż starowinka pilnująca papieru toaletowego spróbuje wydać mi resztę, poszedłem w stronę rzędu pisuarów. Narkoman wyszedł z kabiny i popatrzył, jakby próbował skojarzyć moją twarz. Coś mi mówiło, że czuje się o niebo lepiej.

– Masz?

Pokiwał tylko głową i wyjął z kieszeni mały, papierowy pakunek. Zajrzałem do środka, okrągłe kuleczki przypominały groszki, było ich może dziesięć.

– Ile trzeba wziąć, żeby odlecieć?

– Jedną... dwie. – Sam już wyraźnie odlatywał. Skrzyknęły drzwi w korytarzu, szybko schowałem pakunek.

Typ w skórzanej kurtce, który pojawił się w środku, nie wyglądał na podróżnego. Raczej marnej postury, ale w jego ruchach i wyrazie twarzy czaiło się coś drapieżnego. Stał w wejściu i czujnie popatrzył w stronę kabin. Potem skierował na mnie nieruchome i zimne spojrzenie węża namierzającego ofiarę.

– On? – rzucił, nie patrząc na chłopaka. Ten, na dźwięk ostrego głosu nieco otrzeźwiał i kiwnął głową.

Sięgnąłem ręką za plecy, ująłem chłodny metal i wymacałem bezpiecznik. Pomyślałem, że jeśli mam przed sobą gliniarza, to koniec pieśni.

– Masz forszę?!

– Nie.

– Kto ty jesteś? – Zatarasował wyjście, jednak nie zrobił nic więcej. Zastanawiał się chyba, czy nie jestem tajniakiem. – Nie znam cię, nie brałeś wcześniej towaru.

– Nie brałem. Zostaw mnie, chcę wyjść.

– Co masz w kieszeniach? Pokazuj szybko! – On wiedział już, że nie jestem gliną. Tylko że ja ciągle miałem wątpliwości. Niewielkie, jednak po doświadczeniach z Jolą nie ufałem do końca swemu osądowi.

– Spadaj, szambiarzu! – Splunąłem w jego kierunku. Musiał jakoś zareagować, odsłonić prawdziwe oblicze. Sięgnął do kieszeni, szcęknęła sprężyna. Nóż miał krótkie ostrze. Skuteczne posługiwanie się czymś takim wymaga praktyki. Typ na pewno nie był gliną.

Nie ruszałem się. Myślałem, że rzuci się na mnie, ale on też stał w miejscu. Widać nie zachowywałem się tak, jak tego oczekiwał. Oprychy mają swój instynkt, czuł, że coś jest nie w porządku – powinienem być kulić się ze strachu.

– Jak to jest być taką menda? – Wyjąłem pistolet.

– Czujesz zapach grobu?

Dostrzegł w moich oczach coś, o czym ja sam nie miałem dotąd

pojęcia. Dał krok do tyłu, opuściłem lufę i strzeliłem. Nie musiałem, ale zrobiłem to – odruchowo, bez zastanowienia. Od huków zatrzęsły się ściany, padł na podłogę i zaczął niezdarnie pełznąć do tyłu, znacząc krwią brudną terakotę. Schowałem broń, minąłem go i wyszedłem. Nawet nie biegłem, po paru krokach skręciłem na jakieś schody. Mijani podróżni nie zwracali na mnie uwagi.

\*\*\*

W starej ruderze nic się nie zmieniło. Od paru godzin siedziałem na strychu i obserwowałem posesję Muchy.

Zmierzchało powoli, jednak w domu nie rozbłysło ani jedno światło. Założyłem gumowane ogrodnicze rękawiczki, wziąłem drabinkę i po paru minutach stałem pod murem. Szybko przelazłem na drugą stronę i przycupnąłem, wsłuchując się w martwą ciszę. Nie wierzyłem ani przez chwilę, że go tu zastanę, ale nie chciałem popełnić już żadnego błędu. Zbyt wiele kosztowały poprzednie. Wypaliłem papierosa, potem następnego. Nic się nie działo, żaden nietypowy odgłos nie zmącił nocnej ciszy.

Podkradłem się do bramy i zacząłem kombinować, jak by ją otworzyć i zablokować, gdy dostrzegłem, że furtka jest uchylona. Miała wyłamany zamek i odgięty skobel – pewnie policja tak ją załatwiła – dostępu broniła tylko czerwona taśma owinięta wokół futryny i kłamki. Zerwałem ją, potem podszedłem ostrożnie do drzwi wejściowych i odetchnąłem głęboko – były opieczętowane i to dość dawno. Deszcz zdołał rozmyć tusz na pieczętkach, a ostatni raz padało jakiś tydzień temu. Widać gliny wzięły się ostro do roboty, gdy spieprzyłem im całą misternie konstruowaną akcję.

Nacisnąłem kłamkę, drzwi nie ustąpiły. Obszedłem dom, macając okna. Wszystkie zamknięte. Pod wiatą, obok stosu drzewa do kominka, znalazłem wbity w pień siekiere. Wziąłem drabinkę i przystawiłem do ściany. Wspiąłem się po aluminiowych szczebelkach i kilkoma uderzeniami wytłukłem szybę w kuchni. Nim przebrzmiał brzęk sypiącego się szkła, biegłem z drabinką w ręku na tyły posesji.

Pokonanie muru zajęło mi parę sekund i po chwili skryłem się w starej ruderze. Rozumowałem, że skoro okna nie były jakoś solidniej zabezpieczone, to pewnie dlatego, iż wcześniej istniała lepsza ochrona: jego ludzie i system alarmowy. Oprychów raczej mogłem się nie obawiać, alarmem zaś zajęła się policja, kiedy przeczesywała mu chałupę. Włączyli, wychodząc?

Minęła może godzina, nim uznałem, że nic już się nie wydarzy, nikt nie odebrał wiadomości o włamaniu. Sprawdziłem metodycznie, czy mam przy sobie wszystko, co potrzeba, i... czekałem dalej. Miałem czas i pamiętałem, że tym razem nie wolno mi popełnić błędu, bo nie ma już nikogo, kto mógłby przyjść mi z pomocą. Drogą przejechał samochód, nie zwolnił, zniknął po chwili za zakrętem. Gdzieś daleko zaszczekał pies, odpowiedziało mu kilka innych, ale zaraz umilkły. Nie było już na co czekać.

Tym razem wszedłem przez furtkę. Nie spieszyłem się. Nasłuchując uważnie wszelkich nietypowych odgłosów, przystawiłem drabinkę do wybitego okna. Wspiąłem się, wymacałem klamkę i pchnąłem ramę. Posypały się odłamki szyby. Po chwili byłem w środku. Po omacku dotarłem do salonu i dopiero tam użyłem latarki, żeby odszukać barek.

Butelka napoleona królowała wśród innych napitków. Odkręciłem korek, wyjąłem małą paczuszkę kupioną na dworcu i wsypałem zawartość do wysokiej szklanki. Nalałem koniaku i rozkołysałem naczynie. Jednak bez wyraźnego efektu, pastylki rozpuszczały się dość opornie. Znalazłem łyżeczkę w cukiernicy i energicznie pomieszałem. Po dłuższym czasie mikstura była gotowa. Wlałem ją do butli i odstawiłem na miejsce. Wyszedłem z salonu i wspiąłem się po schodach.

Obecność mrocznych postaci w sypialni przejmowała dreszczem. Omijałem je ostrożnie, jakby mogły nagle ożyć zbudzone wtargnięciem intruza. Stałem przed marmurową kolumną podtrzymującą zegar, którego połączane elementy błyszczały w świetle latarki. Cienka wskazówka sekundowa przeskakiwała rytmicznie, zdradzając, że tylko obudowa udaje zabytek. Odpiąłem misterny zatrzask, odchyliłem okrągłą szybkę i delikatnie przesunąłem dłuższą strzałkę tuż przed

rzymką dwunastkę. Zgasilem latarkę. W nieprzyjaznym mroku cisza aż dzwoniła w uszach. Zapaliłem papierosa.

Drgnąłem cały na dźwięk gongu, marsz żałobny zabrzmiał niczym uwertura przed balem upiorów.

Wyjąłem telefon, uzbroiłem go w baterię i spojrzałem na godzinę – dwudziesta trzecia czterdzieści siedem. Trzydzieści minut. Przetawiłem wskazówki zegara we właściwe położenie. Znów ta cisza... jak w grobie. Nie umiałem pozbyć się mrocznych skojarzeń. Osaczające mnie figury drażniły podświadomość niczym złośliwe widma, podkradające się niepostrzeżenie i natychmiast zastygające w bezruchu, gdy na nie spojrzeć. Jakiś ptak zatrzepotał skrzydłami, coś zaskrzypiało w górze. Wiedziałem, że to tylko dach nagrzał się za dnia, a teraz stygnąc, wywoływał naprężenia w krokwiach, mimo to uniosłem głowę i nasłuchiwałem w napięciu. Zerknąłem na godzinę. Sześć minut – akurat czas na papierosa.

Czas zwolnił złośliwie. Zaciągałem się głęboko, niczym skazaniec odwlekający egzekucję. Rzuciłem peta na podłogę i przydeptałem, ale natychmiast podniosłem go i schowałem do kieszeni. W końcu nie po to założyłem rękawiczki, żeby zostawiać beztróska swoje ślady. Wybierane numery... zaznaczyłem właściwy i wcisnąłem klawisz.

Długi, przerywany sygnał powtarzał się w nieskończoność. Mijały sekundy rozciągnięte do granic możliwości. Już nie odbierze, nie poznał numeru...

– No?!

– Aaa, to ty... gównojad zwany Mu... hyk... – czknąłem – Mucha? Jeszcze... cię bydlaku szlag nie traafiał? Kolesie nie do... dopadli?...

– Ty gnoju! Czego, kurwa, chcesz?!

– Jaaa? Napiśś się z to... hyk... bą... – bełkotałem niewyraźnie, bacznie obserwując wskazówki złotego zegara. – Zgadnij kur... kurczę, gdzie jestem... Nigdy nie zgadniesz! A wiesz ty... kto... wiesz kto... hyk... cię tak użądlił... urzą... rządził mendo?

Głęboki i czysty dźwięk gongu rozbrzmiał jak odległe dzwony kościelne. Nieprzerwanie bluzgałem w słuchawkę, niczym w pijackim

transie, bacząc tylko, by całkiem nie zagłuszyć żałobnej melodii zegara. Mucha nie odzywał się. Słuchał. Rozłączył się wraz z ostatnim dźwiękiem marsza pogrzebowego.

Zszedłem na dół i skierowałem do wyjścia, gdy nagle uświadomiłem sobie, że zapomniałem o przygotowaniu scenografii. Wróciłem do salonu i zająłem się barkiem. Przesunąłem go w poblizze kanapy. Rozstawiłem po całym pomieszczeniu kilka szklanek z alkoholem, rozlewając przy okazji sporo na dywan i pobliskie sprzęty – niezupełnie specjalnie, gdyż nagle zaczęło mi się spieszyć. Mucha może przecież ukrywać się gdzieś w okolicy. Nie dotykając napoleona, zgarnąłem z barku trochę zawartości i pobiegłem do sypialni. Połałem obficie podłogę, wlałem butami na łóżko i mocno je sponiewierałem, żeby wyglądało na używane przez jakiegoś menela. Na kołdrze umieściłem przewróconą butelkę, resztę szkła zwyczajnie upuściłem na ziemię i pognałem do wyjścia.

Paliłem papierosa za papierosem i znów czekałem. Księżyc wychylił się zza chmur, niby widz spóźniony na przedstawienie. Nie myślałem o niczym, a przynajmniej starałem się – oderwane obrazy same wyskakiwały jak króliki z kapelusza i natrętnie tańczyły mi przed oczami: twarz człowieka, którego Mucha jednym obojętnym gestem skazał na śmierć, spojrzenia oprawców – wyprane z uczuć, gaszące wszelką nadzieję. Jola jak kameleon zmieniająca swą rolę w spektaklu. Była jeszcze nieodgadniona Wanda, wyrwana na chwilę z innego wymiaru, i Jacek, który zdawał się nadawać na tej samej fali co ona. A co ja robiłem w tym kotle? Miotalem się, szarpany to strachem, to znów nadzieją i desperackim pragnieniem wymierzenia sprawiedliwości. Sprawiedliwości? No niezupełnie. Gdzieś miałem sprawiedliwość, przynajmniej ludzką. Przypadkiem wlałem w gówno i ślizgałem się na nim jakimś cudem, wciąż utrzymując równowagę. Splot wypadków, które doprowadziły mnie na to opuszczone poddasze, wydawał się absolutnie nierealny, jakby zaaranżowany specjalnie po to, bym zwątpił w możliwość kierowania swoim losem. Ale przecież nie byłem na tyle ważny, aby opatrność wytaczała najcięższe działa tylko w tym celu,

żeby udowodnić mi swą potęgę, uświadomić bezcelowość walki z żywiołem, którego istnienia nawet nie podejrzewałem w poprzednim wcieleniu.

Może jeszcze czas zostawić wszystko w diabły? Niech los sam zajmie się swymi ofiarami. Kogo obchodzą moje żalosne próby udawania bohatera? Udowodnić coś samemu sobie... ale po co? Jakie to ma znaczenie w świecie, gdzie dobra bryka i konto w banku określają twoją klasę. Komu zaimponuję? Wandzie, Jackowi, Joli? Nawet nie będą wiedzieć, co się wydarzyło. Przyjdą najwyżej na mój pogrzeb, pochylą w milczeniu głowy i pójdą, każdy w swoją stronę. Bo życie toczy się dalej. No to ucieknę, póki jeszcze mam czas...

Daleko między domami mignęły światła samochodu. Zaszczekał pies, po chwili dołączyły następne. Nasłuchiwałem odległego warkotu silnika, zlewającego się z szumem wiatru między drzewami. Światła nie pojawiły się więcej, rozluźniłem napięte mięśnie i sięgnąłem po papierosa, gdy jakiś ciemniejszy od szarego tła cień pojawił się w głębi ulicy. Samochód sunął powoli wzdłuż muru z wygaszonymi ślepiami i za chwilę zniknął za zakrętem, słyszałem tylko chrzęst żwiru pod kołami, jakby jechał po chrupkach. Z okolic bramy dobiegło skrzypienie. Nie poruszałem się, niemal nie oddychałem, trwałem wpatrzony w czarne okna ponurej posesji. Mijały minuty, każda długa jak wieczność. Komar przeleciał mi za uchem, głośny jak pikujący myśliwiec. Chciało mi się palić, ale nie sięgnąłem po szluga. Czułem ciężar pistoletu za paskiem. Ciągle nic się nie działo. Wiedziałem, że to tylko pozory – drapieżnik wyczuł już ofiarę, teraz badał ślady, czujny i nieubłagany.

Upłynęła godzina, a może dwie lub trzy. Na dworze lekko pojaśniało, kontury domów stały się wyraźniejsze. Parę razy wydawało mi się, że słyszę coś jakby stłumiony brzęk, potem odgłos upadku, ale mogło to być tylko złudzenie, wytwór oczekującego w napięciu umysłu. Uznałem, że pora na mnie.

Schody starej rudery skrzypiały żałośnie, żegnając na zawsze dzikiego lokatora.

Spokój otoczenia czekającego w uspieniu wschodu słońca był tylko

złudzeniem, preludium do ostatniego aktu sztuki, w której grałem, nie znając scenariusza. Siedziałem przycupnięty pod murem, oczekując, że coś w ostatniej chwili pokrzykuje mi plany, zmusi do odwrotu. Ale nic się nie działo. Tym razem los nie zamierzał podejmować za mnie decyzji.

Przed bramą stał bordowy opel. Zabijałem maską. Nie włączył się alarm, ze środka nie dobiegło szczekanie czarnego bydlaka, uchylona furtka zapraszała do wejścia. Z pistoletem w dłoni dotarłem pod drzwi. Były zamknięte tylko na klamkę. Wsunąłem się do środka i na palcach dotarłem do salonu. Szary przedświt zaglądał już do środka. Pusto. Panował tam jednak większy bałagan niż ten pozostawiony przeze mnie. Przewrócony barek na środku pokoju. Wokół niego walały się butelki, które dywan uchronił przed stłuczeniem. Napoleon był prawie pusty. Musiał go pić, ale ile się rozlało? Jednak to, co wchłonał, chyba podziałało. Zerwana zasłona w oknie, poprzewracane krzesła i ogólny bajzel sugerowały, iż ktoś zdemolował pomieszczenie w napadzie szału albo w narkotycznym transie.

Skierowałem się na górę, macając ściany jak ślepiec. Upiorną ciszę przerwał nagle dźwięk gongu. Zastygłem w połowie schodów. Marsz pogrzebowy brzmiał czysto i wyraźnie. Czekałem, aż znów zapadnie cisza, jednak miejsce dostojnych dźwięków zastąpiło coś jakby odgłos piłowanego drzewa.

Na górze ktoś chrapał.

Stanąłem w progu sypialni, powoli przyzwyczajając wzrok do półmroku. Kilka figur leżało przewróconych. Gipsowe kończyny obtłuczone upadkiem wyglądały jak porzucone protezy. Tylko jedna postać była cała. Mucha sapał głośno, rzeźił i momentami pochrapywał. Jego zwalista sylwetka przypominała znokautowanego boksera wagi ciężkiej – leżał na wznak z szeroko rozrzuconymi rękami. Ślady krwi na twarzy i zadrapania na dłoniach sugerowały, że musiał w zamroczeniu zderzać się i walczyć z przedmiotami we własnym domu.

Jego ubranie było raczej pospolite: ciemne sztruksowe spodnie, flanelowa koszula i wyraźnie za mała, wytarta w wielu miejscach



skórzana kurtka. Zarośnięta gęba tudzież skombinowane gdzieś łachy dowodziły, iż ukrywał się w niezbyt komfortowych warunkach i próbował maksymalnie zmienić swój charakterystyczny wygląd.

Podszedłem wolno, odbezpieczyłem pistolet i przeładowałem. Przystawiłem mu zimną lufę do skroni. Cienkie ogrodnicze rękawiczki pozwalały dokładnie wymacać spust. Nic nie poczuł, nie poruszył się nawet. Zacząłem zaciskać palce, spałem się w oczekiwaniu ogluszającego huku i kopnięcia broni po strzale, który... Nigdy nie miał nastąpić.

Wiedziałem o tym od momentu, w którym zobaczyłem na podłodze tę nieświadomą niczego kupę gówna. Nie, nie poczułem litości, nie dopadły mnie nagle wyrzuty sumienia; po prostu w jednej chwili pojąłem, że nie po to go tu zwabiłem. Nie takiego końca pragnąłem. Musi czuć, rozumieć i cierpieć – nie wiem, co znajduje się po drugiej stronie, ale on nie może tak zwyczajnie odejść we śnie. Nie zasłużył na taką łaskę. Nie byłem sądem ani Bogiem, lecz zimna furia, która mnie tu przygnała, żądała krwi. On musi wiedzieć, dlaczego, a przede wszystkim, kto go wreszcie dopadł. Chciałem spoglądać mu w oczy i widzieć w nich strach – kiedy wreszcie pojmie, że maleńki robaczek, którego życie ma wartość jednego splunięcia, trzyma w ręku cieniutką nić przeznaczenia. Nie wolno odbierać ludziom wszystkiego, co kochają, bo gdy zostaje już tylko zemsta, gotowi są zapłacić każdą cenę.

A może tylko udawałem sam przed sobą, że szukam prawdziwej zemsty, ale zwyczajnie nie potrafiłem nacisnąć spustu? Tchórzliwy dupek, który wiecznie rozgląda się dookoła, szukając usprawiedliwień dla swej niemocy...

Zszedłem do salonu, nalałem sobie jakiejś gorzały i ze szklanką w ręku spocząłem na fotelu. Popiół z papierosa strzepywałem na dywan. Nie myślałem o niczym, czekałem na znieczulające działanie alkoholu. Jednak on zdawał się nie wpływać na mój organizm. Zrobiło się prawie jasno, zdemolowane wnętrze przywodziło na myśl balangę, której uczestnicy dawno rozeszli się do swoich pieleszy. Pozostał tylko pogrążony w błogiej nieświadomości gospodarz imprezy i jeden z gości,

który nie ma dokąd wracać.

Wyjąłem telefon i znalazłem numer Joli. Zastygłem z palcem na przycisku, wyobrażając sobie wpadającą policję – nerwowa krzątająca, jakieś pytania i rozkazy, Mucha zakuty w kajdanki, nieprzytomnie rozglądający się dookoła. Potem niekończące się przesłuchania, wyjaśnienia, protokoły. Media zachwycone tematem przez dzień lub dwa. Adwokaci Muńka szukający kozłów ofiarnych – sprawców nagonki na ich zaszczutego, sponiewieranego klienta, którego próbuje się zniszczyć z pomocą sfabrykowanych dowodów. Nie zostawią na mnie suchej nitki. Sprawa będzie się wlokła miesiącami. Papugi tak przeinaczają fakty, że w końcu nikt nie będzie wiedział, kto jest ofiarą, a kto agresorem. Opinia publiczna znajdzie sobie nowych pupilków, a za wszystko zapłacę ja i moja rodzina.

Mógłbym zadzwonić anonimowo i ulotnić się, ale co dalej? Zrobią mu coś? Schowałem aparat.

Więc co mi zostało? Zaczekać aż dojdzie do siebie i wyzwąć go na pojedynek? Niech wygra lepszy. Lepszy...? Nie, nie lepszy, tylko ten, który będzie miał akurat więcej szczęścia. A i tak każdy rezultat starcia będzie moją porażką, bo w konfrontacji z bandziorami przeciętny obywatel nie ma żadnych szans – musi wejść na ich teren, poddać się regułom ich świata. Założmy, że będę szybszy i właduję mu kulkę między oczy. Koniec? Gównu, nie koniec! Gliny zhaltują mnie błyskawicznie. Prokurator przywali mi paragrafami: morderstwo z premedytacją, nielegalne posiadanie broni, ukrywanie dowodów przestępstwa i ze czterdzieści innych przewinień. Wyrok, więzienie. A w celi towarzystwo najpodlejszych oprychów, którzy z braku innych rozrywek pokażą mi, jak wygląda piekło. Ile wytrzymam, zanim podetnę sobie żyły? Są chyba łatwiejsze sposoby popełnienia samobójstwa.

Tak, samobójstwo... To takie łatwe. Znikną problemy, Dorota będzie mogła ułożyć sobie życie od nowa, w końcu zapomni...

Poczułem się dziwnie lekko, jakby pogodzenie się z nieuchronnym przeznaczeniem zdjęło przygniatający mnie ciężar. Może to tylko alkohol zaczął wreszcie działać, ale dostrzegłem wyjście z tunelu. Ledwie

widoczne światełko, które mogło być tylko złudzeniem, mechanizmem obronnym poddanej zbyt ciężkim próbom psychiki. Jednak dawało nadzieję. Przegrałem? Dobrze, niech wszyscy tak myślą! Są różne rodzaje przegranej. Skoro mam odejść, to nie jak ostatnia mimoza, niech przynajmniej moi bliscy wiedzą, że walczyłem do końca. Gra jeszcze nieskończona, pionek doszedł do skraju szachownicy i, zgodnie z regułami królewskiej gry, może zamienić się w dowolną figurę. Wybieram hetmana!

Mucha leżał tak, jak go zostawiłem, ale już spokojniej oddychał. Zacząłem przeszukiwać go, myśląc jednocześnie, że wszystko byłoby prostsze, gdyby tymczasem wykitował z przedawkowania – los dopisałby swój scenariusz i gnojek po drugiej stronie lustra musiałby się z tym pogodzić.

Pod pachą miał kaburę z bronią. Jego pistolet był podobny do znalezionej przeze mnie w czarnej terenówce. Wyjąłem magazynek i zważyłem w dłoni. To na nic, może się zorientować, jeśli wyjmę naboje. Zszedłem do piwnicy i odnalazłem pomieszczenie z narzędziami. Istnieje zapewne mnóstwo sposobów uczynienia broni niezdatną do użytku, tak by właściciel nie zorientował się zbyt łatwo. Jednak byłem amatorem, zatem zastosowałem amatorską metodę: zacisnąłem pistolet pionowo w imadle, znalazłem długą śrubę o średnicy minimalnie większej niż kaliber broni i ze sporym wysiłkiem za pomocą klucza francuskiego wkręciłem ją do lufy. Szło cholernie opornie, z gwintu nie pozostał nawet jeden zwój. Chciałem upiłować wystający koniec, ale zmęczony metal ukręcił się przy brzegu lufy. Miałem pewność, iż pukawka prędzej wybuchnie w dłoni strzelającego jak mały granat, niż trafi do celu.

Muniek leżał na boku z ręką pod głową, co mogło oznaczać, że powoli dochodzi do siebie. Włożyłem mu broń do kabury i kopnąłem go w nerki, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie. Zareagował prawidłowo – wybełkotał coś niezrozumiale, poruszył głową, nie otwierając oczu, i zaczął gramolić się, jakby miał zamiar wstać. Po chwili jednak znieruchomiał na podłodze i znów zapadł w ciężki sen. Przez chwilę

miałem ochotę poszukać w piwnicy łomu i kontynuować badania. Jednak odpuściłem. Czułem, że nie potrafię zatłuc go jak psa. On, będąc na moim miejscu, nie miałby żadnych oporów, lecz to ja rozdawałem karty – przynajmniej chwilowo – i zamierzałem grać czysto... No, prawie czysto. Zaszedłem jeszcze do salonu, wylałem na dywan resztki napoleona i opuściłem chałupę.

\*\*\*

Świtało powoli, promienie słońca lizały przez szybę moje dłonie. Siedziałem w maluchu i starałem się odwlec podjęcie decyzji. Sięgnąłem po ostatniego papierosa, wyjąłem telefon i położyłem go przed sobą. Przeliczyłem resztki gotówki i przekonałem się ostatecznie, że pora kończyć imprezę. Znalazłem prawie zapomniany świstek papieru, który dostałem od Psiej Mordy i wybrałem numer. Po kilku sygnałach ktoś odebrał, ale w słuchawce panowała cisza.

– To ja... ten z bazaru – gdybym się bardzo postarał, umiałbym pewnie wymyślić głupszą odzywkę, jednak o dziwo zostałem rozpoznany.

– Żaból, kurwa, wiesz, która godzina? – Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że jest cholernie wcześnie. Jednak pytanie Psiej Mordy było czysto retoryczne, jego głos był trzeźwy i zimny. – Ostrzegałem cię, żebyś nie dzwonił... Lepiej dla ciebie, żeby to było coś ważnego!

Przeszły mnie ciarki, ale przecież po coś dał mi swój numer. Nie prosiłem go o to.

– Słuchaj, mam zamiar... – przeszedłem od razu do rzeczy.

Słuchał, nie przerywając mi jednym słowem. Gdy skończyłem, milczał nadal. Odezwał się po długiej chwili, gdy byłem już niemal pewien, że wyłączy się lub ryknie szyderczym śmiechem.

– Wchodzę w to, zadzwonił za pół godziny! – Zamilkł, ale ciągle był na linii, słyszałem w tle coś, jakby szepty. – Jeszcze jedno...

– Tak?

– Lubię cię... i nawet nie wiesz dlaczego. Zastanów się dobrze, czy to jest twoja bajka...

\*\*\*

Śmietnik osiedlowy był zaopatrzony niczym pierwszorzędny lumpeks. Prześwietliłem leżącą obok pojemników kupę łachmanów, odrzucając co lepsze części garderoby. W końcu wybrałem spodnie i marynarkę od garnituru, którego ktoś używał jako szmaty do podłogi, gdy już przestał nadawać się na oficjalne okazje. Butów nie znalazłem, ale uznałem, że moje są wystarczająco sponiewierane, przybrudziłem je tylko dodatkow ziemią.

Przebrałem się, dokumenty wraz ze swym starym ubraniem wetknąłem głęboko między worki z odpadkami i przygarbiwszy się, poszedłem osiedlowym chodnikiem. Posuwałem się wolno, powłócząc nogami, ze wzrokiem utkwionym w ziemi, jakbym wypatrywał petów, po które warto się było schylić. Parodniowy zarost, chwiejny chód oraz śmierdzące, sfatygowane łachy dopełniały całości obrazu menela w zaawansowanym stadium wykolejenia. Wrażenie robiłem dokładnie takie, o jakie mi chodziło – przechodnie omijali mnie szerokim łukiem i odwracali wzrok w obawie, że zostaną poproszeni o wsparcie „chorego” współobywatela. Mimo iż wyróżniałem się na ulicy, byłem równocześnie całkiem anonimowy, ot, jeszcze jedna ofiara drapieżnego stroju albo własnego nieprzystosowania. Co zresztą na jedno wychodzi.

Kupiłem w spożywczym kilka piw i wyszedłem szybko, odprowadzany niechętnymi spojrzeniami personelu. Usiadłem nieopodal na murku. Ćmiąc szluga, rozglądałem się dyskretnie. Nawet długo nie czekałem. Zenek musiał być tu stałym bywalcem. Nie poznał mnie od razu, zaabsorbowany własnymi myślami przystanął na moment, przeliczył wyjęty z kieszeni bilon i zniknął w sklepie. Pojawił się po minucie, przysiadł nieopodal, powiódł dookoła mętnym spojrzeniem w poszukiwaniu sępów czających się na jego skarb. Uznał, że jestem niegroźny. Nie dostrzegłszy innych padlinożerców, otworzył puszkę piwa i pociągnął kilka łyków. Wyraźnie mu ulżyło, wyjął fajki i znów zerknął na mnie. Skinąłem głową. Zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie moją twarz.

– Zenek? – Poznał wreszcie gościa, który dał mu zarobić stówę. Moje łachy i zarośnięte, szare po nieprzespanej nocy oblicze zrobiło wrażenie nawet na nim. Przysunął się bliżej. – To ty?! Co cię tak... co się stało?

– Ech, nie ma co gadać... – zwiesiłem głowę.

– No ty, nie fanzol. Przeciesz widzę, że jedziesz na rezerwie. Co jest? – Łyknął i wypowiedział zakłęcie: – Coś z kobitą?

– Nic nowego... – uciekłem spojrzeniem. – Nie wiesz, gdzie można dostać jakieś prochy? Coś mocnego, żeby już się więcej nie obudzić...

Jego kaprawe oczka patrzyły gdzieś w dal. Pokiwał w milczeniu głową, splunął, skrzywił się, wzruszył ramionami i podsunął mi resztkę swojego browara.

– Pij, Zenek! A potem gadaj. Tylko, kurwa, kawę na ławę! Nie ma takiego szamba, żeby już nie dało się wypłynąć. Wierz mi, znam życie...

Z niejakim wzruszeniem popatrzyłem na niespodziewanego pocieszyciela. Bez większego namysłu ofiarował mi to, co akurat miał najcenniejszego – kilka łyków lekarstwa, które dosłownie odjął sobie od ust. Ilu z moich znajomych z poprzedniego wcielenia umiałoby docenić ten gest? Ja umiałem. Planowałem uraczyć go dramatyczną historią, o tym, jak żona i jej gach pozbawili mnie wszystkiego, ale nagle odechciało mi się robić go w konia. Nie zasługiwał na to.

– Wiesz, to długa opowieść. A pić mamy co – pokazałem mu zawartość reklamówki. – Chodźmy gdzieś na bok.

Ławeczka pod trzepakiem opodal osiedlowego śmietnika zapewniała spokój i chroniła przed wzrokiem ciekawskich. Zenek osuszał niespiesznie kolejne puszki, palił papierosy i nie odzywał się ani słowem. Odpowiadało mi to. Mówiłem powoli, przypominając sobie z trudem kolejne wydarzenia, jakbym powtarzał cudzą spowiedź, zasłyszaną gdzieś po pijaku. Znów miałem wrażenie, że to wszystko nie trzyma się kupy, musiało mi się przyśnić. Ale mój towarzysz był jednak prawdziwy, tak samo jak śmierdzące łachy i ciężar pistoletu w kieszeni.

– No i co? – jego pytanie wyrwało mnie z zamyślenia.

– Jak to co? To już koniec, powiedziałem ci wszystko. On żyje, kitra dupę, żeby tylko przeczekać. Może go i zamkną, ale długo nie posiedzi.

Nie mają dowodów, Ziomał nie żyje... Bydlak nie zapomni o mnie. Teraz to już tylko strzelić sobie w łeb... albo zachlać się na śmierć. – Ukryłem twarz w dłoniach. Nie do końca udawałem przegranego. Szczerą spowiedź przed ostatnią przyjazną duszą, która mi pozostała, uświadomiła mi, jak blisko jestem krawędzi. – Co mi zostało? Do końca życia kryć się w skórze menela? Śniadania szukać w śmietnikach, żebrać o parę groszy na jabola, zbierać pety na przystankach i w końcu zdechnąć na jakiejś melinie? Córka nie będzie nawet wiedziała, dlaczego ją zostawiłem.

– Masz giwerę... – wychrypiął Zenek. Dziwnie trzeźwym wzrokiem popatrzył w dal, sękaty dłoń zaciśniętą na puszcę, jakby wyciskał starą ścierkę. Resztki piwa wylały mu się na brudne spodnie, ale nie zwrócił na to uwagi. – Żebyś kiedyś miał dzisiejszy rozum... myślisz, że ja nie miałem kobity, całe życie chlałem alpagi?

Sięgnął za pazuchę i długo gmerał w rozlatującym się ze starości portfelu. W jednej z przegródek tkwiła czarno-biała fotografia kilkuletniego chłopca w krótkich spodenkach stojącego przed jakąś zmurszałą kamienicą. Staralem się dojrzeć podobieństwo rysów między postacią ze zdjęcia a moim powiernikiem, ale sponiewierane przez życie i podłe trunki oblicze Zenka zbyt wypaczyło jego dawne rysy. Dostrzegłem moje spojrzenie.

– Mój mały... Wiem, gdzie teraz mieszka, kiedyś poszłem tam. Jak mnie zobaczył, to wyjął piątką. Nie poznał starego... Chyba nie poznał. Wiesz, co zrobiłem z tą piątką? Ech, kurwa! Gówniane to życie, a w końcu i tak wszyscy zaparkujemy w kostnicy. – Splunął i sięgnął po papierosa. – Stuknij gnoja i po krzyku!

– Nie, nie umiem... – Gówno prawda! Przypomniałem sobie, co Muniek zrobił z Wandą i Jackiem. Zasłużył na śmierć i mógłbym stuknąć go z zimną krwią, patrząc mu prosto w oczy. Tyle że miałem czas przemyśleć to i owo. Policja to nie przedszkolaki, dopadną mnie prędzej czy później. Okoliczności łagodzące? Niby są, ale tymczasem w kraju zmieni się władza, wiatr powieje z innej strony i nawet nie będzie komu mnie ułaskawić. Ile mi dadzą? Może paręnaście lat odsiadki to

niewielka cena za przyjaciół, tylko że jest jeszcze Dorota i moja mała. Zrozumieją? Będą czekać?

– Co, nie umiesz?! Popatrz na mnie: wiesz, jak to jest budzić się i nie wiedzieć, co się wczoraj robiło, sprawdzać puste flachy, czy nie został w jakiejś łyk alpagi, grzebać w petach, bo nie masz na szlugi? Chcesz umierać codziennie dziesięć razy, zamiast raz, a naprawdę? – Sięgnął do siatki po ostatniego browara. – Jak stoisz z hajsem?

– Mam trochę.

– Nie pękaj, kurwa! Co myślisz, że ty jeden masz pecha? Wiesz, jacy ludzie po kanałach mieszkają? Jak byś ich posłuchał, to byś pomyślał, że na wczasach jesteś! – Wysączył resztkę piwa, zgniótł puszkę i schował do worka. – Zbiorę kumpli. Trochę gorzały i będziesz ich bratem. Pojedziemy do tego twojego Muchy, zrobi się rozróbę, że kamień na kamieniu nie zostanie. Wytlumaczy się gnojowi, że jesteś z ferajny. No?!

Udawałem, że rozpatruję z namysłem jego błyskotliwy pomysł. W końcu wrzuciłem ramionami jak ktoś, kto i tak nie ma wyboru. Omówienie szczegółów zajęło nam kilka minut. Dałem mu parę złotych, mając nadzieję, iż nie zdoła zabalsamować się w trupa i będzie w stanie działać. Uścisnąłem sękatą łapę i poszedłem.

Kupiłem dwie skrzynki mocnego piwa oraz sporo innego alkoholu, zataszczyłem wszystko do samochodu i następnych parę godzin przesiadziałem w maluchu, ponieważ nie miałem ochoty afiszować się ze swoim nowym wcieleniem. Koło szesnastej podjechałem pod sklep meblowy i zbliżyłem się do jednej z czekających na okazję ciężarówek. Kierowca taksował mnie nieufnym wzrokiem, kiedy wyjaśniałem mu, że muszę przewieźć paru ludzi na budowę. Kilka zmiętych papierków o różnych nominałach rozwiało wszelkie wątpliwości. Kazałem mu jechać za sobą.

Ruszyłem pod sklep spożywczy. Czym byłem bliżej, tym mniej miałem nadziei na realizację najnowszego pomysłu. Cóż ja sobie u licha wyobrażam, że jakiś menel pomoże mi w wojnie z gangsterem? Zgłupiałem do reszty! Zenuś pewnie świętuje z kolesiami, opowiadając im, jak to wyrwał trochę szmalu od jednego leszcza. A mnie rzeczywiście



pozostało już tylko wychlać gorzałę i browar pobrzękujący na tylnym siedzeniu. A potem? Nie ma żadnego potem – pozostaną już na zawsze w obecnym wcieleniu. Moja przyszłość to podróż bez biletu powrotnego ku jakiejś zawszej melinie, gdzie zdechnę w objęciach deliry...

Widok, jaki ujrzałem dojeżdżając do celu, sprawił, że o mały włos nie zaparkowałem w bagażniku jadącej przede mną taksówki.

Znajomy murek okupował kwiat menelstwa z całego osiedla, a pewnie i z dalszej okolicy. Ponure typy o nieskazonych trzeźwością obliczach rozglądały się dookoła. Nieliczni przechodnie omijali szerokim łukiem całe to zgromadzenie wszelkiej maści socjopatów i wykolejeńców. Byli w różnym wieku, toteż staż menelski niejednakowo odcisnął na nich swe piętno. Łączyło ich jedno: poubierani byli z ekstrawaganckim lekceważeniem dla mody, fasonu i czystości odzienia. Dostrzegłem nawet między nimi jakąś chudą giganciarę, ze szlugiem i jabollem w rękę, której ostry, wręcz wulgarny makijaż wyglądał na zrobiony plakatówkami i węglem. Miałem cholerną ochotę walnąć sobie coś dla kuraju, ale Zenek dostrzegł z daleka moją pomarańczową zabawkę i zaczął machać triumfalnie jakimś łachmanem.

Z uczuciem lekkiego obłędu odciągnąłem na bok inicjatora akcji i spytałem:

– Zenek, przeczesałeś wszystkie meliny w mieście? Co ty im, do licha ciężkiego, powiedziałeś, żeś ich tyłu nabrał?!

– A co, niezła ferajna? Widzę, że gablotę załatwiłeś jak się patrzy. – Z uznaniem zlustrował meblowóz, którego kierowca na widok potencjalnych pasażerów najwyraźniej zastanawiał się, czy nie odjechać w siną dal. Zenek zauważył panikę w moich oczach, więc natychmiast wyjaśnił: – Nie bój nic, nie nadawałem o twoich sprawach. Chłopaki myślą, że przegrałeś zakład. Niby, że masz teraz zrobić balangę dla moich kumpli w swojej chałupie...

– O Boże, zgłupiałeś?! Czy ja wyglądam na kogoś, kto ma własną chałupę?

– Spoko, Zenuś! Jak przegrałeś, to się przebierasz za bezdomniaka. Taka była, niby, umowa. Żeby chłopakom nie było głupio, że ty

odpicowany jak w karnawale, a oni takie nieświeże trochę.

– Ale... no skąd znasz gościa z własną chałupą? Nie twoje, jak by to powiedzieć...

Zesztywniał nagle i powoli odwrócił głowę.

– A co ty, kurwa, o mnie wiesz?! Mogłem spotkać kumpla z dawnych czasów? No, mogłem?!

– Dobra, rozumiem... – Pokiwałem głową, jednak nurtowało mnie jeszcze jedno. – Powiedz mi jeszcze tylko, o co się założyliśmy, że warte jest wypuszczenia do domu takich... Twoich kumpli?

– Lepiej żebyś nie wiedział... – Widząc popłoch w moim wzroku, dodał z krzywym uśmiechem: – Wyluzuj, stary, do końca życia będziesz miał poważanie u tych ludzi. Skołowałeś browar?

Typy rzeczywiście traktowały mnie z dziwnym szacunkiem, który pogłębił się jeszcze, gdy puściłem w obieg dwie siatki z piwem. Ścisnąłem szorstkie, trzęsące się nieco dłonie. Ich właściciele bełkotali swojackie ksywki.

– Kałdun, Małpa, Robal, Bełkot, Lewy... – Nawet nie starałem się zapamiętać tego wszystkiego.

Przy pomocy Zenka zapakowałem menażerię na budę ciężarówki. Pod murkiem, prócz wyjaranych do filtra petów, nie został najmniejszy ślad naszej bytności, gdyż moi nowi znajomi okazali się fanatycznymi zwolennikami recyklingu – nie dość, że pognietli i zabrali ze sobą puszki, prześwietilili jeszcze pobliskie kosze na śmieci, ogołacając je z wszelkich surowców wtórnych.

Szarzało już, gdy wjechaliśmy do miasteczka. Po drodze przyszło mi do głowy, iż właściwie postępuję jak szaleniec. Nie panuję nad wypadkami i za diabła nie wiem, czym skończy się ta cała zwariowana impreza. Zahamowałem gwałtownie, kiedy uświadomiłem sobie, ilu potencjalnych świadków przestępstwa taszczyć ze sobą. Lepiej, żeby chociaż właściciel meblowozu nie wiedział, dokąd ich zabieram.

Wypuściliśmy bractwo, niektórych trzeba było budzić. Dałem kierowcy flaszkę na do widzenia i zacząłem holować swoją bandę. Przejeżdżałem jakieś sto metrów, stawałem, czekałem, aż podejda, i

ruszałem dalej. Cały czas patrzyłem uważnie w lusterka, czy nie pojawi się jakiś patrol policji, którego zainteresuje dziwaczna procesja. Chyba w skrytości ducha miałem taką nadzieję, jednak los postanowił nie krzyżować mi tym razem planów. O ile jeszcze jakieś miałem.

Zmierzch zapadł na dobre, gdy dotarliśmy w okolice posesji Muchy. Powiedziałem Zenkowi, aby schował się z ferajną w zaroślach, a ja pójdę na zwiady. Wręczyłem mu litra, mającego ukoić niecierpliwość kompanów i kazałem wyjaśnić wszystkim, że nasz zakład trwa nadal, a mój kamuflaż musi być zachowany do końca. Cokolwiek by się działo – wizyta sąsiadów, trzęsienie ziemi czy nawet nalot gliniarzy – nikomu nie wolno wyjawiać, kto ich tu sprowadził. Jestem jednym z nich! Inaczej Zenek przegra.

Ostrożnie przekroczyłem bramę i stanąłem pod drzwiami, nasłuchując dłuższą chwilę. Ciężar pistoletu zamiast uspokoić, uświadamiał mi tylko, gdzie mnie licho przyniosło i że zabawa jest wybitnie niezdrowa. Mogłem się jeszcze cofnąć, ale resztkę pieniędzy wydałem na alkohol, Muniek był na wolności, Jacek i Wanda w szpitalu, a Dorota... Nie miałem nic do stracenia, bo nie mogłem już chyba wchrzanić się w większe bagno. Inna sprawa, że to, w które z własnej woli zapadałem się obecnie, było wystarczająco grzaskie.

Stąpałem ostrożnie w ciemnościach, wstrzymując oddech. Wątpiłem, by Mucha czaił się tutaj – ryzyko wizyty szukających go gliniarzy było zbyt wielkie – jednak nie mogłem wykluczyć, że doprowadzony do ostateczności gwizdże na ryzyko, byle mnie tylko dopaść. Przystąpiłem próg salonu i zastygłem. Smród rozlanego alkoholu jeszcze nie wywietrzył. Nic się nie poruszyło, niczego nie usłyszałem. Przewidując, że wesoła ferajna, którą zostawiłem na dworze, nie zechce czekać w nieskończoność, zaryzykowałem zapalenie światła. Nagły błysk oślepił mnie na kilka sekund, ale nikt nie władował mi kulki w bebechy. Poczuję się pewniej. Szybko sprawdziłem sypialnię i resztę domu. Nigdzie nie dostrzegłem śladów czyjejś bytności. Ogólny bałagan zdawał się zapraszać do kolejnej szalonej balangi. Mogłem lecieć po nieproszonych gości.

Impreza trwała w najlepsze. Moi nowi kumple z marginesu dobre maniery mieli w głębokiej pogardzie, szkło brzęczało nieustannie, pijackie rechoty i przekleństwa zagłuszały dźwięki nastawionej przez kogoś muzyki.

Pozwoliłem im czerpać do woli z ocalałych zasobów Muchy, które okazały się znacznie większe, niż podejrzewałem. Na mój przyzwalający gest towarzystwo niczym psy wyszkolone do znajdowania narkotyków rozpełzło się po domu. Po niedługim czasie ich triumfalne okrzyki oznajmiły, że trafili do rajy. Nie starczyło dla wszystkich miejsca na fotelach i sofie, zatem bracia menele rozłożyli się na dywanie. Wszyscy palili papierosy, powietrze w pomieszczeniu szybko zrobiło się szare, niezwykła mieszanka oparów gorzały, brudu, dymu i substancji, których lepiej nie nazywać po imieniu, tworzyła bukiet mogący powalić nosorożca. Jednak „moi” goście byli zahartowani wieloletnią praktyką, a swojska atmosfera pijackiej meliny wyjątkowo przypadła im do gustu.

Początkowo degustowali koniaki, likiery i inne kolorowe wynalazki z niejaką podejrzliwością, jednak nie na tyle wielką, by cokolwiek uchroniło się przed zniknięciem w czeluściach spragnionych gardeł. Gdy ujrzałem, jak zarośnięty osobnik ze wspaniałym, sinoczerwonym nosem rozcieńcza whisky wermutem, poczułem coś dziwnego w środku i musiałem czym prędzej wypaść na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza... I nie tylko po to. Pozbywszy się nieprzyjemnych sensacji, przypomniałem sobie, że mam co innego do roboty, niż badać gusta wielbicieli tanich trunków. Musiałem się spieszyć, ponieważ jakiś patrol policji mógł zabłąkać się w te strony. Nie będą się patyczkować. Zgarną wszystkich jak leci, a mnie razem z nimi. Niby nikt mnie nie rozpozna w tych łachach i bez dokumentów, ale nie po to zaszedłem tak daleko, żeby teraz wylądować w izbie wytrzeźwień, a później w schronisku dla bezdomnych.

Zamknąłem drzwi sypialni, aby odizolować ją od odgłosów balangi, i równocześnie usłyszałem marsz żałobny. Cofnąłem wskazówki złotego zegara na jakieś dwie minuty przed wybiciem godziny, włączyłem telefon i odszukałem numer. Właściwie nie powinien odbierać, coś mi

jednakże mówiło, że czeka tylko na mój ruch.

Jeden sygnał, drugi, trzeci... I to by było na tyle, skończę gdzieś w kanałach...

– No?!

– Cooo... co za no? Nie zna... hyk... znasz ludzkiej bajery? – Cholera jasna, jednak odebrał!

– Czego znów chcesz, gnoju?!

– Co to kur... wa, pogadać nie można? Ty men... do! Robisz już w gacie? Czekaj to jeszcze... hyk... nie koniec, mam pareee nowych pomysłów. – Jakby dla podkreślenia mych słów dobiegł dostoyny i wyraźny dźwięk gongu. Musiałem sprowokować i rozwścieczyć bydlaka, więc bełkotałem dalej: Gada się, że ludzie z branży... usły... hyk..... szeli z życzliwych ust, że Mucha chce sypać, lata z ry... jem do glin. Ponoć wcale nie ukrywa się przed po... policją, tylko przed kumplami po fachu.

– Ty... – wiązanka najohydniejszych wyzwisk zaczęła wylewać się ze słuchawki, niczym potok szamba. Zdawało się, że Muniek rapuje w takt dobiegającego z zegara marsza żałobnego. – Dopadnę cię, tak jak dopadłem twojego kolesia z tą chudą dupą! Nie mieliśmy czasu jej wydymać, ale, kurwa, nic straconego. Nikt nie będzie robił ze mnie wała! Każę ich...

Chciałem rzucić telefon na ziemię i rozdeptać jak karalucha. Jednak słuchałem dalej. Szara mgła przysłoniła mi oczy, zapragnąłem go zabić, unicestwić, zmieść z tego świata. Wszystko przestało się liczyć. Był tylko jego szarpiący struny najgorszych wspomnień głos i moja nienawiść.

Zegar umilkł nagle. Cisnąłem w niego aparatem, jednak nie trafiłem, odbił się od ściany i w kilku kawałkach wylądował na podłodze. Odnalazłem wśród szczątków kartę i połamałem. Ulżyło mi, ale tylko trochę. Mogłem znów myśleć i działać. Jedno było pewne – on tu przyjdzie i to szybko! Nie będzie mi dane dokonać żywota w przytułku.

Wróciłem do salonu i wtopiłem się w otoczenie. Ktoś wsunął mi szklankę w rękę, zapaliłem papierosa i zaległem na dywanie, pod komodą stojącą w rogu pokoju.

Deliryczna impreza rozkręciła się tymczasem w najlepsze. Paru osobników nie wytrzymało tempa, pogrążeni w błogiej nieświadomości asymilowali wchłonięte trunki. Większość jeszcze trzymała się jako tako, choć kiwali się, jakby podłoga była pokładem statku ciskanego we wszystkie strony wściekłymi sztormami. Chuda giganciara chichotała głośno, turlając się po podłodze z jakimś kolesiem. Wszędzie walały się puste butelki, pety gaszone na dywanie tliły się nadal, psując dodatkowo i tak już ciężką atmosferę. Zasnuty dymem salon pełen anonimowych postaci poruszających się w zwolnionym tempie przywodził na myśl narkotyczne wizje uwiecznione w sepii. Brakowało jeszcze białych myszek, lecz niewykluczone, że czekały tylko na właściwy moment.

Piłem z umiarem, markowałem właściwie uczestnictwo w libacji, jednak zmęczenie i stres robiły swoje. Do tego atmosfera totalnego odlotu działała otępiająco, toteż sam zacząłem powoli odpływać...

Wtem jakiś dysonans w otoczeniu zakłócił sielski nastrój. Odniosłem niejasne wrażenie, że ktoś nie pasuje do miejsca i chwili. Próbowałem uświadomić sobie, o co chodzi. Rozejrzałem się sennie. Ryk, który rozległ się nagle, przerywając pijackie bełkoty, sprawił, że otrzeźwiałem w jednej sekundzie.

– Co tu się, kurwa, dzieje?!!! Gdzie jesteś gnoju?!

– Mucha stał na środku salonu i darł mordę. Czerwona z wściekłości gęba, nabrzmiąte na skroniach żyły i kurczące się jak w agonii dłonie sugerowały, że za chwilę stanie się coś strasznego. – Wywalić ich stąd!

Dwóch drabów wyszło z za jego pleców z niedwuznacznym zamiarem zrobienia porządku, ale Muniek zmienił zdanie:

– Nie, stać! Znaleźć tego porąbańca. – Rozejrzał się po zmarnowanych facjatach najbliższych biesiadników. Skrzywił się jak po wdepnięciu w gówno i skinął głową na jednego ze swoich ludzi. – Ty go widziałeś, który to?

– Był daleko i przez okno...

– Nie pierdol! Znajdź go!

Bandzior wzruszył ramionami i pustym wzrokiem lustrował moich chwilowych kumpli. Zdrętwiałem. Chłód niczym oddech wieczności

podniósł mi włosy na głowie, bo poczułem się odpowiedzialny za życie tych ludzkich wraków. I dlatego, że poznałem oczy tego człowieka. Patrzyły już na mnie kiedyś przez ułamek sekundy, gdy fachowo dusił swoją ofiarę. Nie było szansy żeby mnie teraz rozpoznał, ale i tak serce przestało mi bić, kiedy spoglądał w moją stronę.

– Nie widzę go. Nie wiem, czy tu jest – oznajmił wyzutym z uczuć głosem.

Mucha popatrzył na niego ciężko i wyciągnął pistolet. Nikt nie zareagował, jedynie chuda giganciara odczołgała się na bok i zniknęła pod stołem. Muniak wymierzył do najbliższej postaci utulonej w błogim śnie u jego stóp.

– No, gnoju! Wyjdiesz albo po kolei rozwalę całe to gówno. Jesteś tu?!

Jego pistolet nie mógł nikomu zrobić krzywdy, ale o tym wiedziałem tylko ja. Wstrzymałem oddech. Nagle ktoś wybełkotał:

– Je... jestem tu, kur... wa.

Muchę jakby giez ukąsił, podskoczył i rzucił się w stronę kupy łachmanów zalegających w kącie.

– Jeeestem, panie sierżancie... – Delikwent próbował zasalutować. Najwyraźniej krzyki bandziora przypomniały mu wojskową przeszłość. Obecnie nie wyglądał na żołnierza: wianek siwych włosów do ramion okalał błyszczącą łysinę, długa broda rosła swobodnie przez całe miesiące, a koszmarny zez wyłupiastych oczu sprawiał, że gość wyglądał jak pijany kameleon.

– Coś powiedział? – Mój prześladowca nie dał się nabrać. Zmrużył okrutne oczka, nachylił się i spytał cicho: – Kto cię tu sprowadził? Gadaj, bo ci jaja odstrzelę...

– Tu jestem!!! – inna sterta łachmanów uznała za stosowne zasygnalizować głośnym wyciem swą obecność. Mucha obrócił się, próbując zlokalizować nadawcę.

– Neeee, tuuu... – ktoś stwierdził, iż jest równie godny uwagi.

– To jaaaa...

– Nie, to jaaa...

– Właśnie, że ja... – kolejny menel ocknął się z letargu i sądząc, iż coś go omija, dorzucił: – Kto polewa?

– Jestem!

Po chwili w salonie panował już całkowity chaos. Większość towarzystwa mętnie pojmowała, że uczestniczy w jakiejś grze, polegającej na zwróceniu na siebie uwagi. Zapewne było coś do wygrania, więc bractwo zaczęło przekrzykiwać się wzajemnie. Niektórzy przypomnieli sobie, że cała impreza zaczęła się od tropienia ukrytych w domu trunków, próbowali więc wstawać chwiejnie, w przekonaniu, że czeka ich powtórka zabawy. Poczułem się jak w klasycznym domu wariatów, tym bardziej iż sam darłem się na całe gardło, żeby nie wyróżniać się z tłumu zalegających salon ochlapusów.

Muńka dosłownie sparaliżowało. Przekrwionymi oczkami wodził dookoła jak rozjuszony buhaj. Pewnie pierwszy raz w życiu stracił kontrolę nad sytuacją. Najwyraźniej nikt się go nie bał! Więcej – mieli go w dupie!

Nie zauważyłem, kiedy nacisnął spust, straszliwy huk w zamkniętym pomieszczeniu brutalnie przerwał zabawę. Nagłą ciszę zakłócało tylko głośnie dzwonienie w uszach. Jak w niemym filmie Mucha podniósł powoli do oczu prawą dłoń. To, co z niej zostało, nie zrobi już nikomu krzywdy, nie utrzyma w niej nawet papieru toaletowego. Zachwiał się, wyrzucił oczami i runął na ziemię, jego ludzie rzucili się, by mu pomóc. Nie zdążyli.

– Policja! Na ziemię! Rzucić broń! Wszyscy na ziemię! Kilku mężczyzn w kominiarkach powaliło brutalnie obstawę Muńka i wymierzyło w nich karabiny. Wiedzieli dokładnie, kto jest kim, bo nie zwracali najmniejszej uwagi na resztę towarzystwa. Nie tracili czasu, błyskawicznie przeszukali powalonych i zabrali im broń. Jedna z ubranych na czarno postaci poczęstowała leżącego bliżej potężnym kopniakiem i wycedziła:

– Bryndza, syn Ziomala. Gdzie ciało? I gdzie jest samochód, w którym go przywieźliście?

Typy milczały. Menele powoli otrząsali się z szoku. Szkło



pobrzękiwało zrazu dyskretnie, po chwili tempo wchłaniania trunków wróciło do normy, a nawet ją przekroczyło, ponieważ chłopaki wyczuwali szóstym zmysłem bliskie zakończenie imprezy. Zauważyłem, że Muniek ocknął się z omdlenia i jęcząc, wodził dookoła otępiełym wzrokiem.

Postać w kominiarce wskazała jednego z oprychów.

– Na dwór z nim! – Po chwili tajemniczy przybysz warknął: – Pytałem o coś! – Wyjął pistolet, przeładował i przystawił lufę do czoła drugiego mordercy. – Powiesz i jesteś wolny, masz dziesięć sekund!

– Nic nie wiem. Aresztuj mnie, ale nic nie powiem bez adwokata.

– Nic nie rozumiesz. Pytałem o coś i ty mi to powiesz! Nic mnie nie obchodzi twoje zasrane życie, mój szef chce informacji o twoim. Nie jestem gliną. Przysłał mnie... – pochylił się jeszcze niżej.

Mówił tak cicho, że nie dosłyszałem, jak brzmi prawdziwa ksywa Psiej Mordy. Jednak musiała budzić szacunek, gdyż oprych skurczył się i otworzył usta. Równocześnie Mucha poruszył się gwałtownie i wycharczał:

– Zamknij ryja, to policja...

Nie dokończył, osobnik w kominiarce kolbą karabinu pozbawił go kilku zębów, dokonując przy okazji niezbyt subtelnej operacji plastycznej. To wystarczyło, żeby przekonać zabójcę, iż nie trafił w opiekuńcze ręce organów ścigania. Choć pewnie by wołał.

– No? Masz minutę. I lepiej, żeby twój kumpel powiedział to samo!

– Dobra, Mucha kazał zakopać go... – cicha spowiedź nie trwała długo.

Ubrany na czarno osobnik wyszedł z salonu. Gdy wrócił po kilku minutach, powiódł wzrokiem po całym zgromadzeniu, którego uczestnicy otrząsnęli się tymczasem z szoku i powrócili do degustacji. Nie dziwiłem im się – zapewne większość nieproszonych gości miewała już napady delirki, a jeden więcej nie robił nikomu szczególnej różnicy.

Kominiarka ciągle zasłaniała twarz dowodzącego akcją, nie wiedziałem, który to z ludzi Psiej Mordy, ale on poznał mnie natychmiast. Pokazał mi wyciągnięty w górę kciuk. Wiedziałem, co

teraz nastąpi, omówiliśmy to wcześniej przez telefon: ludzie Psiej Mordy zwiążą drani i poinformują gliny, gdzie znajdują się zwłoki syna Ziomała. Pozbędą się konkurencji prosto i czysto, nawet nie będą musieli brudzić sobie rąk. Odetchnąłem głęboko, poczułem jak wiotczą mi mięśnie i puszczają napięte nerwy.

Miałem ochotę śmiać się i płakać. Wszystko stało się zbyt nagle, docierało do mnie jak przez mgłę. Więc to już koniec? Mogę zwyczajnie wstać, wyjść na ulicę, wrócić do domu i nikt nie właduje mi kulki zza węgła? Zdaje się, że zbyt długo żyłem jak ścigane zwierzę, bo najzwyczajniej nie mogłem uwierzyć w powrót do normalności.

Wstałem chwiejnie, jakbym istotnie uczestniczył w balandze. Mój wybawca rozmawiał przez telefon. Chuda giganciara podpełzła do Muchy i w przyływie macierzyńskich uczuć zajęła się jego ręką. Krzywił się i jęczał, gdy jakaś serwetą owijała mu mocno kikut. Poruszał ustami. Przechodząc obok, usłyszałem jego mantrę:

– Jesteś tu... kurwa? No, jesteś? Pokaż się... wiem, że jesteś...

– To ja. Jak ci się podobam? – nie mogłem odmówić sobie szczeniackiej satysfakcji.

– Ty! – wyciągnął zdrową rękę, chcąc mnie chwycić, przytrzymać. – Kto ty jesteś?!

– Apoloniusz, agent ubezpieczeniowy. Do usług...

– Nie, nie dałbyś mi rady... Powiedz prawdę! Kto ty jesteś?!

Minąłem go w milczeniu. Kto ja jestem? Sam już nie wiedziałem. Wsiadając do malucha, usłyszałem dalekie sygnały policyjnych radiowozów i karetek pogotowia. Nie powinienem prowadzić w obecnym stanie, ale to już będzie ostatnie wykroczenie...

\*\*\*

Kościół był prawie pusty. Kilka osób z kwiatami zasiadło w pierwszych ławkach. Nowożeńcy stali przed ołtarzem, uroczyste dźwięki organów podkreślały wagę chwili. Ponoć arystokraci mają zwyczaj zjeżdżać się z całego świata na rodzinne uroczystości, ale Wanda i Jacek prawie nikogo nie powiadomili o swoich planach. Byli dziwnie samotni, jakby

opuszczeni, istniejący tylko dla siebie.

Ostatnie błogosławieństwo, zaszeleściła długa suknia panny młodej, pan młody w szykownym fraku podał jej dłoń i ruszyli do wyjścia. Nieśmiertelne dredy mojego kumpla sterczały wyzywająco, informując otoczenie, że ich właściciel nie zamierza zmienić stylu życia. Zazdrościłem im odwagi i wiary, a równocześnie bałem się o nich. Czułem się w jakimś stopniu odpowiedzialny za mezalians tych krańcowo różnych, a równocześnie dziwnie współgrających osobowości.

Wzięłem za rękę Dorotę i podążyliśmy za nimi, zastanawiając się mimo woli nad przyszłością. Tą bliższą i dalszą.

Przystanęli w progu, przyjmując nieliczne, ale niewątpliwie szczere życzenia. Kątem oka dostrzegłem obdartą postać niezbyt pasującą do uroczystości ubranego towarzystwa. Zapewne zwietrzyła okazję do wydębienia paru groszy. Po ostatnich przeżyciach odczuwałem pewną więź ze swojskim menelskim światkiem, sięgnąłem więc do kieszeni i... zamarłem. Jakiś natrętny dzwonek w mózgu odezwał się ostrzegawczo – ciuchy zdjęte ze stracha na wróble i niezbyt pewny krok miały w sobie coś znajomego... Zbliżyła się do nas giganciara, którą Zenek zaprosił w moim imieniu na imprezę do Muchy. Bez wyzywającej tapety na twarzy wyglądała dziwnie młodo i świeżo. Uniosła głowę i spojrzała prosto na mnie.

Poczułem, jakby ktoś przydzwonił mi w łeb łopata.

– Powinszowania młodej parze. Jak samopoczucie? – powiedziała Jola. Zmrużyła oczy, nie odrywając ode mnie ironicznego spojrzenia.

– Dobrze... Pani...? – Zrozumiałem w jednej chwili, że moje sprawy nie wyglądają tak różowo, jak mi się jeszcze przed chwilą zdawało.

– Niektórzy nazywają mnie Żabka... – czekała wyraźnie na oznaki rozbawienia na mej twarzy, ale jakoś jej przezwisko nie wydało mi się śmieszne. – Inni przezywają mnie Żmija, ciekawe dlaczego?

– Co tu robisz? Chcecie, żebym zeznawał?

– Niezupełnie. Przyszłam, bo jestem ci coś winna... Zerknąłem na Jacka, jakby z przyzwyczajenia szukając u niego ratunku, ale on nie skumał, co jest grane, gdyż nigdy nie miał okazji poznać powabnej Joli.

Gdzieś nieopodal rozległo się wycie policyjnego radiowozu. Przez myśl przemknęło mi, że powinienem zwiewać stąd, póki można. Ukryć się i przeczekać, mam wprawę... Napiąłem mięśnie.

Nie zdążyłem jednak nic zrobić – ciemnogrnatowy wóz na sygnale podjechał z fasonem pod same schody kościoła. Nie miał żadnych napisów. Otworzyły się drzwiczki i ze środka wysiadł... Psia Morda! Popatrzył zimno na całe zgromadzenie skamieniałe jak zatrzymana klatka filmu. Nagle odwrócił się, zdjął z dachu koguta i schował do środka. Potem wyjął z samochodu wielki bukiet czerwonych róż i podszedł do młodej pary.

Poczułem, jak uchodzi ze mnie powietrze. Oni wszyscy grali wraz ze mną w tej samej sztuce! Tyle że mieli przewagę, bo znali scenariusz. Więcej – sami go pisali! No, nie do końca... Zerknąłem na Jolę.

– Kto to jest?

– Nasze personalia są tajne, mogę ci tylko powiedzieć, że dostał właśnie awans. Ja zresztą też.

– Więc cały czas mieliście mnie na oku?! Zrobiliście ze mnie przynętę? Pozwoliliście, żebym nadstawiał karku... – Zamilkłem zgaszony ironicznym spojrzeniem Joli. Coś w tym wszystkim nie pasowało. To nie są normalne metody pracy naszych gliniarzy. – Mogliście mnie uprzedzić, wyjaśnić, co mam robić. Przecież jeśli się rozejdzie, jakimi metodami dopadliście Muchę...

– Kotuś, nikt ci nie bronił zgłosić się na policję.

– Próbowałem, tam pod Pałacem Mostowskich.

– To akurat nie był najlepszy moment, ale i tak mogłeś pójść na współpracę. Miałbyś spokój. A jeśli chodzi o zdradzanie naszych metod działania, to nie radzę. Dla twojego własnego dobra. Oficjalnie nas po prostu nie ma, nie istniejemy! Spróbuj coś kłapać, a wylądujesz u czubków. I to w najlepszym wypadku. – Popatrzyła na mnie uważnie, sprawdzając, czy dotarł do mnie sens jej wypowiedzi. – Mamy jeszcze parę rachunków do wyrównania. Zaczniemy od razu?

Sięgnąłem do kieszeni po mój nowy telefon z cyfrowym aparatem fotograficznym.

– Wiesz, te gadżety są niesamowite, a zdjęcia z działki, gdy perswadowałem ci to i owo... –

Wcisnąłem kilka klawiszy i wyświetliłem tapetę z jakąś laską w negliżu. Trzymałem telefon w taki sposób, by Jola nie mogła rozróżnić szczegółów. – Jak puszczyć to w obieg, zrobisz karierę...

Podeszła tak blisko, iż poczułem na twarzy jej oddech. Schowałem szybko aparat. Nie powiedziała ani słowa. Nie musiała. Jej wzrok sprawił, iż stado pajaków przebiegło mi po plecach. Odwróciła się nagle do Psiej... do swojego przełożonego, który wziął ją za ramię i poprowadził do samochodu niczym zgarniętą z ulicy panienkę lekkich obyczajów.

\*\*\*

Wezwanie dostarczył listonosz. Mała biała koperta z nadrukiem Komendy Głównej Policji zawierała standardowy druczek z lakoniczną informacją, kiedy i gdzie mam się stawić. Nadawca, z typowym dla urzędników państwowych poczuciem humoru, jako przyczynę zaproszenia wymienił szereg paragrafów kodeksu karnego i zagroził paroma innymi w wypadku nieusprawiedliwionego niestawiennictwa.

W pierwszej chwili nawet się zbyt nie przejąłem. Zapewne mojego udziału w aferze nie dało się ukryć, więc gliny chcą mieć jasny obraz. Drobiazg, powiem im prawdę – z niewielkimi skrótami – i po sprawie. Nie, cholera! Przywałą mi za zatajenie morderstwa. Jakiego morderstwa?! Wyszedłem stamtąd, zanim gospodarz wrócił do domu, niczego nie widziałem! Strzelanina w moim mieszkaniu? Idę w zaparte – nie mam pojęcia, o co chodziło... pewnie bandziory z kimś mnie pomyliły... akurat żona wyjechała na wczasy, a ja zabarłoczyłem z kumplami i jak wróciłem na chatę, to na widok pobojowiska dostałem takiego cykora, że ukrywałem się parę tygodni u kumpla. Gliny nie będą grzebać zbyt głęboko, mają ferajnę pod kluczem. Moja osoba nie wnosi niczego do sprawy. Zresztą głowa Joli w tym, żeby mi uwierzyli!

Dyżurny odebrał blankiet wezwania, rzucił do słuchawki kilka słów policyjnym slangiem i kazał mi czekać. Nie pytał o dokumenty.

Po paru minutach pojawił się funkcjonariusz w czarnym uniformie bez dystynkcji. Dyżurny wskazał głową w moim kierunku i podał mi blankiet. Coś piknęło mi słabo pod czaszką, lecz nie wiedziałem, czemu podświadomość wysyła nagle ostrzeżenie. Przez bramkę z wykrywaczem metali musiałem przechodzić kilkakrotnie, za każdym razem znajdując kolejny drobiazg wywołujący alarm. Przestał piszczeć, gdy usiłowałem sobie przypomnieć, czy nie mam w organizmie jakichś metalowych implantów. Labirynt identycznych szarych korytarzy wzmagał dyskomfort przebywania w nieznanym otoczeniu. Momentalnie straciłem orientację. Mijaliśmy bezosobowych urzędników i funkcjonariuszy w mundurach, którzy z jakimiś papierami w rękach zdawali się wędrować bez celu po całym gmachu, jakby ich obowiązki sprowadzały się do przenoszenia dokumentów z miejsca na miejsce. Mój przewodnik zapukał do anonimowych, obitych blachą drzwi i nie czekając na odpowiedź, nacisnął klamkę i gestem dłoni kazał mi wejść do środka.

W kiszkiowatym pokoju z zielonkawymi lamperiami stała metalowa szafa i pojedynczy regał z segregatorami. Solidne kraty w oknie dodatkowo potęgowały klaustrofobiczne wrażenia. Za zwyczajnym brązowym biurkiem siedziała ubrana po cywilnemu kobieta i czytała jakieś papiery. Przez dłuższą chwilę zdawała się nie dostrzegać mojej obecności, wreszcie uniosła wzrok. W jednej chwili pojąłem, że moje akcje warte są tyle co papier toaletowy. A może i mniej.

Gliniarz podał jej wezwanie i wyszedł bez słowa. Chrząknąłem na próbę i powtarzając sobie w myślach, że zostałem oficjalnie zaproszony, a w komendzie jest pełno ludzi, spytałem:

– Czemu zawdzięczam...?

– Wiele razem przeszliśmy, nie uważasz? – powiedziała tonem towarzyskiej konwersacji. – Jestem ci coś winna, a ja nie zapominam długów.

Jola wysunęła szufladę biurka i włożyła tam rękę. Cholernie nie podobały mi się te manipulacje.

– Myślałeś, że ten bajer z pstrykaniem mi fotek telefonem długo się

utrzyma? Łatwo sprawdziliśmy, jakiego aparatu używałaś. Nie masz zupełnie nic, a to zmienia sytuację, prawda?

Milczałem. Dla postronnego obserwatora mogło to wyglądać jak próba skłonienia jej do odsłonięcia wszystkich kart. Ale ja po prostu nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Wiesz, co się teraz stanie? – Najwyraźniej nie oczekiwała odpowiedzi, gdyż natychmiast wyjaśniła z czarującym uśmiechem: – Zawołam chłopaków, zapakują cię do samochodu i zawiozą w pewne miejsce, gdzie dokończymy pogawędkę tylko we dwoje.

Blefuje... chce mnie zmiękczyć, bym zeznawał dokładnie po jej myśli...

Sygnal alarmowy w mózgu narastał i wreszcie zawył, gdy zobaczyłem, jak Jola od niechcenia bawi się papierem na biurku. Drugą rękę ciągle kryła w szufladzie. Blankiet wezwania! Czemu nie został u dyżurnego? Żeby nie było śladu mojej wizyty!

Musiałem coś wymyślić i to natychmiast.

– Chcesz się zemścić?! Załatwmy to od razu! – krzyknąłem i zacząłem błyskawicznie się rozbierać.

Udało mi się ją zaskoczyć. Części garderoby łądowały kolejno na podłodze. Wyraz ironii na jej twarzy zmienił się w osłupienie, zareagowała dopiero, gdy dotknąłem bokserek.

– Co robisz, idioto?! – syknęła i rzuciła się w stronę drzwi.

Padłem na biurko i sięgnąłem do szuflady. Przekręciła klucz w zamku, odwróciła się i zdrętwiała zaszokowana niezwykłym widowiskiem – biegłem goły w jej stronę z wyciągniętym przed siebie paralizatorem. Nie mogłem jej nie trafić.

Przytrzymałem stężałe nagle ciało i pozwoliłem osunąć mu się na ziemię. Byłem tak zdenerwowany, że natychmiast chciałem pryskać, sięgnąłem do klucza. Na szczęście w porę uświadomiłem sobie, iż ucieczka na golasa nie ma najmniejszego sensu. Drżącymi dłońmi naciągałem ciuchy, obserwując kątem oka swoją ofiarę. Dawała coraz wyraźniejsze oznaki życia, należało się spieszyć.

Gdy byłem już ubrany, przeszukałem opierającą się słabo tajniaczkę. Nie miała dokumentów, tylko jakiś identyfikator bez nazwiska z

wytłoczonym rzędem cyfr i liter. W szufladzie oprócz paralizatora były jeszcze kajdanki. Przeciagnałem ją pod okno i przykułem do kaloryfera. Aparatem w telefonie pstryknąłem kilka zdjęć, wyszedłem na korytarz i zamknąłem drzwi na klucz. Błądziłem trochę, szukając wyjścia, ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Przy wyjściu przytknąłem zabrany Joli identyfikator do oznaczonego pola, czerwony minus zmienił się w zieloną strzałkę. Byłem wolny. Chwilowo.

Możliwe, że znów niewłaściwie oceniłem sytuację. Jeśli chciała się ze mną zabawić po swojemu, to czemu nie zgarnęła mnie z ulicy? Mogła zaaranżować to dyskretnie w dowolnym miejscu i czasie. Po cholere ta cała szopka z wezwaniem na komendę? Chyba rzeczywiście potrzebowała moich zeznań, ale potem... Nieważne, kłamka zapadła. Nasze następne spotkanie na pewno nie skończy się wymianą uprzejmości.

Udałem się prosto na dworzec kolejowy. Zadzwoiłem do Doroty, wyjaśniłem jej z grubsza sytuację i powiedziałem, co chcę zrobić. Wyłączyłem telefon zanim zaczęła artykułować wątpliwości. Następnie odłączyłem baterię. Wyjąłem trochę kasy z bankomatu i wsiałem do pociągu podmiejskiego. Po godzinie szedłem przez las w stronę znajomego ośrodka kempingowego w Zalesiu.

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że nie powinienem podawać swoich personaliów. Istniała szansa, iż Jola dysponuje wystarczającymi środkami, żeby mnie tu wytropić. Wolałem nie ryzykować.

Minąłem ośrodek i wolno podążyłem nad jezioro. Zjadłem jakąś martwą naturę w smażalni, następnie przycupnąłem w nabrzeżnych zaroślach. Powoli robiło się gorąco, zdjąłem koszulę i wyciągnąłem się na trawie. Byłem bezpieczny, trzciny szumiały usypiająco...

Ocknąłem się z uczuciem nieokreślonej trwogi, choć w pierwszej chwili nie rozumiałem jej powodów. To pewnie zły sen... jakiś Mucha, gangsterzy, powabna Jola... Poczułem, że coś gniecie mnie w zębra, niejasno uświadomiłem sobie, że moje wyrko nie może być takie twarde, i wreszcie otworzyłem oczy.



Która godzina?! Zerknąłem w panice na zegarek. Trzynasta, całe szczęście, że nie kimałem godzinę dłużej.

Leśną ścieżyną dotarłem na teren kempingu i zacząłem płatać się między domkami, wypatrując wczasowiczów kończących właśnie pobyt. Jako częsty bywalec, wiedziałem, że ruch jest tutaj spory i codziennie następuje wymiana części gości. Do czternastej należy zdać klucze.

Moją uwagę zwróciły pełne złości pokrzykiwania dobiegające z wnętrza pokrytego łuszczącą się brunatną farbą domku. Na werandzie stała walizka, dwie torby podróżne i dziecięca spacerówka. Odjeżdżają czy właśnie przyjechali? Zbliżyłem się powoli. Ściany z wypaczonej dykty nie stanowiły wystarczającej bariery dla rodzinnej awantury.

– ...łam się namówić do urlopu na łonie natury! Kibel w lesie, przysnic trzeba brać o drugiej w nocy, żeby mieć ciepłą wodę, do sklepu dwa kilometry... – kobieta przerwała na moment, zapewne dla nabrania oddechu. Małżonek spróbował wtrącić coś znękanym głosem, ale nie dała mu szansy. – Jeśli nie pomyślałeś o mnie, to mogłeś przynajmniej zatroszczyć się o dziecko! Przez te conocne libacje Kubuś nie zmrużył oka! Babcia ręce załamie. Jak ja go jej pokażę?!

Na zewnątrz pojawił się, na moje oko czteroletni, brzdąc w krótkich spodenkach. Wskoczył do spacerówki i jął beztrósko balansować pojazdem na krawędzi werandy. Nie wyglądał na specjalnie wycieńczonego pobylem. Pokazał mi język i z łoskotem zjechał po niskich schodkach.

– Kubuś, co robisz?! – W drzwiach ukazała się całkiem zgrabna, jeśli ktoś gustuje w anorektycznych blondynkach, damulka. Natychmiast zrozumiałem jej niechęć do wczasów na łonie natury, gdyż wyglądała, jakby ostatni tydzień spędziła, wizytując gabinety kosmetyczne, solaria i butik. Cienki, wysoki obcas pantofelka utkwiał jej między deskami werandy, potęgując jeszcze niechęć do małżonka. – Pospiesz się, ofermo! Idę z Kubuniem do samochodu!

Zapałilem papierosa. Słabsza połowa, podzwaniając biżuterią, oddaliła się pospiesznie ze spoczywającym w wózku dzieciątkiem. Zmuszona była dreptać na palcach, żeby przypadkiem nie zostawić butów w leśnej

ściółce. Pana domu ciągle nie było widać. W obawie, iż szykuje się właśnie do popełnienia samobójstwa, co akurat byłoby mi mocno nie na rękę, zajrzałem przez otwarte okno.

Chudy osobnik w okularach siedział na łóżku i tępo wpatrywał się w oparte o ścianę dwa plecaki. Możliwe, że kombinował tylko, jak zdoła się zabrać z tymi wszystkimi bagażami, jednak coś mi mówiło, że jego przemyślenia dotyczą bardziej fundamentalnych kwestii.

– Dzień dobry, zwalnia pan domek? – zagałęm inteligentnie.

Moja błyskotliwa inwokacja zrobiła takie wrażenie, na jakie zasługiwała – gość popatrzył na mnie jak na reklamę środków przeczyszczających.

– Mam prośbę, wie pan, głupia sprawa... Uciekłem od żony... nasłała na mnie adwokata... – Tym razem zdołałem przykuć jego uwagę. Mój niezbyt świeży wygląd po drzemce w szuwarach i wyraźne napięcie w głosie dodatkowo uwiarygodniały legendę. – Szukają na mnie haka, podstawiają jakieś panienki, próbowali upić mnie i skompromitować... Wynajęła nawet detektywa, żeby mnie śledził. Muszę się schować na jakiś czas. Ona jest cholernie mściwa i uparta. Gdyby pan zapłacił za kolejny tydzień pobytu, mógłbym się tutaj przyczaić i coś wykombinować... Dam panu pieniądze.

Historia miała tyle sensu, co próba mówienia do rzeczy z trybuny sejmowej, ale facet nie zamierzał szukać luk w mojej opowieści, zdołałem obudzić w nim męską solidarność. Nie minęło pół godziny, gdy maszerowałem do najbliższego sklepu spożywczego z kluczem od domku w kieszeni.

Przez kilka dni wychodziłem z ośrodka, tylko by uzupełnić prowiant, odwiedzić zakład fotograficzny i zaopatrzyć się w gazety.

Domek kempingowy zapewniał ciszę i spokój, tak potrzebny moim skołatany nerwom. Opisałem szczegółowo całą aferę, ubarwiając ją nieco w co ciekawszych momentach i dodając dwie, całkiem niezłe fotografie mojej gnębicielki przykutej do kaloryfera. Na końcu nadmieniałem, iż całość trafi do prasy brukowej, o ile pewien obywatel zazna dalszych kłopotów ze strony nadgorliwych stróżów prawa...

Kupiłem na poczcie dużą kopertę, wpisałem adres Komendy Głównej Policji z dopiskiem: „Żabka”. Umieściłem w środku swoją relację i całość nadałem listem poleconym. Priorytetem. Następnie wysłałem SMS-a do Psiej Mordy, sugerując, by przejęli przesyłkę, nim trafi w niepowołane ręce. Telefon zadzwonił po minucie, zerknąłem na wyświetlacz, wduśliem czerwoną słuchawkę i wyjąłem baterię. Wiadomość dotarła do adresata.

Potem poszedłem się upić.

\*\*\*

Blef najwyraźniej zadziałał. Mijają dni i tygodnie, a nic się nie dzieje. Przestałem z obawą rozglądać się na ulicy, dzwonek do drzwi nie sprawia już, że nurkuję pod łóżko, odbieram telefony bez spoglądania na wyświetlacz. Wróciłem do pracy.

\*\*\*

Wczoraj żona zrobiła mi awanturę. W skrzynce znalazła pocztówkę od jakiejś „Żabki”, która pisze, że zachowa we wdzięcznej pamięci upojne chwile, jakich jej dostarczyłem, i ma nadzieję na rewanż. Poważnie myśli o zmianie profesji, więc wkrótce znikną przyczyny, dla których nie możemy się spotkać. Tylko we dwoje, w jakimś ustroniu, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał...

Ciekawe, czy Zenek zna jakąś dobrą melinę?

## W tej książce jedno jest pewne, że nic nie jest pewne!

Agent ubezpieczeniowy Apoloniusz stawia się na spotkanie w sprawie polisy. Przyjmuje go roznegliżowana pani domu o imieniu Jola. Podekscytowany mężczyzna rozkoszuje się wizją upojnych chwil, kiedy nagle przez okno dostrzega pana domu, jak wspólnie z pomocnikami właśnie wyprawia na tamten świat pewnego gościa. Apoloniusz daje drapaką przez okno. I tak rozpoczyna się jego bohaterska walka z Muchą, czyli znanym gangsterem Konradem Z., który ani myśli rezygnować z pogoni za nieszczęsnym świadkiem.

### Jacek Skowroński

współzałożyciel i zastępca redaktora naczelnego magazynu fantastyczno-kryminalnego Qfant, laureat Grand Prix Ogólnopolskiego Konkursu na Opowiadanie Kryminalne (2008 r.). Autor powieści sensacyjno-kryminalnych oraz pisanych wspólnie z Marią Ulatowską powieści obyczajowych z wątkami kryminalnymi i historycznymi. Studiował w Nowosybirsku, absolwent SGH. Kosmopolita z zamiłowania, kryminalista z wyboru. Imał się wielu profesji, zarabiając na życie między innymi jako tragarz, brukarz czy sprzedawca butów. Potrafi skakać ze spadochronem, prowadzić lokomotywy i strzelać z karabinu maszynowego.